Maj—1856.

PAN EMIL DE GIRARDIN

PUBLICYSTA I DZIENNIKARZ.

Na samym końcu pól Elizejskich, od łuku tryumfalnego *de l'Etoile* niedaleko, przy ulicy Chaillot, znajduje się dom opasany murem, drzewami ocieniony, znane pomieszkanie pana Emila de Girardin. Tam, w owym kwadratowym pokoju któremu cichość i prostota urządzenia, szczególniejszą cechę pracowni umysłowéj nadają, spotkałem się jednego poranku ze świeżo przybyłym z Francyi południowéj podróżnym, który panu Girardin od przyjaciół był zaleconym. Wszczęła się była rozmowa o przedmiotach naukowo politycznych, kiedy tę nagle p. Girardin przerwał zapytaniem, w jakich stosunkach ów podróżny z rządem zostawał? Gdy tedy on odpowiedział iż się rząd uważać powinno jako działacza niezbędnego i najważniejszego przy każdym postępie narodowym, iż tylko jemu przeprowadzenia

reform pożytecznych służy prawo, nakoniec iż największém dla narodu złém byłoby wytrwanie w zaciętéj opozycyi, odrzekł p. Girardin: kiedy takie są pańskie zasady, jesteśmy w zgodzie, i na wszelkie zapytania z zupełną otwartością odpowiadać gotów będę.

Był wtedy r. 1847: nie mogły takie słowa być niespodziane, gdyż niezbyt dawno przedtém było się w dzienniku *la Presse* czytało:

Wiara nasza w władzę rządu jest tak silną, jak drugich wiara w potęgę wolności. W myślach naszych dobrem kraju zajętych, pierwsze miejsce trzyma władza, na drugiém dopiero staje wolność. Przeciwko władzy powstawać, chociażby tylko słowami, nawet w obronie własnéj, jest bolesno, a zwycięztwa nad władzą są klęskami zwycięzców (*La Presse,* czerwiec 1847).

W tych wierszach klucz zachowania się politycznego pana Girardin znajdujemy, i nie będzie bez korzyści rozważyć, jak z jednéj strony niezłomnie wiernym zasadzie swojéj zostawał, kiedy z drugiéj mógł się na zarzut największéj niestateczności wystawiać, przerzucaniem się w burzach politycznych, iż tak powiem, z łodzi jednéj do drugiéj, na pawilion nie patrząc byle go naprzód ku celowi niosły. A zaś celem pana Girardin było przeprowadzenie każdego postępu spółecznego jedynie tylko przez władzę rządową, choć przytém gorąco pragnął do grona rządzących wezwanym zostać. Pierwsze jest zasadą czysto francuzką, drugie było wynikiem osobistości. Pierwszéj zasady głoszenie i przebijanie się przez wszystkie najbardziéj namiętne artykuły *Pressy,* pod rządami króla Ludwika Filipa,

pod nierządem krótkiéj rzeczypospolitéj, pod prezydencyą, było podstawą wziętości dziennika odpowiadającego instynktom jedynowładczym Francyi. Drugiéj dążności skutkami były nieraz jak namiętne wykroczenia głównego redaktora *Pressy*, tak wywołane przez to gniewy ambicyi współzawodniczych i obrażenie opinii. Że instynkt Francyi jest monarchicznym i rządowym, tego dowodem cała jéj historya, a nieznających historyi doświadczenie najnowszych czasów powinno przekonać. Wziętość którą zasady angielskie w nielicznéj klassie wzbudziły, niczego źródłem stać się nie mogła jak tylko sztucznego organizmu Orleańskiego, który przez pierwsze tchnienie rewolucyi został obalony; ponieważ duch narodu Francuzkiego nic nie ma wspólnego z duchem Anglii. Chwilowy tryumf republikanów tak zwanych, był dla Francyi nieznośnym, dla tego samego iż Francuzi są praktycznym ludem, a nic niepraktyczniejszego od powołania wszystkich do rządów, tam gdzie najpierwszą wszystkich potrzebą jest praca. Jakie były ścisłe zasady pana Girardin, o formie rządu, czy absolutnego jedynowładztwa, czy takiego który zdaniom obywatelstwa objawiać się w granicach prawa dozwala, tego nie wiemy, i to wtenczas dopiero byłoby się okazało, gdyby ster rządu był jemu został powierzony. Wolno przecie wnosić, iż kto nie widzi żadnéj użytecznéj siły do przeprowadzenia postępu społecznego prócz siły rządowéj, ten gdy ją zadzierży wahać się nie będzie do najwyższéj działalności nastroić. Zdać się więc może iż pana Girardin ideałem było jedynowładztwo? nie wątpię iż instynktem do tego

był prowadzony. Zkądże mógł nieraz za rewolucyonistę uchodzić? Nic zaiście naturalniejszego, albowiem rewolucyonistą stać się może łatwo każden nieszczęśliwy kandydat do władzy.

Przecie doktrynerem pan Girardin nigdy nie był: teorye o formach rządu stawiać, nigdy dla niego wielkiéj ważności nie miało. Jemu o to szło zawsze żeby tego rządu który był, jakiegokolwiek poczęcia, jakiéjkolwiek formy on był, stać się uczestnikiem niezbędnym, i to miał wspólne z wszystkiemi ambicyami małemi lub poważnemi które zamieszania narodowe i system szkolny po całéj Francyi rozwinęły. Ale to wyższego uzdolnienia jego było dowodem że takiemi sposobami które powagę władzy mogły osłabić on nigdy do władzy przyjść nie chciał. Przeto nie konspirował, agitacyjnych zgromadzeń nie zwoływał i przeciwko głowie rządu nie powstawał, jak długo głową rządu była istotnie.

Na dowód tego założenia wyjątki z rozmaitych lat *Pressy* przytoczymy, poczynając od charakterystyki opozycyi którą w r. 1838 był skreślił.

Jest takich wielu, którzy innego zdają się nie mieć zadania ino poniżać i osłabiać nietylko mężów władzy lecz i samę władzę, występując przeciwko niéj jakby przeciw nieprzyjacielowi publicznemu, którego bąć co bąć zgładzić należy. Tym ludziom wszystko jest na rękę, i dobro i zło; wszystkie środki pożądane i godziwe i niegodziwe, byle rząd w opinii narodu mogli zhańbić: a przy tém przedsięwzięciu nie będą niczego szczędzić, ni sofismów, ni potwarzy, ni zdradliwych domysłów, ni przycinków krwawych. Wtenczas dopiero tryumfować

będą gdy władzę zbezcześcili, i to zdanie utwierdzić potrafili że władza jest podłą, niemoralną, zdradziecką i tyrańską. W tém jakiś patryotyzm upatrują, żeby skruszyć potęgę polityczną i moralną, która to czyni iż jest ojczyzna, a ktoby ich słuchał, musiałby mniemać iż dopiero wtenczas wolność najwyższa i postęp największy zakwitną, gdy żadnéj władzy nie będzie. (27 stycznia 1838).

Kilka lat późniéj, zerwawszy z ministeryum pana Guizot, a może upadek jego już przewidując, napisał:

Któregoż dnia stało się rozłączenie *Pressy* od gabinetu? 27 marca 1847, w onym dniu w którym się p. Guizot wyrzeczonych w Lisieux obietnic wyparł.... Wtenczas *Pressa* gabinet opuściła.... Ale z mężami gabinetu poróżniona, z równém poświęceniem tych zasad porządku, spokoju i władzy bronić będzie i nadal, których od pierwszego dnia bytu swojego broniła. Miejmy nadzieję iż żadna niesprawiedliwość, żadna niewdzięczność, nas przemódz nie zdołają i wtrącić w szeregi opozycyi nieszczeréj i niepożytecznéj. Dobrze będzie pokazać, iż żadna krzywda tak wielką być nie może, by nasze umiarkowanie większém niezostało. (25 czerwca 1847).

A jeżeli się o dziesięć lat w tył cofniemy, podobne zasady znajdziemy w żywym obrazie ówczesnego stanu Francyi:

We wszystkich czasach napotykano ludzi słabego umysłu, nieprostego rozsądku, którzy *a priori* w każdéj władzy widywali uciemiężenie, ludzi dumnych, którzy od razu najwyższych szczeblów hierarchii społecznéj chcieli dopiąć, i zapaleńców, którzy w burzeniu i niszczeniu form istniejących dziką roskosz znajdywali. Takie przywary są pewnéj ciasności pojęć i pewnemu szałowi namiętności właściwe, od których zupełnie ciała polityczne

uwolnić jest tak niepodobna, jak niemożebném spędzenie z ciał ludzkich wszystkich chorobliwych humorów. Jednak co w stanie normalnym, małą bardzo liczbę zaraża, to dziś w najrozmaitszym kształcie po całém szerzy się społeczeństwie. Umysły mdłe i rozumy skrzywione, fanatyzm polityczny i duma osobista powstawają przeciwko władzy, to otwarcie i zuchwale, to podejrzeniami i niechęcią; prasę opanowały, mownicę zajęły, na ławie przysięgłych zasiadają, wszędzie są. Rząd chcą uczyć jak ma rządzić, czyny jego błędne zwiększają, niebłędne spotwarzają, rany jego zatruwają, i cel mają jedyny, cel najważniejszy: spodlenie władzy. Jakże świetną, jak słynną, jak szczęśliwą będzie Francya a nam jakaż będzie przyświecać szczęśliwość, gdy mieć będziemy rząd znieważony, spodlony, bezwładny, wszelkiéj powagi moralnéj pozbawiony i deptany w błocie pod nogami stronnictw zapamiętałych. (*La Presse* 1837).

Co pan Girardin w r. 1837 przewidział, to się w 1848 sprawdziło. Królestwo Lipcowe z Francyi nagle wyrzucone, chaos zostawiło po sobie, i rządu chwilowe nastąpiło zaćmienie. Wtenczas mógł najwierniejszy stronnik zasad porządku być zachwianym, i wahać się w swojém działaniu. Nie wahał się ani przez dzień jeden pan Girardin: natychmiast stanął przy rządzie prowizorycznym, bo innéj władzy nie było, i wsparł go potężnie sławnym artykułem swoim »Ufności! ufności!« Bo też anarchii lękać się należało przed wszystkiém, i walki stronnictw o spuściznę monarchii niedopuścić. Bronił przeto pan Girardin tę przypadkową władzę, któréj imie wszystkim imponowało, któréj skład wszystkich zawieszał nadzieje, któréj istotna słabość nie straszyła nikogo. Wszelako bystrego wzroku pu-

blicysty ujść nie mogło, że nad odzierżeniem stanowczém władzy pracowała koterya *Nationala*, ta frakcya nie mająca w uczuciach narodu żadnéj podpory, przeto rządzić niezdolna inaczéj jak tylko z pomocą praw wyjątkowych. On w tych republikanach zaporę tylko widział niedającą prawdziwemu rządowi powstać, i natychmiast przeciwko nim z niezrównaną śmiałością, taką do nich piorunującą apostrofą wystąpił:

Zamieniliście zwycięstwo w zamieszanie, i wolnością przezwaliście własną swawolę! A dziś słyszymy wołających do broni! przeciw komu?

Przeciw komu? na to wam odpowiadamy: Oto przeciwko wam!

Przeciwko wam, boście żądzy waszéj usłuchali, a sił waszych nieumieliście zmierzyć!

Przeciwko wam, bo macie duszę ale pojęcia nie macie, ambicya jest w sercach waszych, ale wiary nie ma.

Przeciwko wam, bo zubożyć potraficie bogatych, ale biednych losu nie polepszycie.

Przeciwko wam, boście wszystkie pytania poruszyli, a żadnego nieumiecie rozwiązać.

Przeciwko wam, boście utrudzili konsumcyą, a produkcyą niezdolniście ułatwić.

Przeciwko wam, bo wam odwagi nie stało wysłowienia prawdy przed narodem, który słuchania jéj był godzien. (26 marca 1848).

Do takiéj śmiałości była w poprzedzającym dniu *La Presse* przygotowała publiczność:

Chwała pierwszemu męczennikowi, który odparcia terrorystów da przykład. Cały Paryż z wyjątkiem zbrodniarzy, pójdzie za jego marami, i cała Francya po nim żałobę przywdzieje.

Można przeto życie nam wydrzeć, nie będziemy go bronić, ale czego żaden gwałt na nas nie wymoże, to jest żebyśmy uciekli albo milczyć mieli!

W krótce p. Girardin miał sposobność okazania, iż to co mówił, to czynić był zdolny. Gdy bowiem po krwawych wypadkach czerwcowych, które niedołężności władzców skutkiem były, stan oblężenia w Paryżu został ogłoszonym, on niekonsekwencyą koteryi republikańskiéj wystawił.

Pamiętają wszyscy jak ostremi słowami *National* chłostał Rząd Lipcowy, za to że nad Paryżem stan oblężenia zawiesił. Oto patrzcie! *National* od czterech miesięcy sam rządzi, a jakież widzimy następstwa?....

W skutek tego artykułu został p. Girardin do więzienia wtrącony, ale ta sama niedołężność która przeszkodzić niczemu niemogła, karać także nieśmiała. Po kilkodniowéj niewoli, nieustraszony dziennikarz pisał daléj (30 listopada 1848).

O dyktatorowie których chwila wydała! wczoraj zarozumiałością napuszeni, dziś nieradni, wy których mamkami *National* i *la Réforme*, wy których odsadzenie więcéj Francyą kosztowało niż dwie inwazye 1814 i 1815 roku, winszujcie sobie szczęścia, że tylko dziennikarza mam pióro, a nie mam pióra dziejopisa!....

Rozważając tę epokę, i to że ówczesnych władzców żadną miarą jako stanowiących rząd prawdziwy brać niemożna, żadną też miarą opozycyi pana Girardin odszczepieństwem od zasad swoich zwać nienależy. Wszak pierwszą cechą rządu, na poczęcie jego niebacząc, jednolitość celów być musi i zgodność w wyborze środków. Ale członków rządu prowizory-

cznego właśnie różnorodność celów i zasad, do składu jego była wyniosła. Był każdy niemal z nich reprezentantem jeżeli nie innéj przeszłości, innych nadziei, innych opinij, to przynajmniéj człowiekiem innego odcienia stronnictw politycznych. Dupont de l'Eure nie tak myślał jak Garnier Pagès, Socyalizm Ludwika Blanc niebył ten sam co Alberta, a Lamartina zdania zupełnie od tamtych były różne, nakoniec i ludzie mający obok rządu prowizorycznego groźną postawę jak Barbès, Raspail, Sobrier, Flotte i t. d. pewnie widoków następcy po rządzie prowizorycznym dyktatora wcale niepodzielali. Te różnorodne wpływy, z których żaden niemiał większości w narodzie, mogły wedle okoliczności doprowadzić do politycznego nicestwa, lub do anarchii, ale rządu nigdy niebyły zdolne utworzyć. Gdy zaś od tego zbawienie Francyi zależało aby rząd istotny mógł być ustalonym, więc opozycya pana Girardin przeciwko rządowi prowizorycznemu po najpierwszych chwilach rewolucyi, potém przeciwko dyktaturze Cavaignaca, była mu nakazana przez instynkt jego polityczny i przez okoliczności. Dwojakie w tenczas zadanie widział przed sobą. Najprzód do prezydencyi niedopuścić koteryi *Nationala*, bo ci rządu trwałego utworzyć żadną miarą niemogli, powtóre takim drogę przygotować, którzy mogli, a takim był Ludwik Bonaparte. Już przez to samo wykryła się niedołężność stronnictwa jenerała Cavaignaca, że pana Girardin do siebie nieumieli przyciągnąć, i że dążąc do władzy, zazdrości, gniewy i współzawodnictwo dzien-

nikarskie wlekli ze sobą, kiedy Ludwik Bonaparte pomoc *Pressy* sobie zapewnił przekonany że ona go nigdy opanować niepotrafi. Jedni przez swą podejrzliwą niechęć, dali miarę swéj słabości, drugi przez ufność w postępowaniu okazał siłę jaką czuł w sobie.

W *Pressie* 19 listopada 1848 w formie listu od robotników przesłanego, objawia się podwójne działanie pana Girardin za kandydaturą Ludwika Bonaparte i przeciwko kandydaturze jenerała Cavaignac:

Panu Ludwikowi Bonaparte głosy nasze są zapewnione dla tego, żeśmy się dzienników i dziennikarzy pytali, z jakich przyczyn on celem jest tak wielkiéj nienawiści, a w odpowiedź tylkośmy próżne słowa usłyszeli. Wybierzemy go dla tego żeśmy widzieli jak go szkalowano z rozkazu władzców obecnych, jak go stronnictwa rozdrażnione przeklinały, szczególnie zgraja lichych przyjaciół ludu, filozofów szynkownych, pisarzy brukowych, czerwonych chustek z r. 1848, ponurych spadkobierców po przedawnionych samolubstwach, i ci wszyscy których widnokrąg jest zazdrością i zawiścią ścieśniony, których prorokiem Robespierre, stołem ofiarniczym gilotyna, ideałem mordy r. 1793 i zemsty r. 1815..... Wybierzemy go dla tego jeszcze żeśmy oskarżonego widzieli, a powodów oskarżenia szczérze, jasno, otwarcie nikt nieumiał przytoczyć, i niespostrzegliśmy nigdy ani przypadku z którego oskarżenie wytoczyć, ani wypadku którym oskarżenie usprawiedliwić było można.

Za panem Ludwikiem Bonaparte będziemy głosować dla tego że jego życie jest zbrodniami niesplamione, dla tego że hypokrytą nigdy niebył, że monarchii niesłużył kiedy monarchia kwitnęła, będąc jak pan Cavaignac gorliwym republikanem, dla tego jeszcze że wiernie kochał ojczyznę, i nic mu zarzucić niemożna chyba

że jest cesarza synowcem a Ludwika Filipa nieprzyjacielem.

Ale w oczach naszych urodzenie pana Ludwika Bonaparte nie jest żadną plamą. Pokrewieństwo z cesarzem jest właśnie pierwszą podstawą naszego przywiązania i naszych nadziei. To samo powiemy o jego imieniu. Bo to imie zawsze najdroższém ludowi, najbardziéj znaném, najbardziéj szanowném zostanie. W dziejach naszych żadne go świetnością i sławą nieprześcignie..... Jest to imie w sercu Francyi wyryte.....

Wiadomo z jaką dzielnością *Pressa* kandydaturę Ludwika Napoleona poparła. Pięć i pół milionami głosów został prezydent wybranym, a wkrótce przynosząc na głowę jego cesarską koronę, okazała Francya jak wysoko ceni tych którzy silnie nią władać umieją. Pana Girardin jak i całéj prasy nierządowéj działalność zdrobniała. Polemika publicystów praktycznego celu więcéj niemiała i z mownicą polityczną ucichły polityczne dzienniki. Pan Girardin odtąd z pola musiał ustąpić na którem przez długie lata walczył za rządem silnym jakiego Francya potrzebuje, i którego nakoniec dopięła. Czy zaś prywatna jego ambicya została zadowolnioną, to rzecz inna, osobistości jego tycząca się, którą nateraz zajmować się niemamy potrzeby. Dość nam było wykazać stateczność zasad publicysty upatrującego w silnym rządzie warunek postępu narodowego. Przyjdzie jeszcze rzucić okiem na zawód czysto dziennikarski.

To wszelako rozróżnienie pomiędzy publicystą i dziennikarzem, dokładniéj usprawiedliwić najprzód wypadnie, powtóre ważną uwagę zamieścić co do sta-

nowiska z którego piśmiennictwo dzienne sądzić należy. Tych dwóch przedmiotów niemożemy rozłączyć bo się w jednym wykaże co drugiemu służyć będzie za dowód.

Publicystę przeto w panu Girardin widzimy kiedy stałą niezmienną stawia zasadę postępu spółecznego przez władzę, i kiedy tę zasadę broni przeciwko nadarzającym się objawom zasad przeciwnych. A zaś w nim dziennikarza widzimy kiedy sprawy bieżące rozbiera, opowiada, wychwala lub gani, kiedy tego lub owego ministra osądza, wspiera lub potępia, kiedy tych lub owych środków nastręcza potrzebę dla otrzymania skutków podrzędnych. Publicysta zasadami polityki narodowéj, dziennikarz zastósowaniem polityki do spraw codziennych bywają zajęci. Niepowiadamy przezto bynajmniéj żeby dziennikarzy stanowisko mniéj chlubném od stanowiska publicysty być miało, bo każdego znaczenie od osobistego uzdolnienia zależy, a praca dziennikarza jest przy równych zdolnościach nierównie trudniejszą, i daleko więcéj bystrości spoglądów, wprawy w pisaniu, i taktu w wyrażeniu się wymaga.

Inną zatém miarą publicystę, inną dziennikarza mierzyć trzeba, i od ostatniego, téj konsekwencyi, téj jednostajności zdania nieżądać, którą publicysta może zachować i zachować powinien, ani nawet téj nieomylności w przytoczeniu faktów, bo tych sprawdzać, praca koniecznie nagła niepozwala. Któżby mógł chcieć dziennik takiéj saméj krytyce poddać co książkę? Codzienne artykuły nierodzą się wpośród téj ci-

chości, téj swobody, któreby umysł pogodnym zostawiały, i każde słowo ważyć, mierzyć i gładzić pozwoliły. Ani też artykuły są pisane dla czytelników bezstronnych, spokojnych, przeto zdolnych sądu sprawiedliwego. Mówię o téj epoce dziennikarstwa francuzkiego, w któréj pana Girardin wzniosło się znaczenie. W takiéj zaś epoce jakże się praca dziennikarza musi odbywać? Zaszedł wypadek, trzeba dla honoru dziennika, żeby nazajutrz rano został abonantom doniesiony, i należycie przedstawiony. Potrzeba nieledwo w mgnieniu oka przy nocnéj lampie, wszystkie szczegóły zebrać i osądzić, jedne opuścić, drugie wydatnie oznaczyć; potrzeba bystrym spoglądem zbadać co dzienniki przeciwne powiedzą, jakie dla siebie korzystne wnioski ciągnąć zdołają, jak im czoło stawić, a przytém z własną partyą nieporóżnić się: trzeba przeczuć postępowanie rządu, czego sobie będzie życzyć, czego nieprzepuści: trzeba trafić w usposobienie publiczności, ażeby w niéj wzbudzić to przekonanie, którego dziennik potrzebuje, i przytém przewidzieć jakie będą skutki tak napisanego artykułu, ze względu na cele, które sobie redakcya postawiła. Na to wszystko czasu niewiele zostaje, bo wysłaniec z drukarni niecierpliwi się w drugim pokoju. A tu znajduje dziennikarz że doniesienie uczyniono mu niedokładne i niezupełne, więc tę słabą stronę musi zręcznem wysłowieniem się ukryć: odgadnie namiętną napaść przeciwnika, téj musi zapobiedz: domyśli się instrukcyi przesłanych dziennikom urzędowym, wedle tego musi mierzyć swe słowa: a prócz tego wszystkiego trzeba

stylu nie zaniedbać żeby był gramatykalny bez zmazy, i żeby był spokojny lub namiętny stósownie do tego czy namiętności ma poruszyć lub uśmierzyć. Jest to więc cząstkowym obrazem wszystkich trudności do redakcyi dziennika politycznego przywiązanych, a o tém niewspomnieliśmy wcale że umysł samego redaktora może być osobistemi napaściami rozdrażniony lub pracą znękany, lub domowemi wypadkami zajęty. Te nawet okoliczności opuszczając, musimy przyznać iż artykułów dziennikarskich osądzać byłoby niesłusznością, niemając względu na okoliczności, w których i na cele, dla których były pisane tudzież na gorączkową atmosferę, w któréj znajdowali się jak ci którzy piszą, tak ci dla których pisano. Jeżeli téj uwagi z pamięci nie stracimy, będziemy mogli czysto dziennikarską biografią pana Girardin ocenić sprawiedliwiéj aniżeli ci wszyscy czynili, których nieprzyjaźń ściągnął na siebie. Którzy zaś byli najzaciętszemi jego nieprzyjaciołmi, dla czego nimi byli, i jakim sposobem massę cudzoziemców we Francyi przebywających na swą stronę przyciągnąć zdołali, to się w ciągu pisania potocznie wykaże.

Prywatnego życia pana Girardin radzibyśmy nie tykać się wcale. Wszakże to jest niepodobna: bo jak klucz publicystycznego zawodu znaleźliśmy w zasadzie rządowéj jego, tak klucz zawodu dziennikarskiego w życiu jego znajdziemy, rozważając jednocześnie koleje przez które sam przechodził, i zmienności któremi się indywidualność jego w dzienniku wyrażała.

Posłuży nam do tego poczęści książeczka pod tytułem *Emile* w któréj pan Girardin początki swe wypowiedział, poczęści powszechnie znane opisy lat ostatnich.

Pan Emil de Girardin około 1803 r. urodził się w Paryżu, matki niezaznał nigdy, ojca dopiero w latach późniejszych Jenerała de Girardin. Tak więc od najpierwszéj młodości swojéj własnéj sile i własnym zdolnościom los swój powierzać został przyuczonym. Jakie w nim wrzały myśli z tych słów widać, które w przytoczonéj powyżéj książce zapisał: »Bogactwo to religia dzisiejsza, egoizm duchem wie»ku! Żeby się z ciemności wydobyć jeden tylko po»zostaje środek, drapać ziemię pazurami jeżeli niestać »na narzędzia, ale póty drapać póki złota niewydo»będziesz« (*Emile* str. 79).— Narzędziem pana Girardin było pióro niepospolite, wytrwałość, śmiałość, i determinacya niezłomna. Najprzód dziennik rozpoczął na wzór magazynów angielskich z wielkiem szczęściem. Potém pod opieką księżnéj de Berry czasopismo *la Mode* które do lepszego życia mu dopomagało, gdy rewolucya lipcowa wybuchła. W krótce po téj ożenił się z Delfiną Gay słynącą wdziękami, dowcipem i poezyą. Wnet dziennik »Wiadomości pożytecznych« (*Connaissances utiles*) założył wedle systemu swojego tanich abonamentów, i niebawem to pismo stotysięcy abonentów liczyło. Kilka jeszcze czasopismów założył, przytem instytut agronomiczny w Coetbo, ale to wszystko podrzędne dla niego były zajęcia, aż na-

konicc w r. 1834 na deputowanego departamentu la Creuse został wybranym.

Odtąd się przed nim polityczny zawód otworzył. Ale pan Girardin mowcą niejest i na tém polu, na którém Guizot, Thiers, Molé, Dufaure, Lamartine i inni jaśnieli, on chwalebnego występowania niemógł mieć nadziei. Osądziwszy doskonale własną niemoc siłę, inną sobie mownicę wytworzył założeniem dziennika *la Presse*, którego na dniu 15 czerwca 1836 prospektus ogłoszonym został. Wtedy pana Girardin praktyczny umysł i znajomość charakteru francuzkiego udowodniły się przezto iż abonament roczny spuścił na 40 franków, kiedy dzienników innych kosztował dwa razy tyle. Niska cyfra abonamentu zapewniła *Pressie*, w narodzie oszczędnym jakiemi są Francuzi wielką wziętość odrazu, którą niebawem talent i takt polityczny redakcyi w przeważny wpływ zamieniły. Ale to zniżenie ceny dziennika wywołało nieuśmierzoną zawiść innych dziennikarzy francuzkich, dla których kwestya pieniężna wielką ma ważność. Nie przypisujemy téj pogoni za pieniędzmi szczególnemu narodowemu usposobieniu Francuzów, ale widzimy w tém skutek konieczny przemian spółecznych które żadnego innego źródła wpływu i znaczenia niezostawiły prócz pieniędzy lub urzędów.

Rozpoczęły więc inne dzienniki walkę na zabój przeciwko *Pressie*, i zaczepiały redaktora głównego ze strony osobistéj uczciwości, gdyż umiarkowanie redakcyi do zaczepki na polu zasad niedawało powodu. P. Girardin napastników do odpowiedzialności

sądowéj pociągnął. Tego procesu skutkiem bezpośrednim był pojedynek, w którym zginął Armand Carrel redaktor główny *Nationala*, a następstwem niezatarta nienawiść całego stronnictwa niby republikańskiego. Ale na téj nienawiści niestanęło albowiem wszyscy wychodźcy którzy we Francyi przytułek znalazłszy, obietnicami *Nationala* uwodzeni wpływowi jego ulegali, uczucia téj partyi sobie przysposobili, i wraz z nią pana Girardin oszustem, sprzedajnym człowiekiem i ajentem obcego mocarstwa okrzyczeli. Na to wszystko p. Girardin zdawał się niezważać, ale politycznym rozprawom cały swój talent i swą łatwość poświęcał. W r. 1837. *Pressa* wspierała ministerium pana Guizot, i od tego ministra wsparcia nawzajem doznawała; z którego powodu na wyrzuty niemałe wystawioną była. Po rozwiązaniu izby w r. 1839 p. Girardin znów w tymże samym departamencie został obranym, ale niechęć licznych przeciwników wybór ten unieważnić potrafiła w sposób najboleśniejszy bo dotknięciem nielegalnego urodzenia, i przez lat kilka w izbie niemógł zasiadać. Ten cios zatruł umysł pana Girardin goryczą: odtąd namiętne począł rzucać pociski na znaczniejszych członków izby deputowanych, i na tak zwane ministeryum koalicyi, łączące w sobie najsprzeczniejsze żywioły bo p. p. Guizot, Thiers i Odilon Barrot! Gdy przecie w r. 1840 p. Thiers uformował ministeryum z upośledzeniem pana Guizot, wrócił p. Girardin pod tego ostatniego znaki, przewidując iż do niego władza wkrótce powróci, i tak długo przy nim trwać będzie jak korona na głowie

Ludwika Filipa. Tak też i było, ale nie bez racyi napisał p. Girardin te słowa o swoim dzienniku:

Pressa jest zegarem który spieszy o sześć miesięcy w politycznych wypadkach które przewiduje (*Presse* 30 grudnia 1848).

Może w ostatnich miesiącach r. 1847 już *Pressa* przeczuwała że się ministeryum pana Guizot przeciwko przemagającéj opozycyi utrzymać długo niezdoła. Prócz tego przykry wypadek przyczynił się do przerzucenia pana Girardin w szeregi osobistych nieprzyjaciół pana Guizot. Albowiem oskarżającemu ministrów w izbie o różne nadużycia odpowiedział p. Guizot przeczytaniem listu, w którym p. Girardin zdawał się ofiarować gabinetowi pomoc lub przynajmniéj milczenie *Pressy* byle parostwo ojcu jego jenerałowi de Girardin daném zostało. Odtąd wyraźnie opozycyjną barwę przeciwko ministrom *Pressa* przybrała, ale z partyą radykalną żadnych stosunków niezawiązała. Gdy bowiem 15 stycznia 1848 r. hrabia Montalembert z mownicy namiętne rzucił potępienie na schadzki ultra rewolucyjne, które się w niektórych miejscach Francyi odbywały, *Pressa* z największemi pochwałami o téj mowie wspomniała.

Ale zbliżała się szybko katastrofa ostateczna. Pan Girardin był na nią przygotowany, bo już 7 lutego w energicznym liście dymissyą swą izbie deputowanych przesłał, jak ten majtek który rozbicie okrętu przewidując zrzuca z siebie wszystkie przybory. Abdykacya króla zdawała mu się podobno rzeczą konieczną, a rejencya nowém polem wyniesienia się.

Wiadomo jak niespodziewany obrót wzięły rzeczy, jakie nastało zamieszanie pod imieniem republiki.

Nie stawiać prądowi czoła, bo nie wiedzieć na czyją korzyść, z nieprzyjaciołmi tryumfującemi zawrzeć mir chwilowy, władzę przypadkową ale jedyną wspierać w pierwszych chwilach, to było roztropnością nieodzownie nakazaném, i tego nigdy panu Girardin niewyrzucano, chociaż śmiałość zadziwiać mogła niejednego. Ale ganiono raptowne wychwalanie wolności nieograniczonéj i przybranie nazwy socialisty. Przecie jeźli zważymy że nie było nic bardziéj sprzecznego z doktryną socyalistów od nieograniczonéj wolności, uznamy w tém wszystkiém bardziéj fortel dziennikarski niż zmianę zasad. Rozważymy przeto, dla czego p. Girardin był teraz za wolnością nieograniczoną, on który w 1847 napisał iż »w jego myślach pierwsze miejsce trzyma władza, na drugiém dopiero staje wolność;« — powtóre rozbierzemy, jakim on stał się socyalistą i dla czego.

Co do pierwszego obaczmy po jakich szczeblach p. Girardin od zdania dopiero przytoczonego do teoryi wolności nieograniczonéj przyszedł. W pierwszych tygodniach rewolucyi lutego pisał w *Pressie:*

Wolność sama przez się niebezpieczną nie jest, tylko przez zawrót który nagłego wychylenia kielicha bywa skutkiem (7 lutego 1848). Wolności każdéj zbytek, jest śmiercią wolności, kiedy należytego niebyło przysposobienia w narodzie. (3 marca 1848).

Ale 28 stycznia 1850 czytamy w *Pressie:*

Musiał p. Girardin kwestyą wszechstronnie rozważyć,

aż dopiero idąc za zdaniami które zapisali Mirabeau, Chateaubriand, B. Constant, Guizot, Thiers, O. Barrot, Passy, Tocqueville, Tracy, wyznał iż własne zdanie było mylném, iż *wolność* i *granice wolności* są dwa pojęcia tak z sobą sprzeczne jak *całość* i *ułomek*.

Takie zdanie, któremu przytoczenie nazwisk wszelką szczérość odejmuje, nie jest wyznaniem zasady publicysty, lecz oczywiście fortelem dziennikarza, występującego przeciwko przymusowi, którego zwycięzkie stronnictwo użyć chciało, dla narzucenia Francyi myśli swoich. Odkąd anarchiści stać się chcieli despotami, mógł p. Girardin mniemać iż przeciwko nim tych samych broni użyć wypadało, któremi do zwycięztwa byli przyszli. Nie oszukało takie postępowanie nikogo ale panu Girardin zaszkodziło. Ludzie porządku widzieli w nim zbiega, anarchiści niebezpiecznego rywala, socyaliści przeciwnika dążności swoich absolutnych. *Pressy* znaczenie upadło i p. Girardin pod rządami Cesarstwa stał się nieużytecznym.

Co do socyalizmu pana Girardin, uważmy najprzód iż nazwa socyalizmu żadnéj wyraźnéj zasady nieoznacza, a tém samém da się przybrać przez wszystkie teorye jak ekonomiczne, tak polityczne, które pod pozorami dobra społeczności ludzkiéj *(societé)* do zmian ekonomicznych lub politycznych dążą. Lada reformator pod takim występujący sztandarem, mógł powiedzieć iż jest »socyalistą«. Bo jeżeli socyalistami byli Louis Blanc i Considérant, tyle różni w doktrynie i w celu, a zarazem i Proudhon, który wszystkich doktryny i cele wyszydzał, dla czego nie mógł i p.

Girardin powiedzieć o sobie w r. 1850 »nie zostałem socyalistą, ale zawsze nim byłem«.?.

P. Girardin był istotnie oddawna reformatorem, i ciągłém dążeniem jego znaleźć środki urzeczywistnienia myśli swoich przez władzę rządową jaka była. W takiéj więc epoce, w któréj każden człowiek polityczny musiał sobie nazwę jakiego stronnictwa przypiąć, żeby do innych nie być porwanym, p. Girardin republikana niechcąc nieść nazwiska, Orleanizmowi niedowierzając, legitymizmu niepojmując, do religijnych ludzi nienależąc, komunistą ani *czerwonym* niebędąc, nazwał reformatorskie swe teorye socyalizmem, słowem nader obszernego znaczenia, tak jak ludzie niesmakujący w maskach Chińczyków, trubadurów, rycerzy lub zwierząt, w przestrone domino na reducie oblec się zwykli, bo taki strój na reducie być pozwala i własnego ubrania złożyć nienakazuje.

Dość że p. Girardin ani organizacyi pracy Ludwika Blanc, ani falansterów Wiktora Considérant, ani rozmaitych innych projektów socyalistycznych przewodzców, niepodzielił. Z jednym panem Proudhon chciał zawiązać stosunki, który właśnie niedorzeczności wszystkich systemów wykazywał. Czém więc było to wyznanie socyalizmu? Manewrem dziennikarskim żeby reformom swym torować drogę w publiczności rewolucyjnéj. A być może iż działaniu takiemu zręczność byłoby się przyznało, gdyby wypadkom nagłego obrotu nie był nadał energiczny czyn 2 grudnia...

Na tém to zeszkicowanie zawodu pana Girardin zakończymy, nie dotykając wcale tych spraw, które nie-

konieczny z publiczném jego występywaniem miały związek. Jak wsławić tak potępić go, nie było naszym zamiarem. Osądzić nawet nie chcemy, bo stosunki uprzejme któreśmy z nim samym mieli, ganiących na zarzut niewdzięczności, chwalących na zarzut stronności, mogłyby wystawić. Pan Girardin jest niezawodnie pisarzem nadzwyczajnego talentu i mężem nieustraszonéj odwagi. Tego nikt nigdy zaprzeczyć mu nie śmiał. Syn własnych usiłowań, dopiął niezrównanéj wziętości jako dziennikarz, zdobył położenie towarzyskie i polityczne znaczenie. Zdało się nam, iż rozważenie zawodu tego jednego z najcelniejszych redaktorów politycznych, sprostować może błędne o nim mniemania w kraju naszym krążące, oceniając stanowisko dzienników francuzkich przed ogłoszeniem Cesarstwa. Zaś rozprawa o dziełach pana Girardin, wychodziłaby po za obręb którysmy sobie zakreślili.

Leon Rzewuski.

O CHLEBIE.

(z notat do badań „o kuchni w Polsce“).

„Chleb — święte słowo w niebie i na ziemi,
W nim Bóg sam siebie między ludzi dzieli,
Przed Chlebem Życia truchleją Anieli,
Człek się nim raczy jak słowy świętemi;
W chlebie Sakrament odkupienia bierze,
W chlebie jest Stwórcy z ludzkością przymierze.
A gdzie Bóg zsyła swojego Anioła,
I dzikich ludzi ku światłu powoła,
Tam zaraz zbożem zasiewa się niwa.
Srogi syn lasu zaraz chleb pożywa;
A skoro spożył, wnet się uszlachetni,
Wnet się w ogniwa społeczne kojarzy,
Chleb jego przyszłość dziejową uświetni
I piętno Boże wyciśnie na twarzy;
W marnéj okrusze barbarzyńcy prości
Przyjęli święty Sakrament ludzkości“. —

Trudno wznioślęj przedstawić wagę i znaczenie chleba, jak powtórzeniem tych słów Syrokomli. Gdzie się

historya jakiego narodu zaczyna, tam chleb pierwszym jest z wyrazów, który dziejopisowi wyrzec przychodzi. Gdy Bóg karze, to pola nie złocą się ziarnem, a straszne słowo *głód*, brak chleba opowiada. Jeśli błogosławieństwo ożywczą rosą bujne odwilży łany; to znów ciesząc się chlebem, jako łaskę i wejrzenie Boże przyjmuje lud dar Pański. Chleb i w najdroższéj okruszynie jest podzielny, aby zawsze miłosierdzie nim pełnić można — to też chleb jałmużnę czyni i jałmużną rośnie. Łzy na chleb padają — Anieli z nieba świętym go znoszą; a Zbawiciel czyni zeń żywe i prawe ciało swoje. Od najstarożytniejszych czasów widzimy chleb na ołtarzach — u wszystkich pojawia się ludów jako znamie symboliczne: błogosławieństwa, miłości i braterstwa.

Chleb (*panis*) znaczy w piśmie świętem wszelki rodzaj żywności. Jest tam i chleb łez, bezbożności, oszukania — chleb anielski i duchowny. Przez chleb oznacza się niekiedy Kościół, — że jako ten z tysiąca ziarn, tak z wielu wiernych składa się chléb święty Chrystusów; owo mistyczne ciało w pojęciu Kościoła wyrażone. Niekiedy sam Zbawiciel, ten pokarm nasz duchowny; chlebem bywa zwany. Chleby w liczbie dwunastu przez Judzkie pokolenia na ołtarzu kładzione, zwie pismo Boże świętemi. Jestto jakby figura Apostołów, którzy świat nakarmili słowem objawienia.

Już Indowie, Grecy, Rzymianie i ich następcy aż do czasów pierwszych wieków Chrześciaństwa, na groby umarłym jako ostatni dar ziemi chleby zanoszą. Toć dopiero świętej Monice zakaz Ojca Kościoła Ambrożego wzbronił zanieść chleba do grobów męczenników.

U nas za czasów pogaństwa a potem w dzień zaduszny, kładziono umarłym chleby na mogiły. Na Litwie dotąd dwa bochenki niby na odprawę z ziemi dają do trumny umarłemu. Żona gdy wyniosą mężowskiego trupa, kładzie tam w chacie chleb, gdzie leżała głowa

jego. Jakoby przez to prosiła Litwinka nieba: by z wiecznėm zaśnięciem tėj głowy, nie skończył się dla niėj dostatek. Na Rusi i do trumny i na jėj wieku kładą po bochnie chleba, gdy ciało zmarłego opuszcza próg rodzinnėj chaty.

U nas chleb był rzecby można godłem narodu — od niego poczęły się dzieje nasze, bo Anieli koroną darzą Piasta, że miał dość chleba na gościnność i jałmużnę. To też piękne jako poezya powieści o tych wiekach co się poczęły od chleba przełamanego z wysłańcami bożemi. —

„*Był kraj cały jednym łanem*,
A lud wszystek wielkim panem“ —

Stała ta pomyślność miłością, która sama jedna po wsze czasy pięciorgiem chleba miliony żywić może. Mądra ta przeszłość co nam zostawiła powiastkę o chlebie oliwskim, wskazując jako w rękach złego i ten dar Boży kamieniem się staje.

Zostawmy mędrkom zimne słowo *zabobon*, a z przekonaniem że nie błahe to i lekkie co dziesięć uświęciło wieków; przypatrzmy się zwyczajom w których nam przeszłość stare o chlebie gadki opowie.

Z siekierą, ogniem i garścią ziarna, staje chłop na pustem polu — trzeba budować chatę; ów przytułek dla chleba. Po założeniu podwalin, kładzie gospodarz w każdym rogu ośródkę, zostawiając ją na noc — uważa nazajutrz: czyli z którėj strony nie zginęła. Jeśli jėj nie znajdzie, pewny że to miejsce nieszczęśliwe — dobre duchy o głodzie go przestrzegają. Posuwa więc podwaliny w inną stronę, gdzie pozostały nienaruszony chleb dobrze zawróży.

Oto skowronek z pod bryłki chłodnėj jeszcze ziemi, uleciał już w rozjaśnione wiosennem słońcem wyżyny;

a gospodarz po raz pierwszy wychodzi z garścią ziarna na sprawione pole. Żona nie wydaje tego dnia nikomu ognia z domu, a on zabiera z sobą z chaty: chléb, sól i wodę. Te symbole darów Bożych stawia w miejscu gdzie ma wrzucić pierwsze ziarna zboża, rozpoczyna siew modlitwą by mu starczyło: dla rodziny, gościa, złodzieja i ptaka.

Rozciąganie troskliwéj pieczołowitości ku zwierzętom, spowodowane nie już względami korzyści ale uczuciem; często się znajduje w zwyczajach ludu. Chcąc się bliżéj przypatrzyć przyczynom takiego zjawiska, stosunek człowieka do zwierząt tłumaczyć by przyszło — czém odbieglibyśmy na inne pole od założenia obecnéj pracy naszéj:

Niektóre rośliny wedle wiary ludu (osobliwie ruskiego) są strzeżone przez złe duchy. Przed ich tedy wykopaniem, kładzie przy sobie rolnik kruszynę chleba; którą potem jako zapłatę złemu, w miejscu wykopanego ziela zostawia.

W domach chłopskich i szlacheckich, na stole nakrytym leżał zawsze chleb z solą, owa gościnności oznaka — witano nim każdego co próg przestąpił.

Pierwszy chleb z nowego ziarna upieczony, dawano zwykle panu we wsi i panującemu w kraju. Wójt krakowski na czele rady gminnéj, w ceremonialnym pochodzie nosił na Wawel ten wdzięczny upominek. Królowie chlebnéj ziemi, ze łzami w oczach odbierali zwykle ten dar pełen narodowéj szczerości. Jeszcze Stanisławowi Augustowi woził burmistrz krakowski co roku w święty Jan, bochenek promnickiego chleba, który w Warszawie odbierał.

Chleb uważa się za święty; ztąd stół na którym leży profanowanym być nie może — okruszyny zbierają skrzętnie, a dla zachowania ich od poniewierki w ogień

wrzucają. Przed rozpoczęciem dzielenia nowego bochenka, krający nożem kreśli na nim krzyż.

Gdy się dwa bochenki chleba połączą przy pieczeniu, wtedy gospodyni domu rozłamuje je nad głową dziecięcia, co jest rodzajem błogosławieństwa. Przyczyna tego leży w odwiecznêm uważaniu liczby dwóch za symbol płodności i szczęścia — począwszy od bliźniąt a skończywszy na dwóch zrośniętych owocach lub liściach; zawsze z posiadania lub znalezienia takiéj dwójki, pomyślność wróżono.

Chleba przewrotnie na stole kłaść nie wolno, gdyż to niezgodę do domu sprowadza. Gdy bochenek upadnie, przepraszają dar Boży, całują go podnosząc.

Wyniesienie chleba i soli na graniczne kopce wsi, w czasie powitania nowego dziedzica, jest oznaką największéj przychylności.

Kto obcemu wyda piętkę z chleba, szczęście dom jego opuści.

Chłop nasz (na Litwie, Wołyniu, Podolu i Ukrainie) nawet ogień gościnnie przyjmuje, chcąc srogość jego dobrą wolą przejednać. W czasie pożaru wynoszą przed domy chleb i sól.

Jest zwyczaj zapraszać się *na chleb żałobny*, rozumiejąc przez to ucztę po odbytym pogrzebie. Wyrażenia i złączone z niemi pojęcia jak: *chleb dobrze zasłużonych* (*panis bene meritorum*) i *chleb łaskawy*, można nazwać najszlachetniejszymi w języku i obyczajach naszych. Tu należy określenie dobroczynnego, o którym mawiano: że *Dla Nieba dorabia się chleba.*

W medycynie ludowéj chleb nie mało znaczy [1]) — na fluxyą pomagają żółtka z solą i gliną z miejsca gdzie chleb się piecze — na bolenie gardła dobre bułeczki Śtéj

---

[1]) O przesądach lekarskich ludu, pisał rozprawę Dr. M. Zieleniewski — wyszła w Krakowie 1845 r.

Agaty. Przy odczynieniu uroków, wypada dojść czy mężczyzna czy kobieta urzekła; w tym celu do naczynia pełnego wody, wrzuca się trzy kawałki żytniego chleba i trzy żarzące węgliki; jeśli chleb pierw tonie kobieta urzekła, jeśli węgle mężczyzna. Krwotoki z ran tamują się ośródką i pajęczyną — biegunka leczy się grubym chlebem. W przeszłym już wieku używano chleba i wody za powszechną na wszelkie choroby medycynę; przekonać się o tem można z broszury: „*Chleb i woda, ludzka wygoda*“ którą był X. Olaw Gottwald wydał w Krakowie 1778 r.

Za życia przygotowaną trumnę nasypywano żytem; gdy się ziarno szparami wytrzęsło lub je myszy ścięły, śmierć bliską znaczyło — brak chleba to i koniec żywota.

Dał Pan Bóg dostatek, starczy dla rodziny i gościa dziewka dorosła; przed domem stoi już koło od wozu na wysokiéj tyce, na znak że jest co wywieźć z téj chaty — lub też wieniec zawieszony na żerdzi, głosi o pannie na wydaniu — wreszcie wrota wapnem upstrzone wabią swatów, ukazując gdzie się rutka sieje. A więc idą swaty i będzie weselisko. Niema obrzędu któryby się obył bez chleba, i przy weselnych tedy zwyczajach nie błahe miewa znaczenie.

Na Litwie i Podlasiu swaty przychodzą do rodziców dziewki z chlebem pana młodego. U Mazurów gdy do ślubu jadą, jest obyczaj iż najstarszy drużba od połowy drogi (między kościołem a chatą) wraca galopem, pędzi do domu po chleb i z tym objeżdżając drużynę, na ucztę zaprasza. W krakowskiém pannę młodą przy oczepinach na dzieży sadowią — wracających z kościoła po ślubie spotykają u progu chaty z chlebem, miodem i solą; a gospodarz państwa młodych i całą drużynę owsem osypuje. W Lubelskiem po uczcie weselnéj młodzi małżonkowie dostają od swachy po bochenku chle-

ba, każde z nich toczy go po podłodze; jeśli razem idą i razem upadną to znak pomyślności, przeciwnie, zła wróżba. Zwykle przy chłopskich i szlacheckich zaślubinach, matka wyprawiająca córkę za mąż, przed wyjściem do kościoła kładzie jéj w wianek: chleb, cukier i pieniądz, życząc temi symbolami: życia, słodyczy i dostatku.

W Litwie matka panny młodéj przychodzi po ślubie do synowéj z chlebem — obdarzona trzy razy w okół stołu dar obnosi, dziękczyniąc i kłaniając się kątom. Na Białéj Rusi czyni to panna młoda, gdy pierwszy raz w dom mężowski wchodzi — przybywszy z orszakiem przed próg, przestępuje rozniecony na nim ogień; a owo obchodzenie stołu z chlebem oznacza zapewne: że tutaj czuje się już gospodynią i gościa częstować jéj się godzi. W zadniestrzańskiéj Rusi przy zaręczynach jest obecnym kapłan, wiąże ręce oblubieńcom na chlebie białą chustą przykrytym. W krakowskiem oblubienica zapraszając na wesele, chodzi po wsi i rozruca chleb w kształcie małych jakby kulek pieczony, *osutkami* czyli *rozsutkami* od rozsypywania zwany. Na Podlasiu kiedy państwo młodzi na wesele jadą, matka chleb kładzie przed końmi a osypuje oblubieńców solą, aby ich od uroków uchronić.

U szlachty i mieszczan, wracających z kościoła nowożeńców witano chlebem, a w tym często sto czerwonych złotych się więziło.

Korowaj jest pieczywem uprzywilejowaném w obrzędach wesel chłopskich; na Rusi piecze go sama panna młoda z pomocą 3, 5, 7 (zawsze nieparzysto) kobiet — wtedy śpiewają w ten sens: Sam Bóg ciasto na korowaj miesi, Najświętsza Panna go święci, Anieli wodę noszą. Zwykle korowaje piecze się w niedzielę rano w czasie Mszy śtéj — są to chleby z mąki pszennéj, różnie ozdobne szyszkami złoconemi, kwiatkami i rószcz-

kami jodłowemi — jak wszystko tu symboliczne, takie też znaczenie mają jaja w dwóch końcach utkwione. Przez cały tydzień weselny korowaje są w zapasie dla powinowatych, przyjaciół i gości, noszą je też w ceremonialnym orzzaku i do dworu. Pierwotnie ten rodzaj pieczywa zdobił u nas książęce i pańskie weselne uczty. Korowaj stawiają zwykle na wieku od dzieży zasłaném owsem.

Owo pojawianie się owsa wszędzie gdzie chodzi o wyrażenie dostatku, plenności, słowem chleba; jest powszechne w krajach słowiańskich. Owies przedstawia wszelki rodzaj ziarna — kiedy się nowa siejba poczyna: święcą owies w dzień Wniebowzięcia N. M. Panny; modląc się o błogosławieństwo polom i rolnéj pracy. Święcą także owies w drugi dzień Bożego Narodzenia, zwyczaj to tylko w Polsce i u Słowian znany. Mylnie tłomaczą przyczynę, przywodząc tu pamiątkę kamienowania Ś. Szczepana i obrzucanie dla tego owsem kapłana. Także nie zdaje nam się twierdzenie: iż powód tego obrzędu leży w zwyczaju dawnym płacenia w ten dzień czeladzi zbożem za rok ukończonych zasług. Sądzimy że to może wyrażenie owéj wielkiéj chwili gdy: Bóg się rodzi, chleb się rodzi!

W pierwotnych czasach Chrześciaństwa w Wilią Bożego Narodzenia, odbywano w kościele ucztę miłości (*Agape*). Jako członkowie jednéj chrześciańskiéj rodziny, na znak równości którą miłość rodzi, łamali się chlebem, roznosząc okruchy z błogosławieństwem do domów. Ztąd po wejściu gwiazdy, przy zasiadaniu do Wieczerzy Bożego Narodzenia, łamiemy się opłatkiem, na znak obowiązku wzajemnego poświęcenia się jednych za drugich przez miłość bliźniego. Łamanie się chlebem i jedzenie go społem, tworzyło w obyczaju naszym braterstwo; między tymi co z sobą chleb i sól jadali nie było niezgody, bójki i zdrady.

W siano zasłanego na wieczerzę stołu kładzie się: chleb, drobną monetę i lalki — co kto wyciągnie jest mu wróżbą w tym roku spełnić się mającéj przyszłości. W pierwszych wiekach Chrześciaństwa wierni przynosili z sobą chleb do ofiary Mszy śtéj — z tego brał kapłan tylko tyle, ile do konsekracyi potrzeba, resztę zaś błogosławił i rozdawał; takie też święcone chleby biskupi i księża do domów jako duchowne podarki rozsélali. Z tego zwyczaju pochodzą opłatki na kolendę przez proboszczów parafianom udzielane. Kościół Matka obdziela wtedy chlebem społeczeństwo wiernych w miłości żyjące.

Jest na Rusi zwyczaj, że gumienny przychodząc na nowy rok z kolendą do dworu, sypie na podłogę wszelakie zboże życząc urodzaju.

W święto Trzech Króli, szczodry wieczór; darzono się upominkami. U ludu piecze się wtedy chleb i rozdawa ubogim, jako królowie Wschodu raczyli darami Zbawiciela. Po te bochenki chodzą od chaty do chaty chłopcy ubogie — a chleb ów od szczodroty, *szczodrakami* się zwie.

Dnia 5 lutego w uroczystość śtéj Agaty, jest zwyczaj w kościele święcenia chleba i wody. W modlitwie przy tym obrządku błaga kapłan Boga: aby przez wstawienie się śtéj męczenniczki, ogniem ludu swego nie karał. Święta cudownie ocaliła miasto Katanę, zwracając od niéj wylew lawą buchającéj Etny. Ogień jest nieprzyjacielem chleba i wody — ztąd w czasie pożaru biegną dziewice z temi święconemi symbolami ochrony od ognia, ciskając je w płomienie.

Ów chleb co go na godach i przy zasiewie tak skromnie owies reprezentuje; jakże się świetnie przedstawia w czasie pożywania jajka wielkanocnego. Tu już chcąc tylko wyliczyć różne rodzaje tych przepysznych zastaw, trzebaby rzecz traktować z całą kucharską umiejętno

ścią — toć i napisy dowcipnie przemawiają z bogato ozdobionych placków i ornamenta jakby rzeźby kunsztem zalecają się oku; wreszcie różną konjekturą przygotowały zręczne gosposie figliki i krotochwile ku uweseleniu gości. Choćby uazwać tylko przyszło każdy kołacz jego mianem, toby słownik powstał z owych: *bab petynetowych* (dziurkowanych), *lukrowanych*, *migdałowych*, *razowych*, *obartuchów;* to znów *jajeczników* i *serowców* a *maczniczków* i *mazurków* w tysiącznych odmianach. Nie będziemy tu powtarzać opisów wielkanocnych wystawności święconego, jakie nam z przeszłości pozostały; to powieści z tysiąca i jednéj nocy, w czasach kiedy już nie chleb wykwintny ale razowy marzeniem się staje!

Podczas obchodu paschy w starym zakonie prawo Mojżesza nakazywało użycie chleba przaśnego, a kwaszonego w ten dzień nawet w domu mieć nie było wolno — ztąd dowód, że przy ustanowieniu Ś. Eucharystii Zbawiciel przaśnym chlebem się łamał. Używają tedy w obrządku łacińskim do N. Sakramentu chleba niekwaszonego; ale Kościół zostawia w tym względzie dowolność, nie uważając przeciwnego w kościele greckim obyczaju za naganny.

Jałmużna i ubóstwo wyniosły chleb i na świętych obrazy — w ikonografii mają niektórzy święci chleby za symbole i tak widzimy go na przedstawieniach: ŚŚ. Jana de Deo (wyżebrany), Gallusa (pustelniczy), Ś. Mikołaja (zesłany z nieba), Bertolda (miłosierny), Elżbiety z Węgier i Godfreda z Kappenburga (jałmużniczy), wreszcie Ś. Notburga (biedaczy). Często malują Boga Ojca sypiącego z obłoków na ziemię *zboże*, ów dar *z bożéj* łaski, co go *ubodzy* nie na ziemi ale *u Boga* mają.

W najodleglejszéj starożytności pierw zapewne jedzono zboże suszone i gotowane; a dopiero daleko późniéj po wynalazku żarn i młynów piec chleb poczęto. Nie

będziem się tu spierać kto pierwszy chleb z mąki wynalazł: czy Arkas syn Jowisza (na 1760 lat przed Chr.) jak chcą jedni; czyli też Grek Tryptolem o trzy wieki wcześniéj, jak się drugim twierdzić podoba. Toć na przekór tym literackim kłótniom widzimy już na 2000 lat przed Chrystusem, jako Abraham na przyjęcie Aniołów czleb piec rozkazuje. Wierzymy tedy że to nie samego człowieka dzieło, ale Bóg łaską swoją chlebem ludzkość obdarzył.

Sądząc wedle etymologii przyjąćby wypadło, żeśmy się od Greków pieczywa nauczyli; oni bowiem pieczony chleb zwali κλιβανος (clibanos) [2]) — *bułki* zaś (za Jagiełły już, później w Bielskim etc.) *zemellami* i *zemłami* zwane, oraz owe *rożki*, *strucle* i *precle* [3]), Niemcy nam pewno z naszego ziarna popiekli.

Mieliśmy prócz tego różne rodzaje chlebów: *plaskury*, *płaskury*, *proskury*, (opłatki) już tak w rachunkach Jagiełły i Jadwigi zwane, tamże wspomnione *obwarzanki*, wreszcie: sławny *promnik*, *chleb żółty*, *gruby* (*borys litewski*), *pszenny*, *żytni* (*rzany*), *podługowaty* (za Augusta III *królewskim* zwany), *razowy*, *komiśny*; *obroczny*, (dla czeladzi), *placki mosiężne* (*tworożne*), *kukły*, *kukiołki* (słynne zielenieckie); *bułki mątowe* (z mąki marymonckiéj), *siedleckie*, *poznańskie*, *rzędkowe*, *maślane*, *kukły*

---

[2]) O ile w ogóle pokarmy i napoje nasze z wspólnego zródła ludzkości wypłynęły od Żydów, Egipcyan, Greków i Rzymian, oraz od innych późniéj Europejskich ludów; zrozumieć można, czytając źródła cytowane w *Archäologie der Hebräer Dra J. L. Saalschütz Königsberg 1855 I. 47*, i w dziele Duńskiego pisarza J. *Hoffa* które był *Dr. E. F. Bojesen* pod napisem *Römische Antiquiteten* w r. 1849 w Frankfurcie wydał. Natrąciwszy o etymologii nazwy chleba, dodam: iż po sanskrycku *paczati* znaczy *piéc*, *prażyć*, a *pupach chléb*, *papka*.

[3]) O początku tych pieczyw, czytaj legendy i podania w Berlepsza *Chronik vom Bäckergewerk* str. 167).

bieckie i wojnickie, *rogalki*, *plecionki*, *czerniawczyckie obwarzaneczki* itp.

Do chleba prostego ludu wchodzi: owies, żyto, jęczmień albo sam albo na poły z hreczką przesiany, i dla tego *siemieszką* się zwie.

Pszenica uprażona i przypieczona, zwie się *prażmo*, a stanowiła zapewne pierwotne pożywienie, takiż owies nazywają Litwini *tołokno*. Do najdawniéjszych rodzajów pieczywa należą pewno: *podpłomyk* (z mąki jęczmiennéj między węglem upieczony placek), *powałka* (chleb ubogich), *osuch* (kołacz suchy) i *podskrobek* (placek z reszty ciast). Między pieczywem a leguminami pomieścić można te różne wytwory z ziarna przez lud sporządzane, jako: *gryczanek* (kluski z mąki tatarczanéj), *żur*, *kisiel* (z mąki owsianéj), *kwasza* (z żytniéj i hreczanéj), *lemieszka* (z hreczanéj), *prażucha* (zacierka z pszennéj prażonéj mąki), *pęcak* (z jęczmienia lub orkiszu tłuczonego z grochem), *sałamacha* (papka z mąki), *ciastuchy* (kluski obwarzone), *gruca* (owies lub orkisz tłuczony), *grycek* (placek z grysu czyli mąki tatarczanéj ordynaryjnéj), *szałamachy*, *szołodusze* (pszenniki z mąki i jagieł), *tatarczuch* (chleb z tatarczanéj mąki); wreszcie *bliny*, *knysze*, *mamałygi*, *paciary*, *kutia* (z pszenicy, miodu i maku), *pamuły*, *zacierki*, *wodzianki*, *biermuszki*, *gramatki*, żydowskie *mace* i przeróżnych nazw z mąki przyprawy.

Opuściwszy leguminy, wspomnieć nam nieco wypada o ciastach cukierniczych. Tych niezliczone mnóstwo moda naniosła na stoły przodków naszych — miewaliśmy: *francuzkie*, *angielskie*, *włoskie*, *rakuskie*, *puszkowe*, *formowane*, *moździerzowe*, *garnuszkowe*, *fumentowe*, *biszkopty*, *talmuzy*, *paszty genueńskie*, *torty hiszpańskie*, *wiedeńskie*, *konfektowe* i różne inne; gdzie prócz olbrzymich nieraz tych kołaczów postaci, nadawano im pewny rysunek do okoliczności stósowny; lub figlami a nawet maszyneryą na żart zdobiono. Że tutaj cukrowa-

nie główniejszą gra rolę jak ciasto, a więc rzecz zostawiamy do czasu, kiedy nam o ozdobach stołu polskiego mówić przyjdzie. Wreszcie nie zamierzyliśmy sobie podawać sekretów kuchni, bo nas w tém wyręczyli dawniejsi jak: Czerniecki i Wielądek; a niemało ciekawego podał Łukasz Gołębiowski w swoich nieoszacowanych do historyi obyczajów naszych materyałach.

Jeszcze zwróćmy uwagę gdzie z zacisza rozlega się turkot młynka, co się opowiadać zdaje że głodu nie będzie.

Długo mielono u nas zboże na żarnach, mimo że młyny wodne odwiecznéj są starożytności, przecież pierwszych używano najczęściéj po wsiach, drugich w bliskości miast. W najstarszych nadaniach z czasów Piastowskich, widzimy młyny jako własność panujących lub szlachcie przywilejami ustępywane. Przybyli do nas w XIII stóleciu Cystersi wpływają na postęp rolnictwa, i dotąd jeszcze klasztory ich leżą zwykle w zaciszach dolin, a młyny huczą pod murami. Młyny wietrzne, wspominają już za Kazimierza Wgo — w Wielkopolsce szczególniéj są w użyciu; a Litwa podobno dopiero w XVII wieku zaprowadziła je u siebie.

Jak to smutno w okolicy kiedy pustka wieje z opuszczonego wiatraka; zepsute skrzydła zamiast wartkiego pędu, piskliwym przerażają skrzypem; owa ruina zdaje się mówić o głodzie, a czart bierze w posiadanie ten przybytek chleba.

Różne rodzaje mąki wytwarzano u nas we młynach, wychodziły ztamtąd: *gryzowa* i *razowa* (dla czeladzi), *pszenna*, *marymoncka*, *pytlowa*, *prażona*, *przypiekana*, *jęczmienna*, *owsiana*, *hreczana*, *podkrupna;* wreszcie teraz *parowa*, *z kukurudzy*, *ziemniaków* itd.

Wypadłoby tutaj uważać jeszcze chleb ze stanowiska ekonomicznego; przecież gdy to przechodzi zakres specyalności naszéj, więc czytelnika odsełamy do dzieł ten

przedmiot traktujących. Tu tylko nadmienimy, iż krótką wiadomość o rodzajach i pochodzeniu różnych gatunków zboża, znaleść można: w dzienniku Agronomicznym który był w pierwszych latach naszego stólecia w Zamościu wychodził. W tém także (na swój czas) redagowaném umiejętnie i postępowém piśmie, jest rzecz o składzie wiatraka z wskazaniem używanego u ludu nazwania wszystkich jego części (*Dziennik Zamojski* z r. 1804. Od Nr. 16 do 19).

Aby przedmiot wyczerpać, powiedziećby też przyszło o szpichlerzach, co je za czasów już Józefa syna Jakóbowego w Egipcie widzimy; a wreszcie i pierwotne dzieje rolnictwa traktowaćby wypadło; to jednak przechodzi zakreślone przez nas granice rozprawki niniejszéj.

Przecież trudno nie wspomnieć *o piekarzach* i *cukiernikach.*

Gdy Bóg serce kobiety uczynił przybytkiem miłości, a pierś jéj napełnił pierwszym dla człowieka pokarmem, to też niewieście dostał się zaszczyt pieczenia chleba dla rodziny, czeladki i gościa. Jak daleko podanie zasięgnąć może, widzimy kobiety jako ową Abrahamową Sarę, piekące chleb dla aniołów nawet.

W starożytnych pisarzach znajdujemy często wzmianki o wybornym chlebie, wypiekaném w Kapadocyi, Fenicyi, Łydyi, Atenach a wreszcie w Rzymie.

Gdy do trzech wyrazów wiążących ludzi w społeczeństwo, to jest *pracy*, *zasiewu* i *żniwa*, przybywa czwarty: *kupia*, z pojęciem *handlu* i obrony łączący już wyobrażenie: o miastach, władzy i kraju; wtedy też i pieczenie chleba rzemiosłem się staje.

Z osadzeniem miast na prawie magdeburskiém, przychodzi do nas *cech* jako połączenie braci jednego rzemiosła. W narodzie co koło pługa nauczył się życia towarzyskiego, a miłość otrzymał od Stwórcy na godło

swych dziejów, prędko przyjęła się instytucya bractw; przecież w rozwinięciu między mieszczaństwem naszém, nie zbyt daleko odbiegła od tych dróg jakiemi szła u sąsiadów Niemców. Mając tedy mówić o cechach piekarzy naszach, nie zbłądzimy: odsełając czytelnika po uczenie zebrane wiadomości, do dzieła które był p. Berlepsch świeżo w St. Gallen ogłosił (*Chronik vom ehrbaren Bäckergewerk*). Toć na pieczęci krakowskich piekarzy widzimy ten sam precel, który niemieccy majstrowie na swych chorągwiach i dokumentach kładą; a ustawy dla czeladzi i porządku w cechu wydane, nawet tąż samą co i tam mową u nas spisano.

Na skrzynce gdzie krakowski cech piekarzy przechowuje swoje przywileje i berło starszego, w całkowitéj rzeźbie wystawili przodkowie postać Łazarza— nie można było przypomnieć lepiéj panom braciom cechowym, czém się uświęca chleb, jak przywodząc im nędzę przed oczy [4]).

---

[4]) Archivum cechu piekarzy krakowskich dochowuje kilkanaście oryginalnych przywilejów królewskich zgromadzeniu nadanych. Stefan Batory rozsądzając spór między krakowskiemi a kleparskiemi majstrami (r. 1583). powołuje się na przywiléj w r. 1366 dla pierwszych wydany. Inne listy królewskie jak z lat: 1545, 1562, 1578, 1581, 1633 i późniejsze, cytują potwierdzając przywilej Jana Alberta, który w r. 1496 cech piekarzy urządził i swobodami nadał. Ciekawe są wewnętrzne cechowe ustanowienia dochowane w księgach złożonych u starszego majstrów piekarzy krakowskich. Są tam księgi posiedzeń (od r. 1540), akta zapisów (od r. 1571), sporów (od r. 1589), wydatków (od r. 1652), wreszcie przy cechowym *Missale pro defunctis* jest (od r. 1715) wykaz umarłych, a poczyna się od słów: „zalecamy do pobożnych modłów waszych dusze świetnéj pamięci: Królów, fundatorów, Biskupów, proboszczów, kaznodziei, panów Radziec krakowskich i nas cechowych“ — tu spis imion z którego wnosić można, że piekarze prawie wszyscy byli Polacy. Bracia cechowi mieli u XX. Dominikanów kaplicę (dziś spaloną) Orlikowską zwaną; gdzie się przed

Wprawdzie już z rachunków dworu Jagiełły i Jadwigi widzimy: że na skromnym stole królewskim torty bywały; przecież gdy cech piekarzy już przed rokiem 1366 w Krakowie istnieje; to akta zgromadzenia cukierników, dopiero rok 1747 rozpoczyna. Pierwiastkowo ciasta lukrowane wytwarzały gospodynie i kunsztowni kucharze. W r. 1765 *pasztetnicy* zawiązali się w Krakowie w cech, którego przepisy potwierdził Stanisław August w następnym 1766 roku, odkąd też wszystkie księgi dzisiejszego zgromadzenia cukierniczego się poczynają. Owi pasztetnicy bywali prawie sami Polacy, a przy skrzętności gospodyń naszych, nie świetnie szło ich rzemiosło. W aktach doczytasz się tylko kłótni panów majstrów z przekupkami i piekarzami białego pieczywa — wreszcie w końcu zeszłego stólecia (w r. 1788) było ich trzech tylko, którzy niemogąc się kucharzom zamożnych domów obronić, z traktyjerami w jeden cech się połączyli. W ostatnich dopiero czasach Włosi i Szwaj-

---

ich patronem Śtym Mikołajem co Suchedni odprawiała Msza Śta, w obec zgromadzenia wszelakiéj czeladzi piekarskiéj. Cechy: kazimierski, kleparski i przedmieść, uznawały rodzaj supremacyi cechu krakowskiego.

Srebrne wyzłacane berło rozszczepione u góry w siedm kunsztownie ozdobych listków, przechowane u starszego z braci, odnieść można do zabytków XVII stulecia.

Jak wiadomo, Wojewodowie ustanawiali taxę na żywność i wyrób rzemieślniczy — taką taxę objaśniającą ceny pieczywa w XVI wieku, można czytać w *Zbiorze pam. hist. J. U. Niemcewicza* wyd. Bobrow. T. III str. 326.

Wedle wykazów statystycznych z r. 1853 było w Krakowie i na jego przedmieściach piekarzy majstrów 85, czeladzi 148; w WKs. Krakowskiém majstrów 230, czeladzi 69 — w Galicyi zaś i Krakowskiém licząc razem: 817 piekarzy a 466 czeladzi.

W dawném uzbrojeniu Krakowa, cech piekarski miał swoją armatę przy *Nowéj Bramie*, która ich straży zleconą była.

cary, owe cukry i ciastka kunsztownie jako rzemiosło wytwarzać i piec poczęli [5]).

Wreszcie na przekąskę po wódce i dla dziatwy, miewano u nas w zapasie *pierniki* przez miodosytników i cukierników lub też w domu wyrabiane. Nawet drogą handlu wchodził na stoły nasze ten przysmak ulubiony — bywały pierniki sławne i smaczne: *złociste*, *norymberskie*, *toruńskie*, *wareckie* i t. p.

Co do pieców piekarskich te nietylko u nas ale w całéj Europie niewiele postąpiły, gdy takie jak dzisiejsze już w Pompei odkopano. Obecnie słyną piekarnie hanowerskie, także: Schoerga w Monachium, Wimmera w Wiedniu, Jametel i Lamare w Pradze, wreszcie Chelsea w Londynie.

Jeszcze przychodzi wspomnieć o *praktykach młynarzy i piekarzy*, oraz o *przysłowiach* chleba się tyczących. Chcąc wyczerpnąć rzecz co do młynów, z wodą i wiatrem spotkaćby się przyszło; a to sprawa jak morze bezdenna, a jakby wichrem po całym rozwiana narodzie. Nadmienię tylko, iż chcąc urzec młyn, wkłada się kawałek krédy wisielcowi w zęby, tak aby się zgniotła nacisnąwszy szczęki trupa — kredę taką rzucają źli pod koła, a te przez rok i sześć niedziel łamać się będą, jeśli wcześniéj szkodnik uroku sam nie odczyni. Gdy jednak pobożny młynarz o Bogu i krzyżu niezapomina, ustrzeże się szkody kreśląc co roku na młynowym wale Imie Jezus, kredą w dzień Trzech Królów święconą.

---

[5]) Wedle przywileju Stanisława Augusta pasztetniki i cukierniki (*Crustularii*) wyrabiali na majstersztyk: *krokanty karmelowe i rznięte*, *ciasta biszkoptowe*, *francuzkie*, *hiszpańskie*, *angielskie*, *ryżowe*, *grochowe*, *marchwiane*, *maczniczki*, *mazurki*, *kompoty*, *pasztety*, *galarety* i *kremy*.

Wykaz statystyczny z r. 1853 okazuje w Krakowie cukierników majstrów: 12, czeladzi 24; w Galicyi i Krakowie razem majstrów 38, czeladzi 49.

Przy pieczeniu chleba łopata ów symbol łysogóskich czarownic nie małéj jest wagi. Gdy się gospodyni zabiera do wsadzania chleba w piec, powinna zważać aby leżącéj na ziemi łopaty nie przestąpić, ale ją obejść — wypada trzymając się łopaty, trzy razy podskoczyć i tyleżkrotnie cmoknąć, a uda się pieczywo — aby chleb rósł, łopatę na wywrót o nalepę oprzeć.

Gospodyni nie piecze wtedy chleba w chacie, kiedy pisklęta kur lub innego drobiu wylęgać się mają. Przed rozpoczęciem pieczywa wydalają niewiasty mężczyzn z piekarni, aby nie urzekli. Jeżli dziad jest w izbie gdzie chleb piec mają, urywa się kawałek ciasta z pierwszego bochenka i piecze zeń placuszek; z tego tylko część dawać zwykli żebrakowi, aby całego szczęścia z domu nie zabrał. Ubogi nieopatrzony wówczas ni kruszyną chleba, może sprowadzić przekleństwo, jak się to stało za czasów pobytu Zbawiciela na ziemi — rzecz się tak miała: Jezus Chrystus nie mając jako owi ubożuchni ani miejsca gdzieby głowę skłonił, ani ogniska gdzieby pokarm uwarzył; chodził z Ś. Piotrem po chatach wybierając jałmużnę i miłosierdzie za słowa Zbawienia.

Tak chodząc, przestąpili próg izby gdzie zamożna gospodyni właśnie chleb piekła na ucztę weselną. Na prośbę Chrystusa by głód jego zasyciła kruszyną, rzekła z fukaniem złośliwa niewiasta: że dla dziadów niema chleba w jéj piekarni. Jak powiedziała tak się i stało — ubodzy odeszli, a chleb w kamienie się przemienił.

Gdy pobożna gospodyni pierwszy bochenek do pieca wsuwa, żegna go trzykrotnie i tajemne znaki kréśli palcem na jego powierzchni. Ciekawą byłoby rzeczą zebrać, porysować i odgadnąć owe wielorakie znakowanie, jakie na chlebie gospodynie i piekarze czynią; także nad różnością kształtu bochenków, bułek i placków, zastanowićby się wypadło.

Przy wsadzaniu chleba do pieca piecze się pierw podpłomyk, aby się czart nie śmiał i nie popsuł pieczywa. Żeby się placki nie łamały, upieczony maleńki na dach wyrzucają ptactwu na uciechę. Nietrzeba się śmiać zaglądając do pieca, bo się chleb wyszczyrzy (popęka). Jeżli kto płacze przy zarabianiu ciasta, to bochny płaskie wyjdą z pieca. Aby chleb był rumiany, sypie się mąkę na węgle — aby miał połysk, pomiotło spalić wypada.

Jak chleb na desce,
Napijwa się jeszcze!

Zbierz przysłowia chleba się tyczące, a będziesz miał reguły żywota; szkic cnót, wad i obyczajów naszych. Tu znów tylko zlekka przypatrzymy się rzeczy, ani zaglądając w księgi skądby nam naleciało przypowieści jako liścia z lasu. Któż o chlebie nie mówił i pisał? — temu *dano chleba gdy zębów nie stało* — ów znów pomny na przykaz: *czyj chleb jesz tego piosnkę śpiewaj;* darzy drugiego nauką: *jedz chleb z każdą warzą, a rób co ci każą.* I tak: *chlebem, solą i wolą, ludzie ludzi niewolą.*

Głodnemu chleb na myśli
a *Chlebu rad psu by zjadł.*
Chleba dorabiać się trzeba.
Bez prace nie będą kołacze.
I Boża manna za dorobkiem pada.
Chleb pracą nabyty
Bywa smaczny i syty.

I zaiste! wystawiwszy sobie chleb uwieszony gdzieś między niebem a ziemią na włóknie łaski pańskiéj, powiedzieć można słusznie: że praca i modlitwa są owemi

konduktorami ściągającemi do domów naszych ten największy z darów bożych.

Miłości jednak trzeba
Na zaprawę chleba.

Z nią i razowy czarny podpłomyk smakuje, bo go dobra wola i serdeczna przychylność podaje — bez téj osłody, nawet lukrowany kołacz goryczą opiecze ci usta.

Kraków w Wielkanoc r. 1856.

Józef Łepkowski.

UWAGI

z powodu artykułów:

1. „O świętéj Kindze“; 2. „O Stanisławie i Annie Oświęcimach“,

w dziele p. **Karola Szajnochy**,

pod tytułem:

Szkice historyczne (Lwów, 1854. 8.).

Pospolicie u ludzi niewtajemniczonych w sposób poznawania ułomności, zwłaszcza historycznego piśmiennictwa, stało się przysłowiem: „*Musi być prawdą—bo wydrukowane!*“ — Tém hasłem odzywa się w obec każdego, coby się poważył powątpiewać o wartości jakowego dzieła, wielka, kto wie nawet czy nie większa część czytającéj publiczności. — Aliści „*nie wszystko prawda, co wydrukowane!*“, powinno się głosić właśnie na wspak treści formuły przytoczonéj. — Że to drugie orzeczenie stósuje się w szczególności do dzieła, którego częściowy rozbiór tu przedsiębranym zostanie; wykaże się z mającego się wysnuć poniżéj założenia.

O ile tedy łatwo przychodzi pisarzom historyi zyskiwać na tak utartéj drodze wiarę w przedmioty w pismach podane u ogółu lub większości czytających; o tyle twardsza ciąży na nich odpowiedzialność za to: by treść ich pisma nie rozmijała się z prawdą — owszem była najbardziéj zbliżoną do rzeczywistości. Odpowiedzialność ta jest tém większa u nas: ile że w piśmiennictwie krępowaném stosunkami, jak nasze — osobliwie w tutejszéj prowincyi, gdzie tak niewiele jest organów publicznych; nie prędko wypada pisarzom historycznym spodziewać się recenzyi doraźnéj — a więc mniéj jeszcze ocenienia dokonanego w pełni wytrawnéj krytyki, uskutecznionego z bezstronnością poglądu i uzasadnieniem znajomością rzeczy. Nieuwzględnienie potrzeby zauważenia owéj okoliczności ze strony pisarza, wkłada przeto obowiązek — rozumie się w braku sędziów właściwych, na chociażby dorywczego recenzenta: objawienia słusznego sądu o utworze historycznym autora, któregoby poniekąd posądzić można o lekceważenie publiczności z tego powodu: że ją w danym razie karmi jakoby na przekor pierw przytoczonéj, lubo wygodnéj dlań modle, łatwych w swém zdaniu czytelników — nie szczéremi specyałami prawdy, lecz pochybnemi wiedmami uprzedzenia.—Przedsiębranie wszelako objawienia uzasadnionego zdania w téj mierze nie ma bynajmniéj na celu uszczuplenia rozgłosu imienia historyka. Co się więc tutaj powie: nie będzie się mówiło w chęci zajrzenia jego piśmienniczéj sławie, którą bogdajby zawsze — byle rzetelnie zasłużoną, wszyscy autorowie mieli w udziale. Krytyka albowiem, jako poręczycielka wytrawionéj słusznym sądem mianowicie w rzeczach naukowych opinii; powinna stawać u rozdróża wyobrażeń dającéj często w wątpliwym razie rozmaicie swe zdanie publiczności — powinna wyświecać starannie drogi, które ku prawdzie, niemniéj i te, które w jéj odwrotną stronę wiodą.— Obrać z taką pomocą,

o ile się da, jednę z dróg prawdziwych — zdążać nią, bez zarozumienia własnéj niedoskonałości, a wzajem obcéj zasługi ku niezmąconemu źródłu jaśni jest powinnością każdego pisarza — tém bardziéj recenzenta poważnego przedmiotu.

Niech przeto takowe orzeczenie posłuży do zjednania tym niewielu słowom potrzebnéj wyrozumiałości, opartéj na przekonaniu: iż tylko dojście do prawdy jest zadaniem następnéj pracy — oraz że jeżeli wywnioskowany sąd o rzeczy roztrząśniętéj zdawać się będzie komu nie dość zasadnym: wszelkie w tym względzie czynione spostrzeżenia będą przyjęte chętliwie i bez uprzedzenia.

Pod tytułem *Szkiców historycznych* wyszła r. 1854 w jednéj z księgarń lwowskich książka, zawierająca wiele szacownych, ze względu na dzieje polskie przedmiotów, w kilku umiejętnie skreślonych artykułach. Jakkolwiek utwór ten może być uważany za pracę *w swych częściach* pożyteczną, bo pouczającą w materyi dziejowéj, nie jest on wszakże *w swojéj całości* wyraźnie i wyłącznie historyczném dziełem, i trudno zrozumieć: dla czego — jeżeli już koniecznie „*Szkicami*“ nazwanym być musiał, lubo niektóre artykuły pod względem swéj donośności i wykończenia właściwieby do rzędu *rozpraw* policzone być powinny — dla czego, powtarzamy, rzeczony utwór właśnie „Szkicami *historycznemi*“ jest nazwany? — Jedna z zamieszczonych tamże ważniejszych rozpraw n. p. jest raczéj treści *polemicznéj*, niż *historycznéj:* t. j. owa, która ma stawić dowód: że poeta Wacław Potocki był autorem poematu noszącego tytuł: „*Wojna Chocimska*“. — Inny artykuł rozbierający rękopiśmienny dyaryusz Stanisława Oświęcima sposobem komentarza, jest, lubo nie w całéj osnowie, ale przynajmniéj w swém zakończeniu podobnież *polemiczném* dziełem.

Pomijając jednak okoliczność mniéj lub więcéj trafnie dobranego tytułu — tudzież zapowiedzenia w nim z góry

w sposób niewłaściwy téj albo owéj treści dla książki całkowitéj; nachodzą się w saméj osnowie dzieła, not i przypisów do niego niektóre miejsca, które z powodu wyrażonych tam porywczo zdań i ztąd wysnowanych domysłów, dostarczeniem świeżych, wyświecających przedmiot szczegółów wyjaśnione — albo z powodu uczynionych tamże bez dostatecznego uzasadnienia orzeczeń sprostowane — albo nareszcie, z przyczyny nachodzących się w nich pomyłek poprawione być muszą.

Wiadomo już: że całe dzieło składa się, jak się powyżéj rzekło, z kilku pojedynczych artykułów. Założeniem wszakże niniejszego pisma nie jest poszczególne ocenienie tych wszystkich części dzieła pod względem ich różnostronnéj wartości; tém mniéj, że tego, acz w sposób jeno urywkowy, zatém nie każdemu artykułowi odpowiedni dopełnił recenzent inny w pewném poważném polskiém piśmie [2]). Lecz założeniem téj recenzyi będzie wskazanie i roztrząśnienie niektórych, do sprzecznych autorowym wniosków, prowadzących miejsc i ustępów. — Zarzuty z tego powodu dziełu p. Szajnochy czynione, rozłożone będą w szczególności na dwa artykuły ocenić się mającego pierwotworu, które niejako w zakres rozbierającego ich osnowę wchodzą — mianowicie artykuły: I. „*Ś. Kinga*“ (głównie ze względu na dołączony doń w pierwotworze przypisek pod tytułem: „*Szlak Batu Chana*“); II. „*Stanisław i Anna Oświęcimowie.*“ — Krom tego przydaną będzie w końcu jeszcze uwaga do artykułu: „*Wnuka króla Jana III.*“

I.

Zarzuty przeciw osnowie artykułu o ś. Kindze ograniczają się do wytknięcia pewnych niedokładności, za-

---

[2]) *Przegląd Poznański.* **Rok 1854. (Półrocze II. str. 172—184).**

szłych odczytaniu starożytnych dyplomów, załączonych do tego artykułu. Z równoczesnego porównania albowiem osnowy dwu przywilejów przytoczonych całkowicie w notach *78* i *109* do rozprawy o ś. Kindze, z tekstem obudwu, zamieszczonym w dwu odnośnych dziełach — a mianowicie: znanym „*żywotopisie téj świętéj Patronki*“ — tudzież w „*dyplomataryuszu Ziemi Spizkiéj*„ [3/a]; okazuje się w ich brzmieniu kilka ważnych, snadź niedrukarskich pomyłek. Mówimy niedrukarskich: ponieważ błędy te przeszły również do przekładu obu wspomnionych przywilejów, który się w całéj rozciągłości w onéj rozprawie znajduje.

Aczkolwiek przystępujemy do wyszczególnienia owych niedokładności; wszelako nie chcąc trudzić nadaremnie Szanownych Czytelników, wyliczymy tu tylko co — ważniejsze z nich i zestawimy je w porównawczem przytoczeniu i tłomaczeniu dotyczących miejsc i wyrazów, tak jak je autor *Szkiców historycznych* podaje, z wierzytelnemi odpisami pierwotworów pomienionych przywilejów, według ich poprawnego brzmienia w obu cytowanych dziełach. Czynimy to dla unaocznienia: iż błędy owe nie są prostemi *pomyłkami drukarskiemi.* — Są one następujące:

Strona 45 Nota 78:

Wiersz 11 od góry; powinno być: *praeostendens* — ale nie „*praeostendendo,*“ (w tłumaczeniu jest: *przeokazując*).

[3/a]) Ks. Marc. Ignacy Frankowicz, kust. Sandec.: ***Wizerunek świętéj doskonałości w Błogosławionéj Kunegundzie, królowéj Polskiéj jaśniejący*** (Kraków dr. Cez. 1718. fol str. 94—96 i str. 136 - 138) — Joannes Bárdosy: ***Supplementum Analectorum Terrae Scepusiensis.*** (Leutschowiae. Typis. Mich. Podhorańszki. 4°; MDCCCII. pag. 86—90 et pag. 157—162).

Wiersz 13 od góry; powinno być: *hominem* — ale nie „*homini*,“ (w tłómaczeniu jest: *człowiekowi*) [3/b].

Strona 51. Nota 109.

Wiersz 16 od dołu; powinno być: *Christo* — ale nie „*ipso*,“ (w tłómaczeniu jest: *Nim*).

Wiersz 15 od dołu; powinno być: *per arctam viam et angustam portam* — ale nie „*per arctam et angustam portam*“ (w tłómaczeniu jest: *przez wąską i ciasną bramę*).

Wiersz 7 od dołu; opuszczony jest ustęp: *fratre Boguslao lectore fratrum Praedicatorum.*

Wiersz 4 i 3 od dołu; nachodzi się wtręt: „*fratre Boguslao lectore fratrum Praedicatorum*“ (w tłómaczeniu jest w temże miejscu: *braciszka Bogusława, lektora braci z zakonu kaznodziejskiego*) [4/a].

Strona 53. Nota 110.

Wiersz 7 od góry; powinno być: *Klęczany* (u Frankowicza na str. 137 jest: *Klaczany*) — ale nie „*Olszana* (?)“.

Wiersz 10 od góry; powinno być: *Łubinka* (u Frankowicza jest *ibidem: Elbina*) — ale nie „*Iwkowa* (? *może Zbenek*).“ [4/b])

[3/b]) Z łącznego zrównania tekstów odpisu we wszystkich trzech dziełach wspołem, okazuje się: iż w przytoczonéj u p. Szajnochy w Nocie 78 osnowie przywileju (z r. 1257) nachodzą się oprócz powyżéj wyszczególnionych; jeszcze 4 *omyłki* (*dotatam; — impenrante; — quoad; — metam*) — 1 *wtręt* (*nostras*) — 2 *omissa* (*se*; — *Anno*) — 1 *mutatum* (*quomodolibet*).

[4/a]) Oprócz już wykazanych błędów, najduje się w osnowie przywileju (z r. 1280). przytoczonego w Nocie *109*; 5 *omyłek* (*concommitantia, — praedictis. — nostram, — contraire. — ac*) 1 *mutatum* (*sunt haec*) — 1 wtręt (*Dominum*)

[4/b]) Większa część w Nocie 110 podanych, z niedokładnie nakreślonych nomenklatur na mappie cudzoziemca *Liesganiga* na domysł czytanych nazw miejscowych, jest w ogólności w powołaném dziele *Frankowicza* najdokładniéj wymienioną.

Do artykułu o świętéj Kindze dołączony jest przypisek pod tytułem: „*Szlak Batu Chana*“. Jest to niby uzasadnienie zrobionego założenia, przyjętego przez autora za podstawę kwoli opisów najazdu Mongołów na Polskę w ślad opowiadania kronikarza Długosza, utrzymującego: *że Batu Chan szedł z swoimi zastępy przez kraje polskie, a mianowicie przez Kraków*“.

Aby orzec: że takowe twierdzenie jest prawdziwem lub że jest mylnem; trzeba się przenieść myślą w dobę będącego w mowie wypadku, i za pomocą świadectw zebranych z kilko-rodnych pism dziejowych, dać stanowcze, nie tylko prawdopodobieństwem, lecz niejako znamieniem pewnika historycznego zalecające się orzeczenie. Owóż wynikiem uczynionego w téj mierze dochodzenia jest kilkoro spostrzeżeń następujących.

Że najście hord Batu Chana było głównie skierowane na bogate i obfitujące w stepowe pastwiska Węgry — a nie na chudsze od nich i lesiste północne kraje; o tém, stósownie do świadectw ówczesnych trzynastego stólecia dziejopisów węgierskich, *Szymona Kezy* [5]) i wiadomego kanonika *Rogeryusza*, ztwierdzających: iż Mongołowie natarli *z trzech ścian* t. j. od wschodu przez Siedmiogród — od północy przez Ruś — od północnego zachodu przez Morawy, na węgierskie ziemie; wątpić niemożna. [6]) Słuszna rzecz więc mniemać: że tam, kędy attak wielki był przedsiębrany; znajdowała się także osoba *Naczelnego Wodza* — i że wódz ten, lubo barbarzy-

---

[5]) *Simonis de Keza* — scriptoris saeculi XIII, *Chronicon Hungaricum*. (Editio originaria; Horanyi. — Budae, apud Landerer),

[6]) Pobudką do skierowania napadu na Węgry, miała być Batemu ucieczka księcia Połowców (kumanów) Kotjana z 40000 narodu swego do króla Beli IV; równie jak i namowa bojarzyna ruskiego Dymitra w Kijowie. (*Karamzyn*: *Historya państwa Rossyjskiego* — przekład *Buczyńskiego*, w Warszawie 1825 — Tom IV. str. 11 i 12).

niec — nie był tak poślednim strategikiem: by udając się z Halicza do środka Węgier aż na Kraków wyboczyć musiał.

Jakkolwiek z takowego przypuszczenia nie może, na pierwszy rzut oka na rozpołożenie granic odnośnych doń krajów, wyniknąć prawdopodobieństwo faktu; widzim go wszakże na prawdę utrzymywanym w „*Szkicach historycznych*“ z uzasadnieniem opisu dotyczących onego okoliczności powagą już rzeczonego kronikarza Długosza, obfitego w pragmatyczną wiadomość wypadków — ale niekoniecznie baczącego w narracyi ich szczegółów na historyków obcych: gdy przeciwnie sami następcy Długoszowi — dziejopisowie polscy szesnastego stólecia, owo twierdzenie Długosza, co do bytności Batego w Polsce, w oględnieniu się na dowodność zdania kompetentniejszych od nas w tym razie historyków węgierskich w wątpliwość podają, a przynajmniéj zdanie jego ważą na szali krytyki historycznéj. Tak czyni Kromer [7]), możnaby rzec, naśladowca Długosza, który wiele rzeczy z onego czerpiąc, nie idzie jednak wszędzie w jego tropy na oślep: rozróżniając wiadomości pewne od niepewnych — zawodne od dowodnych. Podobnie postępują późniejsi dziejopisarze polscy, którzy acz przytaczają zwykle relacyą Długosza w zupełności; oglądają się przecie, jak słuszna, na zdanie dziejopisów zagranicznych, w obec opinij, których twierdzenie jednego tylko Długosza na opak stawa.

Aliści okoliczność, która jak napisano w „*Szkicach historycznych*“, udowadnia wszkomo mylność zdań owych

---

[7]) Tametsi Bonfinius in libris „*de rebus Ungaricis*“ Battum per id tempus cum longe maximis copiis in Ungariam expeditionem fecisse scribit . . . . . (*Mart. Cromeri: De origine et rebus gestis Polonorum*. Basil. 1568. liber VIII. pag. 141).

historyków w obec Długoszowego twierdzenia — która przytem ma niby właśnie stanowić jedno z znamion prawdopodobności jego relacyi; nie jest w wiadoméj rozprawie czyli raczéj w przypisku do niéj dosyć rzetelnie i w bezstronnéj co do nakreślenia swego postaci podana. — Nie jest zaś podana rzetelnie: albowiem widzimy w przytoczonym odnośnie do niéj ustępie *odmieniony tekst listu kanonika Rogeryusza* stanowiący właśnie podporę wniosku przeciwnego. — W przypisku zapewnia autor, jakoby tenże rzekł: „*quando Rusciam totaliter et unanimiter destruxerunt*“.... W Rogeryuszu atoli stoi: „*quando Rusciam et Comaniam totaliter et unanimiter destruxerunt*.... — Wielka jest tedy różnica między osnową tego miejsca, podaną w „*Szkicach historycznych*“ — a brzmieniem rzeczywistem listu Rogeryuszowego. — W rozprawie jest jeno Ruś miana na względzie — Mongołowie atoli, zanim się przeprawili do Węgier, spustoszyli, jak Rogeryusz prawi, nie samą Ruś tylko, ale Ruś i *Multany* które się w owych czasach *Komanią*, od narodu Połowców czyli Kumanów, który w niéj mieszkał nazywały. Spustoszyli zaś te kraje do szczętu (*totaliter*) i *wszyscy* t. j. Mongołowie wszyscy wspólem (*unanimiter*). Nie grasowały przeto tamże hordy pojedyncze; lecz ogół wójsk Batu Chana splądrował obie ziemie łącznie. Co zatém, według „*Szkiców historycznych*“; miało dotyczeć saméj Rusi, dotycze, jak widzim, dwu owych krajów razem. Co się przeto w kombinacyach militarno-jeograficznych, jak je w „*Szkicach historycznych*“ czytamy, podobném do prawdy wydawać, mogło w uwzględnieniu miejscowości tylko *jednego* kraju to zasię doznać musi, w zauważeniu: że o miejscowościach *dwu* ziem jest mowa — ważnych modyfikacyj; i *w dalszém rozwinięciu daje wcale inne wyniki.* Cofnięcie się Mongołów, po spustoszeniu Rusi tylko, na cztéry lub

pięć dni pochodu [8]) ku północnemu zachodowi; nie zawiodłoby ich w kierunku ku Polsce kędy indziéj (biorąc pograniczne Polsce grody Chełm, Bełz i Przemyśl, jako zachodnie strażnice Rusi, w koncentrycznie zchodzących się promieniach za punkty wyjścia) chyba do ujść rzek Wieprza i Pilicy [9]) — a odwiodłoby ich widocznie od wkroczenia w granice Węgier *od ściany Rusi.* Odwrót ich przeciwnie wykonany z dzisiejszych Multan (te ostatnie są w relacyi Rogeryusza więcéj miane na uwadze nie zostając bynajmniéj na uboczu Mongołom; owszem będąc im po drodze w pochodzie od brzegów dolnego Dniepru i Bohu do Węgier) w kierunku podobnież północno-zachodnim na taką samą odległość (4 lub 5 dni drogi); przywiódł ich w samo wnętrze Czerwonéj Rusi: w okolice Żurawna, Kałusza i Halicza na prawym brzegu rzek Stryja i Dniestru — pełne najwyborniejszych pastwisk, mogących żywić długi czas konie ich hordy. Tak tedy mogli Mongołowie według Rogeryusza Ruś i Multany prawie równocześnie spustoszyć — wyminąć przytem granice węgierskie od strony Pokucia i Bukowiny: by mieć ten szlak ubezpieczony na powrót dla siebie pod względem żywności i paszy — a oraz zmierzając w stronę zachodnio-północną, niby ku Polsce, nie oddalać się z poza obrębu granic Węgierskich;

---

[8]) W Rogeryuszu równa się jeden dzień drogi: ośmiu lub dziesięciu dzisiejszym milom jeograficznym. — Widać to z wzmianki jego o odległości miast węgierskich *Ostrzygomia* (Gran) i *Białogrodu* (Stuhlweissenburg) z których pierwsze mil austryackich 7 — drugie mil 9 od Budzynia jest oddaloném; gdy powiada (Caput XVIII): *„Ipse enim de Strigoniensi et Albensi civitatibus, quae ad unam tantum diaetam distabant“.*

[9]) Tym szlakiem szedł w saméj istocie oddział wójsk tatarskich pod dowództwem Pety. — To też, *dopełniwszy* taktycznego koła pochodem przez Polskę i Szląsk; wkroczył ten wódz dopiero od strony Moraw do Węgier.

owszem mieć je nieprzerwanie na flanku: gdy granice owe w ciągnieniu ich z Multan na Ruś, aczkolwiek w odstępie kilkudniowéj drogi, przylegały zawsze do lewego skrzydła ich pochodowych kolumn. — Z téj też okolicy t. j. od strony Żurawna, Kałusza i Halicza przewaliła się wielka horda chana Batego łożyskiem rzéki Stryja na Węgry — do Polski zaś wyszedł oddział pomniejszy, który stanowiąc prawe skrzydło ogółu armii Mongołów, przedarł się późniéj przez Małąpolskę, Szląsk i Morawy także do Węgier w celu połączenia się tamże z głównym korpusem.

Dawszy zarys ogólny naszemu zarzutowi, wymierzonemu przeciw owemu twierdzeniu autora „*Szkiców historycznych*“; przystępujemy obecnie do wyłuszczenia szczegółowych dowodów.

Poczynamy od wyświecenia nomenklatury „*Porta Rusciae*“, któréj Rogeryusz w liście swym używa, a o któréj autor mniema: jakoby w trzynastym wieku miała oznaczać „*przeprawę przez pasmo Karpat w okolicy Sądcza*“.

Wyraz *porta* znaczy w terminologii jeograficznéj łacińskiéj *łęk górski* czyli *przesiedlinę w pasmie gór*, przez którą idzie trakt ułatwiający komunikacyą handlową i wojskową w przeprawie końmi i innemi bydlętami wierzchowemi, jucznemi, lóżnemi lub idącemi sprzężajem. Dawni Polacy tłómaczyli *Porta*, wyrazem *brona* t. j, brama *górna* (ma się rozumieć: „górska“) — późniejsi mówili *pasy górskie* [10]); — dzisiaj zaś zowiemy takie wklęsłości czyli przesiedliny najsłuszniéj *łękiem górskim.* — U dawnych jeografów węgierskich (łacińskich) oznaczała zaś w szczególności jedna z dwu nazw *Porta Rusciae* łęk górski, którym idzie na poprzek Działów Bieszczadzkich starodawny trakt z ziemi Przemyskiej a w szczególności z byłéj ekonomii Samborskiéj, mianowicie z Bo-

---

[10]) Z łac. *passus* przesmyk górski.

ryńskiego klucza — do zamku Monkaczowa na Węgrzech. Tym łękiem utrzymywała się z dawien dawna kommunikacya ziem: Przemyskiéj, Zydaczewskiéj i Halickiéj — w ogóle *Rusi Czerwonéj*, z Marmo-Rusią (*Marmarossiensis Comitatus*) t. j. Rusią węgierską, duktem od porzecza rzeki Stryja przez wsie Wysokie i Husnę po naszéj — a wieś Łatórkę po węgierskiéj stronie; do porzécza rzeki Łatórcy, która o kilkanaście mil poniżéj do Cisy wpada. Najbliżéj owego łęku górskiego położonemi miasteczkami są obecnie: *na północnéj pochyłości* Beskidów — miasteczko Turka i targowisko Smorza; *na pochyłości południowéj:* targowisko *Wereckie niżne.* — Że tędy szła już w cztérnastém stóleciu najpospolitsza z Rusi Czerwonéj do Marmo-Rusi droga, dowodzi okoliczność iż Teodor Koryatowicz, niegdyś kniaź w Nowogródku litewskim, postradawszy swoją ojcowiznę wyprosił sobie u Karola I., ówczesnego króla węgierskiego: by mu nadał prawem lennem księztwo Monkaczowskie, niby będące najbliżéj jego pierwszéj ojczyzny i że tamże w moc wyjednanego przywileju podle zamku i miasteczka Monkaczowa, mającego najpierwszy i najsnadniejszy przystęp (z powodu blizkości wyż-wzmiankowanego łęku górskiego) od strony Rusi, zatem największą łatwość znoszenia się z władykami ruskiemi (albowiem przez długi przeciąg czasu wyświęcali się duchowni dla Rusinów zakarpackich w dyecezyach Czerwonéj Rusi)— w r. 1360 monaster dla zakonników ś. Bazylego, pod wezwaniem ś. Mikołaja założył. [11]).

Jako zaś nawet już pierwiéj, bo w wieku trzynastym punkt ten w paśmie Karpat był uważany za najważniejszy i z powodu znacznego obniżenia się gór w tém miejscu, za najwłaściwszy do przeprawienia się z Rusi do

[11]) ***Brevis notitia fundationis Theodori Koriathovics*** **(Cassoviæ. 1804) Tomus II. Pars IV. pag. 6.**

Węgier; udowadnia podanie samego Długosza [12]) o księciu ruskim Lwie, który w górującéj łęk ów pozycyi u szczytu góry nazwanéj z wołoska *Pikuj*, położonéj w saméj granicy rusko-węgierskiéj, u rozgranicza żupaństw Wongwarskiego i Berežańskiego (*Comitatus Unghvariensis et Bereghensis*), tudzież rozdziału wód rzék Stryja, Wongu (*Ungh.*) i Łatórcy, kazał był umieścić znak granic państwa ruskiego: kładąc napis wyryty na opoce cerkiewnemi literami — któryto napis, acz dzisiaj, za wpływem czasu, prawie już nieczytelny jeszcze istnieje. Książę ten, panujący około 1280 r., zatém w czterdzieści lat po wpadnięciu Mongołów, nie kładłby był bezwątpienia znaku granicznego w ustroniu zapomnianém: gdyżby go tam nikt nie był czytał; ale dał go podle drogi ułatwiającéj wstęp z Rusi do Węgier i nawzajem — niedaleko miejsca, nazwanego przeto od Węgrów „*Porta Rusciae*“ — niby „*wrót Ruskich*“, albo, mówiąc dzisiejszym językiem: *klucza* do wnijścia w ów kraj; gdyż najistotniéj wnijście Węgrom do Rusi, a wzajem Rusinom do Węgier otwiérał i ułatwiał [12/2]). Tędy była dla

---

[12]) *Historia Polon.* (Lipsiae MDCCXI) pag. 35.

[12/2]) Ważność i niemal wyłączność téj drogi pod względem wojskowym, potwierdza zkądinąd samo założenie i skupienie w ziemi Przemyskiéj, osobliwie w byłéj ekonomii Samborskiéj, tylu osad tak nazwanéj *szlachty łanowéj*. Osady te, utworzone po części jeszcze za panowania udzielnych książąt ruskich; rozszerzone zostały i dotowane należycie przez króla polskiego Władysława Jagiełłę, celem, jak świadczą rękopiśmienne kroniki miejscowe w Samborze i Turce: ubezpieczenia granic Czerwonéj Rusi od napadów Węgrzynów, usiłujących rewindykować byłe królestwo Halickie. Że zaś Węgrzyni zwykli się byli wdzierać do Rusi *tędy* t. j. przeprawą Werecką — *po pod górę Pikuj;* to też widzim osady owe, rozpołożone jedne po zadrugiemi — po większéj części na porzeczu rzéki Stryja; tworzące kolumnę zawsze gotową do odparcia wkraczającego w kraj nieprzyjaciela — opartą o zasobniejsze w jezdnych ziemian okolice — sięgającą czołem po pasmo granicznych Karpat. Osady (że inne pominiem) Kruszelnica, Kropiwnik, Jawo-

Mongołów najwłaściwsza do przeprawienia się na stronę węgierską droga; albowiem na przestrzeni między Stryjem z jednej — a Monkaczowem z drugiéj strony, jest pasmo Karpat najwęższe: Mongołowie zaś, wyłącznie jezdny naród, zwykli byli oglądać się w wyprawach swych głównie na kraje stepowe, płaskie: kędy równie snadno tak wielką liczbę koni wyżywić — jak i z najpomyślniejszym dla siebie skutkiem walkę stoczyć mogli. Ciągnienie ich zatém tą drogą było nader trafnie, ze względów taktyki zarówno, jak i ekonomii wojennéj obmyślaną operacyą—*raz:* iż Batu Chan uderzając ztąd na Węgry w pośrodku dwu wielkich skrzydeł swojéj armii, ciągnących do Węgier przez Siedmiogród i Morawy nie oddalał się zbytecznie od żadnego z nich; był zatém w stanie przyzywania ich w pomoc, lub dawania im wzajem w potrzebie pomocy;—*powtóre:* że nie zbaczał z prostego szlaku, wiodącego jego środkowy zagon najkrótszą drogą do właściwego kresu jego działania t. j. do centrum i stolicy Węgier, a mianowicie miast i grodów królewskich i biskupich Budzynia, Ostrzygomia, Wyszehradu, Wacowa i Pesztu; — *potrzecie:* że tym sposobem ustrzegł, o ile tylko mógł, swoje wojsko od niefortunnych dla każdego oddziału konnicy w przeprawie górskiéj przypadłości; jako to: od braku końskiéj paszy w okolicy jałowéj i lesistéj — od drogi ostréj na krzemienistém łożu potoków górskich (jedynych naturalnych szlaków, któremi bez pomocy techniki w poprzek pasm gór przejechać się zdarza), któréj skutkiem

---

ra, Ilnik, Wysokie niższe, Komarniki, Wysokie wyższe, Matków, Mochnate, a wreszcie Iwaszkowiec u stóp Pikuju — oto nieprzerwany zastęp rycerstwa, przeznaczonego strzedz *bramy Ruskiéj,* przypuszczonego w skutek uznania tak ważnéj krajowi usługi do klejnotu szlachectwa Polskiego — zwykle z herbem „*Sas*". — Wsie szlachty łanowéj dochodzą tylko w tym jednym punkcie t.j. *w okolicy góry Pikuju:* do pasma gór Karpackich.

ochromanie koni następować zwykło — nareszcie od niepomyślnéj dla jazdy rozprawy w stanowiskach górskich: na przypadek gdyby jéj tamże w korzystniejszych dla broniącego, zwłaszcza pieszego żołnierza zasiekach i cieśniach wojsko nieprzyjacielskie drogę zastąpiło. — W skutek więc tak roztropnie obliczonéj i dzielnie wykonanéj operacyi, skrócił Batu Chan przeprawę dla centralnego zastępu swego przez góry do najmniejszości, czego jedynie posuwaniem się na linii Stryjsko-Monkaczowskiéj dopiąć podobna było. — Pocóżby miał kierować pochód głównego zagonu Mongołów do Węgier *przez Kraków*, gdy pomijając bardzo znaczny przybytek drogi — byłby jeszcze (na linii od Krakowa do Miszkowca [13/a]) miał o wiele dłuższą przez góry przeprawę, któréj z powyżéj wyrażonych przyczyn właśnie unikać był winien? W „*Szkicach historycznych*“ jest powiedziane: jakoby od naszéj granicy podle Sądcza było bliżéj do Pesztu — niż od strony Marmo-Rusi. To trzeba tak rozumieć: iż od granic naszych u rzék Dunajca albo Popradu jest bliżéj do Pesztu tylko w linii jeograficznie prostéj, zatém bez zauważenia właściwości poziomu, który ma to do siebie: że o ile jego powierzchnia *równa* ułatwia; o tyle jego powierzchnia *górzysta* utrudnia przeważnie komunikacye. Gdy jednak na drodze od Śpiża ku Budzyniowi są *wielkie góry* do przebycia — a przeciwnie na przestrzeni od Monkaczowa ku Pesztowi ziemia jest *równiuteńka* (tak nazwane *bagniska nadcisiańskie* nie były tak obszerne, by ich snadno nie można było objechać i nie tamowały właściwie nigdy komunikacyi w tém miejscu; więc niema się czemu dziwić: że hufiec mongolski, mający nadzwyczaj rącze, do gonitw na stepie wprawne lubo bose konie, przejechał tę przestrzeń prędzéj — niżby był w stanie przebyć drogę od granic pol-

---

[13/a]) Misskoltz.

skich podle Sądcza aż do Pesztu, aczkolwiek krótszą — ale dziesięćkroć, zwłaszcza dla jazdy o niekowanych koniach zmudniejszą: bo poprzerzynaną w poprzek przykremi i ostremi z powodu kamienistego pokładu grzbietami pasm górskich.

Dwie wielkie drogi wiodły rzeczywiście niegdyś *łąkami górskiemi* z Rusi do Węgier i bywały od jeografów węgierskich (łacińskich) nazywane „*Portae Rusciae*“. Jedna z nich była droga *Werecka*, o któréj już wspomnieliśmy: od strony Drohobyczy, Stryja i Halicza — wtóra zaś była droga *Jaśliska:* od strony Sanoka. Ta ostatnia niema atoli nic wspólnego z drogą Sądecką t. j. Spiską, która od niéj niemal o cały stopień jeograficzny daléj ku zachodowi jest położoną. My tu o przeprawie Sądeckiéj czyli raczéj Spiskiéj mówić nie będziem; albowiem ona wiodła w trzynastym wieku przez *Podoliniec* lub *Kieszmark* na Śpiżu — zatém nie przez kraje ruskie; lecz wprost z Polski do Węgier. Uwzględnimy tylko dwa szlaki już wspomniane t. j. drogę *Werecką* i drogę *Jaśliską*, [13/b]) jako komunikacye Rusi z Węgrami głównie ułatwiające, i przeto nazwane „*wrotami Ruskiemi*“ (*Portae Rusciae*). Innych bowiem szlaków do przeprowadzenia tak wielkich wojsk z Rusi do Węgier wówczas nie było. — Chociażby Batu Chan nie przeprawiał się był drogą Werecką (na linii z Drohobyczy i Stryja do *Monkaczowa* i *Wielkiéj Bani*) — lecz (czego nie było w istocie) drogą Jaśliską (na linii z Sanoka do *Bardyowa*, *Preszowa* i *Tokaju*); to jeszcze nie wynika ztąd prawdopodobieństwo: iżby odbywał pochód na Kra-

---

[13/b]) **Pierwsza zwała się u pisarzów węgiersko-łacińskich (w wiekach średnich) „*Magna Porta (Russiae)*“ — druga: „*Antiqua Porta (Russiae)*“ (vide: apud *Kátona*, Tom VI, p. 82. et *ibidem:* in *Thomae Archiepiscopi Strigoniensis* diplomate; ad annum 1312). — Tamta była u źródeł rzéki *Stryja;* — ta w pośrodku źródeł *Wisłoki* i *Jasiołki*.**

ków: gdyż natedy musiałby, aby w ciągnieniu z pod tego miasta wkroczyć do Węgier (według słów Rogeryusza) *per „Portam Rusciae"*; cofnąć się od Krakowa na wstecz przynajmniéj aż do *Jaślisk* (niemal o dwa stopnie jeograficzne): bo bliżéj Krakowa położonego, głębiéj na zachód wychylonego szlaku górskiego, któryby nazywano *szlakiem ruskim (Porta Rusciae)* nie było nad *szlak Jaśliski.* Cofnięcia się jednak takowego, równie jak i całego mniemanego zapędu Batu Chana pod Kraków przypuszczać nie można; tak jak się w rzeczach poważnych nierozsądnego pomysłu nie przypuszcza. — Co się powiedziało obecnie; tyczyło się mniemanéj przeprawy Batu-Chana przez *szlak Jaśliski.* Nie przeprawiał on się wszakże tym szlakiem, lecz szedł, jak wyżéj powiedzieliśmy, z Rusi do Węgier *drogą Werecką* (na linii Stryjsko-Monkaczowskiéj). Rogeryusz bowiem powiada: że Batu wkroczył do Węgier *per Portam Rusciae, quae propior erat ad locum, in quo rex congregabat exercitum* (ma się rozumieć owo miejsce, w którém najpiérw zgromadziły się wojska królewskie na obronę kraju od Mongołów pod przywództwem wojewody Dyonizego). Owóż mając pewność: że wojsko węgierskie oczekiwało Mongołów podle Monkaczowa; można być również pewnym: iż wzmiankowaną *„Porta Rusciae"* nie był szlak inny— jeno *„przeprawa Werecka"*. Jako zaś Węgrzyni oczekiwali istotnie Mongołów u szlaku Wereckiego; tego dowodzi historyograf Meynert [14/a]), czerpiący, jak wiadomo,

---

[14/a]) Indessen zog die furchtbare Gewitterwolke der Mongolen, den Sturm der Verheerung schnaubend und die Blitze des Verderbens sendend, unter dem Donner zahlloser Hufschläge heran. Auf derselben Strasse, welche vor vierthalbhundert Jahren die siegenden Magyaren nach Pannonien geführt hatte, brachen jetzt (12 März 1241) Batukhans schreckliche Horden über Munkacs und Ungvar ein. Umsonst hatte der Palatin Dyonysius mit seinem kleinen Häuflein sich am Vereczker Passe den Feindesschwärmen entgegenge-

materyał do kreślonych przezeń dziejów austryackiego państwa i wchodzących w jego skład narodów i krajów nie tylko z dawnych kronik — ale po części i z starożytnych pisanych aktów, przechowywanych w archiwach rządowych i partykularnych, które mu pod tym względem otworem stały: niemniéj poniekąd i z dawnych tradycyj utrzymujących się tu i owdzie w pełni u ludów osiadłych na ziemi węgierskiéj, a dochowujących pamięć owego nadzwyczajnego wypadku [14/b]).

Autor *Szkiców historycznych* usiłuje powyższe twierdzenie swoje o wyboczeniu Batego do Polski aż na Kraków, a równocześnie i o wkroczeniu jego do Węgier mnienanym *szlakiem ruskim* na Sądcz, podeprzeć tym domysłem: że w wieku trzynastym rozumiano pod mianem Polski tylko ówczesną Wielkopolskę — nie zaś Sędomierz i Kraków; że co większa, liczono podówczas całe podgórze księstwa Krakowskiego do krajów ruskich. — Według tego mniemania sądzi on tedy, że można poczytać i drogę Sądecką, po któréj za jego zdaniem (acz *pochybnie*) szły wojska mongolskie Batego z pod Krakowa do Węgier — także za *szlak ruski.* — Domysł ten niema jednak żadnéj podstawy; albowiem

---

stellt, um des Vaterlandes heilige Schwelle zu schützen. Uiber die Leichen seiner Tapfern drangen die Verwüster weiter etc. etc. MEYNERT: *Geschichte Österreichs, seiner Völker und Länder.* (Pesth, 1844.) IV Band. Seite 190 und 191.

[14/b]) Z tych tradycyj wymieniamy tylko fakt jeden notorycznie pewny, który historya węgierska w zupełności potwierdza: jako wszystka prawie ludność górska nadgranicznych Rusi żupaństw Wongwarskiego, Bereżańskiego i Marmaryskiego, padła była pod orężem przechodzącéj tamtędy Wielkiéj Hordy. Ludność owa była narodowości i języka wołoskiego; dopiero książę Teodor Koryatowicz, otrzymawszy ku temu właściwy przywilej, sprowadził w tę okolicę, jako najbliżéj położoną jego pierwszéj ojczyznie, znaczny poczet osadników ruskich na zaludnienie. (Vide: „*Brevis notit. fundat. Th. Koriatovitcs.*“)

skoro według przyznania [15]) samego autora były w owém stóleciu znane *tylko dwie* drogi *ruskie*, któremi spodziewamy się dosyć dowodnie, *jednę:* drogę Jaśliską— *wtórą:* drogę Werecką, wykazaliśmy; to już samo z siebie wynika, iż w poczcie tych *dwu szlaków ruskich* niema miejsca dla *trzeciéj* drogi ruskiéj, którą autor mylnie *szlak sądecki*, wiodący do Węgier *wprost z krajów polskich* być mieni [16/a]). Fakta nareszcie nie świadczą zbyt silnie za prawdopodobnością domysłu autora: jakoby wonczas pod nazwą Polski rozumiano *tylko* Wielkopolskę; gdyż każda ówczesna historya potwierdza to jedno: że Mongołowie *w Polsce byli.* Twierdzenie to nie miałoby atoli miejsca, gdyby miano *Polski* nie odnosiło się oraz do Księstw Krakowskiego i Sędomierskiego [16/b]).

---

[15]) Str. 55— wiersz 2, od góry.

[16/a]) Z rozumowania autorowego, którém swój domysł uzasadnić się stara, widać pomyłkę, w którą popadł p. Szajnocha poczytując *przeprawę Dukielską* właściwie *Jaśliską* za *jedno* i to *samo* z *przeprawą Sądecką*; gdy tymczasem między jednym a drugim z tych szlaków jest prawie stopień jeograficzny odległości.

[16/b]) Ku udowodnieniu okoliczności: iż węgierscy dyplomatycy w połowie trzynastego stólecia nazywali przyległe ich krajowi, a w szczególności żupaństwu Szaryskiemu i ziemi Spiskiéj *Księstwo Krakowskie Polską* przytaczamy prawie w całéj osnowie *jeden* z przywilejów króla węgierskiego *Wojciecha* (t. j. *Béli*) *Czwartego* z r. 1248, w którym przy określaniu granic, nadawanych pewnemu dworzaninowi w posiadłość obszarów, Sądeczyźnie pogranicznych, wymienione są najwyraźniéj krańce czyli szlaki graniczne *Polski.* (*Vide Joan Bardosy pag. 44—48*).— Dokument ten opiéwa następnie: „Bela Dei Gratia Hungariae, Dalmatiae, Croatiae, Ramae, Serviae, Galiciae, Lodomeriae, Comaniae, Bulgariaeque rex: Omnibus Christi fidelibus, tam praesentibus, quam futuris, Salutem in omnium Salvatore. Licet regia pietas manum munificam porrigere debeat universis; illum tamen, cujus experta probitas laudata est cum in prosperis tum in adversis, principaliori debemus prosequi munere et favore, ut alii ejus exemplo incitati, ad fidelitatis opera fortius accendantur. Hinc est, quod cum Detricus, filius Mohol, serviens noster, qui a primae-

Odnosiło się ono tem mniéj do saméj Wielkiejpolski: że Mongołowie w wyprawie swéj krom województw Sieradzkiego i Łęczyckiego, tudzież krańca Kujaw *w* właściwéj *Wielkiéj Polsce* (Poznań — Gniezno — Kalisz) *nie byli.* — Z całego toku wojowania Mongołów w Polsce widać owszem: że potęga ich prawego skrzydła grasowała w Małéj Połsce: do granic i ziem Wielkopolskich zaś dotarło tylko ich ostateczne prawe skrzydło. Pewna rzecz jest: że jeżeliby Wielkopolska była istotnym celem wyprawy prawego skrzydła hordy; toby wódz Peta był poprowadził tędy całą moc danego mu pod rozkazy zagonu. W takim razie nie uszłaby ani katedra Gnieznieńska, ani inne wielkopolskie kościoły, w któ-

---

vis pueritae suae temporibus, Nobis gratum et acceptum indefesae fidelitatis studuisset impendere obsequim gratiosum In diversis regni nostri expeditionibus, cum armis militaribus et armatis viris fortunae casibus viriliter se exponens, et aliis articulis, quae longum esset enarrare per singula, absequiosum se, devota promptitudine et prompta semper Devotione, juxta nostrae beneplacita voluptatis exhibere curraset, nolens parcere rebus neque personae, et specialiter quando conflictum juxta fluvium Sajoo cum saeva gente Tartarorum habuissemus, idem Detricus cuidam, adversa acie super nos irruenti, viriliter se opposuit, et ab ipso crudeliter vulneratus a morte nos liberavit; quamobrem ob ejusdem exigentias moritorum grata vicissitudine occurrentes, licet pro modico reputemus, quod ad praesens agimus respectu servitiorum ejusdem, quaedam loca venationis nostrae, ultra indagines prope terminos terrae nostrae existentia in exitu ad *Poloniam*, in comitatu de Sarus, cum omnibus utilitatibus et pertinentiis eorundem Bacsamesey, Torkeley et Veres alma vocata, non ut donationes a regia benignitate concessas, sed ut descensum haereditarium praedicto Detrico, filio Mohol, et haeredibus suis, haeredumque successoribus contulimus, dedimus, donavimns ac tradidimus jure haereditario et irrevocabiliter perpetuo possidenda, in cujusmodi cunctarum terrarum corporalem possesionem praedictum Dectricum, filium Mohol, personaliter nos introduximus, quarum *metae* et termini hoc ordine distiguuntur: Prima meta incipit a capite fluvii, Litona vocati, qui manat in indagine ad longitudinem ipsius indaginis, et cadit in fluvium, Tarcha vocatum, et supra ipsum

rych skarbcach się już podówczas bezwątpienia wielkie kosztowności w wotach apparamentach kościelnych znajdowały— napaści chciwego zdobyczy nieprzyjaciela.

Chociażby atoli wszystkie powyżéj przytoczone okoliczności nie starczyły za dowód: że Batu Chan nieodbywał pochodu przez Polskę; to wszakże tyle jawna każdemu, kto przebiegł uważnie dzieje owych wypadków: iż w przypuszczeniu, jakoby Batu nawiedził pierwéj Kraków, a ztamtąd dopiero udał się do Węgier [17]); jest anachronizmem, którego autor niczém nie objaśnia. Jeżeliby się bowiem istotnie rzecz tak miała była: że chan pociągnął przez Kraków do Węgier; toby oczywiście zagon jego nie mógł stanąć wprzódy w okolicy Pesztu— zanimby nie uderzył na Kraków. Tymczasem rzeczy się miały zupełnie inaczéj; ponieważ Mongołowie pobili Węgrów pod dowództwem wojewody Dyonizego Hederváry już *12 (dwunastego)* Marca [18]) w okolicy Monkaczowa; a *17* (*siedmnastego*) Marca zdobyli już i

---

fluvium, Tarcha vadit supra ad partem occidentalem in directum, usque Kukeneger Patak vocatum, et super eundem rivum Kukeneger Patak vadit supra versus aquilonem usque meatum seu exitum ejusdem rivi, et ibi separat a metis villae, Tarcha vocatae, et abinde transit per montes ad altas arbores, ad partes aquilonis, et cadit in fluvium Poloucha vocatum, qui cadit in fluvium Poprad, et ibi segregat a terra Poloucha, et super ipsum fluvium Poprad tendit et vadit usque metas terrae *Poloniae*, deinde circuit ad partes orientales usque ad metam priorem, et ibi terminantur. Ut igitur hujus nostrae donationis series robur perpetuae firmitatis obtineat, praesentes concessimus litteras, duplicis sigilli nostri munimine roboratas. Datum anno gratiae *millesimo ducentesimo quadragesimo octavo*. . . . . .

[17]) *Szkice historyczne* stron. 17.

[18]) . . . . . venit idem solus, qui nocte dieque cursitaverat Palatinus dicens: „quod duodecimo die intrante Martio in Porta congressum habuerat cum iisdem etc. etc. *Rogerii Epistola in miserabile carmen.* Cap. XVI.

złupili miasto Waców podle Pesztu [19]): gdy przeciwnie wedle świadectwa samego, tylekroć przez autora w porękę przyzywanego Długosza dopiero dnia *24 (dwódziestego czwartego)* Marca pod Krakowem stanęli.

Zdanie nasze, które na podstawie powyżéj wyłuszczonych dowodów objawiamy w téj osnowie: *że Batu Chan nie był w Polsce; lecz że się prosto z Rusi przeprawił do Węgier;* wsparte jest nakoniec powagą Chwalczewskiego, kronikarza mało dotąd uwzględnionego: acz zasługującego z wielu miar na uwagę — piszącego dzieje polskie w języku narodowym, w pierwszéj połowie szesnastego stólecia. Chwalczewski nie znał kroniki Długosza, ale znał zdaje się, źródła historyi polskiéj dawniejszéj, z których zapewne i Długosz czerpał — znał widać i kroniki zagraniczne. On tedy, mający tak niepoślednie (jak na owe czasy) ku napisaniu swojéj kroniki przygotowanie, mógł też mieć w zakresie historyi nieuprzedzone zdanie. Aczkolwiek był świadom utrzymującego się po części już za jego czasów w *pewnéj* jak powiada, *historyi Polskiéj*, podania o bytności Batego w Polsce — z drugiéj strony zaś czytał był relacyą Rogeryuszową, prowadzącą do zupełnie innych konkluzyi: oświadcza się przecie nareszcie, zważywszy po krótce okoliczności przemawiające za wierzytelnością lub prawdopodobieństwem jednego albo drugiego zdania na szali prostego rozumu; za podaniem Rogeryusza, jako naocznego świadka, i ocenia jego opis za zgodnie z prawdą skreśloną relacyą [20]) Mniema więc w końcu:

---

[19]) *Meynert: Geschichte Österreichs.* Seite 191.

[20]) powyada Hystorya Polska, a zgadza sye z Rogeryussem: *yze Baty czarsz Tatarsky nye bel w Polscze*, yako przerzeczona Hystorya powyada; alye gdy chczyal *yachacz do Węgyer z Russy,* polowycze swego woyska (z) xyążęczyem ymyenym Peta ku spusthosenyu Polsky poslal . . . . Albowyem Baty przez *gorną bronę*, zlamawssy (swo) yą moczą xyążęczya krolesthwa węgyer-

że Batu Chan w Polsce, według samego przyrównania dat, znajdować się nie mógł.

Równie pobieżnie i porywczo jak w objawieniu swego zdania o pochodzie Chana Batego, postępuje sobie autor „*Szkiców historycznych*“ w przedmiocie dania opinii o bitwie książąt polskich z Mongołami pod Opolem. Dziwna zaiste: jak można było tak dalece pobłądzić, by mimo wszelkiego niepodobieństwa do prawdy, które się tłómaczy wielce różną niejscowością, poczytać miasto Opole na Szlązku, podle którego książęta: Bolesław Wstydliwy i Władysław Opolski zostali pogromieni od Mongołów — za małą mieścinę tego imienia w województwie Lubelskiem. Wszakżeż Stenzel, dziejopis Szląski, wyświeca zasadnie okoliczność téj bitwy. [21]) Z objaśnień jego wynika niezaprzeczony dowód, którego atoli autor „*Szkiców historycznych*“ jeno trefunkiem domyślać się zdaje: .iż w kronice Bogufałowéj (Sommersb. II. 60) imiona owych dwu książąt są na wspak położone. — że więc nie trzeba czytać: „*Boleslaus Oppoliensis et Wladislaus Sandomiriensis*“. — lecz *Wladislaus Oppoliensis et Boleslaus Sandomiriensis*“. — że nasz Bolesław Wstydliwy był ówczesnym księciem Sandomirskim: to rzecz wiadoma i dowodzenia nie potrzebuje — że zaś

---

skyego usthawyonego przez króla strzecz they brony *dnya 12 Marcza:* wyachal *przed* Kwyethnyą Nyedzyelą w palacz ass do Pesthu przeczyw krolowy.— Usthąpyel y przycyągnąl— a odstępywssy, gdy syę za nym krol Bella udal, otoczywsy węgerskye woysko, pobyel y rozprossel. *Tego czasu Peta z Kracowa do Wroczlawya yachal; a Bathy czarss tatarsky nyemogl bydz yednego czassu we dwu krolestwyech. Stanisław Chwalczewski: Kronika Polska* (Warszawa; wyd. Gałęz.) 1829. Cap. XLI. str. 135 i 137.

[21]) Während Batu mit der Hauptmacht in Ungarn eindrang, eroberte ein Haufen unter seinem Feldherrn Peta Sandomir, drang über Krakau vor, schlug bei Oppeln die Herzoge von Sandomir und von Oppeln etc. etc. *Stenzel*: Geschichte Schlesiens. (Breslau 1853) Seite 47—48.

Władysław, brat Mieczysława II. księcia Opolskiego, późniéj sam panujący książę na Opolu, jeszcze na kilka lat przed wpadnięciem Mongołów (bo już w r. 1235) działał był wojowniczym hufcom przywodząc po rycersku, na własną rękę; to poświadcza historya Szlązka. [22]) — Słuszna zatém: że dziedzic Opola i przyszły następca na księztwo Opolskie po domniemanem zejściu swego podówczas jeszcze panującego brata (rzeczywiście objął po nim rządy w pięć lat późniéj, t. j. w r. 1246 [23]) bronił usilnie zamku i stolicy swego księstwa od napaści nieprzyjaciół. O ile rzecz takowa łatwo się tłómaczy: o tyle przeciwném rzeczywistości jest przypuszczenie bytności tego szlązkiego książęcia w owéj, wielkiém i nagłém niebezpieczeństwem grożącéj dobie — opodal od swego rodzinnego gniazda: bo aż u miasteczka Opola w województwie Lubelskiem. — I otóż to autor tak poważny, jak p. Szajnocha, mógł sobie w brew zamilczeniu dziejopisów o oném nie-historyczném Lubelskiem (ówczesném *Sędomierskiem*) Opolu, gdzie ile wiadomo ani osady, ani zamku, ani książęcéj siedziby, ani w trzynastém stóleciu bitwy nawet nie było — podobnie mylną rzecz wyobrażać i w nią ni-ztąd ni-z owąd uwierzyć!? [24]).

---

[22]) **Wladislaus, der älteste nun mündige Sohn Herzogs Kasimir von Oppeln, hatte Heinrich dem Bärtigen (1235) Beistand in diesem Kriege geleistet etc. etc. *Stenzel*; ibidem. Seite 44.**

[23]) **Roku 1246 umarł Mieczysław II, książę na Opolu, Raciborzu i Cieszynie, którego wdowę Judytę. córkę Konrada książęcia Mazowieckiego pojął za żonę Henryk III. książę Wrocławski, a ona mu tysiąc grzywien srebra w posagu wniosła. — Po Mieczysławie II. nastąpił brat jego Władysław I. — *J. Lampa: Krótki rys historyi miasta Opola i księztwa Opolskiego.* (G. C. 1855. N. 27 i 28 str. 221 i 226).**

[24]) **„*Szkice historyczne*" str. 37 i 38. Nota 38. — Najmocniéj świadczy przeciw mniemaniu autora w tym względzie, podana przez**

II.

Obecnie przystępujemy do podniesienia zarzutu przeciw treści drugiego z kolei artykułu zawartego w „*Szkicach historycznych*“, którego roztrząśnienie wzięliśmy sobie również za zadanie, — a który nakreślony jest w tém dziele pod tytułem: „*Stanisław i Anna Oświęcimowie*“.

Odmienny charakter treści objętéj tym artykułem rozprawy nasuwa nam zarazem na myśl insze uwagi od owych, z którymi zabieraliśmy się do ocenienia poprzedniéj pracy autora. — Historya niniejsza, lubo rzecz jéj wchodzi właściwie tylko w zakres powieści rodopisowych; wstąpiła już wszakże od dawna w poczet podań gminnych, a od niejakiego czasu widzim ją nawet przeniesioną z dziedziny podań ludowych na pole romantycznego piśmiennictwa. Nie poczuwając się do potrzeby i obowiąsku rozbadywania obszernie jéj wątka ze stanowiska estetyki i umnictwa, zastanowim się jeno ile można jak najkrócéj nad względnym stosunkiem podań do historyi: zanim ogłosimy zrobione odnośnie do treści rozprawy założenie.

Nie pierwszy-to raz można słyszeć narzekania historyków na osnowanie w drodze przesady poetyckiéj opisu minionych wypadków. Rozwaga rozbierająca zimno każdą rzecz, nie pozwala im podzielać przeświadczenia o prawdzie mniemanych częstokroć wybujałości fantazyi natchnionego gminu: nawzajem zaś uwierzytelnieniu

---

jeografa Święckiego okoliczność: że miasteczko Opole dopiero w wieku XIV przez Władysława księcia Opolskiego (ze Szląska) rejenta, w Polsce za Ludwika króla, założoném zostało. (*Starożytności Polskie* Tom II. Poznań. 1852. artykuł: „Opole w województwie Lubelskiem“). — Nazwaném zaś zostało to wtóre Opole ku pamiątce szląskiego Opola, w którém książę — założyciel dziedziczył.

powieści nie obliczających się w swych podaniach z wymaganiami krytyki prostaczków, stawa na zawadzie sceptycyzm dziejopisarzów *par excellence.* — Opiniowanie w takowym sporze wymagałoby więcéj niż ogólnie bezstronnego rozpatrzenia się w zasadach rzeczy rozważyć się mającéj — wymagałoby każdokrotnie drobiazgowego roztrząśnienia treści przypadłego do ocenienia przedmiotu. Baczenie tak usilne na użyczenie trwałych podstaw stanowić się mającemu orzeczeniu bywa wprawdzie tém pożądańszem: czém trudniéj jest z góry zawyrokować: przy kim w podobnym razie słuszność zostaje. Mimo to trzeba, zdaje się, dokonanie sądu w téj mierze zdać jedynie na rozsądek i dobrą wiarę głosicielów opinii sobie przeciwnych: z wezwaniem ich do zobopólnego porozumienia się — co przy niejakiem przestrzeganiu oględnego zachowania się strony poważniéjszéj nauką w obec przeciwnika rzeźwiejszego uczuciem nie zdawałoby się niepodobném do uskutecznienia. Lubo albowiem jedni i drudzy — t. j. dziejopisowie i poeci mają w zawodzie kreślenie podmiotowych opisów pewien właściwy stawający sobie czasem na przekór rodzaj tworzenia; to nie są przecież w każdym razie tak zarozumiali by nie zdołali uznać zasług strony przeciwnéj. W ten sposób pojmujem, jak jeden z naszych poważnych badaczy historyi, aczkolwiek niewątpliwie oziębły na wrażenia romantyki, ale snadź nie wiedziony w obłęd myślą upatrywania w zdaniu swém nieomylności, ocenia trafnie ważność podań w ogólności— a o poetach, chociaż wprawdzie ostrzega o szkodliwości rozbujania fantazyi w obrębie dociekania natury wydarzeń dziejowych, powiada przecie z przyznaniem i im przynależnéj zasługi: że „*co oni w swych dziełach zostawili; jest najdawniejszym zbiorem wiadomości wszelkiego rodzaju, gdzie naleźć można pierwsze podania lu-*

dzi" . . . [25]) — Jeżeli snadź uznana jest za słuszną zasada prawa, orzekająca wiadome prawidło: „*audiatur et altera pars!*"; toć posłuchajmy także w téj rzeczy niezrównanych słów drogiéj pamięci mistrza naszych piewców, które on w niniejszéj materyi wymowną pieśnią wajdeloty głosi:

„O wieści gminna, ty arko przymierza
„Między dawnemi i młodszemi laty:
„W tobie lud składa broń swego rycerza,
„Swych myśli przędzę, i swych uczuć kwiaty.

„Arko! tyś żadnym niezłamana ciosem,
„Póki cię własny twój lud nie znieważy;
„O pieśni gminna, ty stoisz na straży
„Narodowego pamiątek kościoła,
„Z archanielskiemi skrzydłami i głosem —
„Ty czasem dzierżysz i broń archanioła. [26/a]).

Nie roztrącajmy podań, lecz szanujmy one, jeżeli nie z dowierzaniem zupełnie ich treści, to przynajmniéj poczytując je za to, czem się rzeczywiście okazują to jest za materyał przydatny do osnowy każdéj historyi! boć zaprawdę miał słuszność ten pisarz, który rzekł: jako „*i w widoméj karcie historyi*, *podania rzucają jeszcze na nią odblysk prawdziwego światła*, *i dopomagają nieraz do właściwego jéj pojęcia i zrozumienia*"..............
Jakkolwiek bądź: nie do nas należy rozwodzić się bliżéj nad właściwem powołaniem i wartością podań w obec ściśle pojmowanych prawideł umiejętności. Tego

---

[25]) Ks. Hugo Kołłątaj: „*Badania Historyczne*"; (Kraków 1842) Tom I. str. 9.

[26/a]) *Pisma* Adama Mickiewicza. (Paryż; wyd. 7. 1844) Tom III. str. 39.

tylko sądzimy, nie można całkiem zaprzeczyć: że podania historyczne nawet i w zakresie nauki nie są bez pożytku i znaczenia. W każdym razie prawie są one zbiorem pierwotnych wiadomości: uwzględnienie ich przeto tam jest mianowicie niezbędne, gdzie powaga świadectw piśmiennych nie wystarcza: by uzasadnić zdanie przeciwne ich treści. Bez stawienia przeciw-dowodów, odrzucić powieść podaną: nie jest rzeczą bacznego historyka — nie zbadawszy zwłaszcza uprzednio jéj wątka u źródła t. j. na miejscu dotychczasowego istnienia— nie przekonawszy się zarazem, jeżeli można na drodze intuicyi w pomnikach, które dały pochop do rozsnucia przedmiotu w kształcie powieści: o nicości lub prawdopodobieństwie podania.

Przystępując do rzeczy zamierzonego roztrząśnienia rozprawy o Oświęcimach; niemyślimy bynajmniéj przeczyć: iż w istocie niema jeszcze dostatecznie nagromadzonych poszlaków do uzasadnienia stanowczego wniosku o naturze wzajemnego stosunku obojga wiadomych rodzeństwa, w ślad powszechnego przypuszczenia: iż takowy był innym krom zwykłego stosunku, jaki miłość rodzinna kojarzy.

Zadaniem przeto następnego rozbioru, nie jest w ogólności kreślenie historyi Oświęcimów [26/b]) ani

---

[26/b]) Ciekawszych w téj mierze czytelników, a w ogóle zbieraczów szczegółów rodopisowych odsyłamy po bliższą wiadomość do archiwum galicyjskiéj tabuli krajowéj, złożonego w klasztorze Bernardyńskim we Lwowie—a w szczególności do aktów b. Grodu Bieckiego, w których się najwięcéj dokumentów dotyczących rodziny Oświęcimów oblatowanych znajduje. Dla ich użytku sporządziliśmy z co najprzedniejszych *oblat* i załączamy następujący

Summaryusz

dokumentów odnośnych do rodziny Oświęcimów, *wciągnionych* w akta byłego Grodu Bieckiego: od roku 1565 do r. 1673.

---

w szczególności usiłowanie dowodzenia rzeczywistości faktu, mającego dotąd jedyną podporę w domysłach ludzkich— nie jest kuszenie się o danie dowodów prawdziwości odnośnego podania: gdyż wiadomość o naturze tego zdarzenia przekazaną została potomności wyłącznie w formie powieści ludowéj i *w niezwykłém* (jak każdy przyzna, co rzecz własnemi oczyma oglądał) objawieniu boleści brata nad stratą siostry *w całym nastroju, wystawieniu i ugrupowaniu świadczących o jego nadzwyczajnéj miłosci ku niéj pamiątek* — lecz zadaniem rozbioru będzie *odparcie niektórych dowodów stawionych*

1565. Fer p. f. Conversion. s. Pauli.

1. Divisio Oświecimów et Siedliski.

1634. Fer 2. post D. „Invocavit.“

2. Privilegium pro Parte Oświecim; super Bona: Klecie, Błaszkowa, Wola Januszewicze, Skorowa, Gogolowa, Czyrwina, Bukowa, Glinik, Dambowa, Brzeziny, Mała, Smarczchowa, Siedliska. Gorzniowa, Kamienica.

Eodem. F. 2 post. D. „Cantate.“

3. Recognitio pro Parte Oświecim.

4. *Detto.* — Recognitio pro Parte Ejusdem.

1649. Fer. 4. post. D. „Conductus Paschae“.

5. Intercisa inter Oświecimowa et Borowski.

1652. Sabb. ante F. Nativ. s. Joannis Bap.

6. Recognitio pro Parte Oświecim.

7. *Detto.* — Intercisa inter Oświecim *).

8. *Detto.* — Litterae pro Parte Oświecim.

1673. Fer. 5 post f. s. Dorotheae.

9 „Salvus Conductus“ *pro Parte Oświecim.*

Rodzina Oświecimów zwała się aż włącznie do piętnastego stólecia „Oświecimkami“, i posiadała już wówczas dobra ziemskie w okolicy Krosna.— Jan *Oświecimka z Kunowéj* podpisał w r. 1464 współem z innemi sąsiadami dokument, mocą którego gmina i rajcy miasta Krosna ustępują swemu Wójtowi część lasu Szczepańskiego (Obacz: *Dodatek tyg. przy Gaz. Lwow.* Rok 1855 Nr. 6 stron. 23 i 24).

---

*) Jest to ten sam układ między wdową a dziećmi ś. p. Floryana Oświecima, którego transsumpt z aktów b. Grodu Sanockiego, poniżéj podamy.

przez autora „Szkiców historycznych“ przeciw treści podania o Oświęcimach w szczególności.

Pan Szajnocha nie bywszy w Krośnie— miawszy tylko *Dyaryusz Stanisława Oświęcima*, i to jak sam się przyznaje, niekompletny w ręku; usiłuje mimo tak niedostatecznéj informacyi orzec na drodze *rozumowego* dochodzenia: iż wzajemny stosunek wzmiankowanego rodzeństwa nie był nadzwyczajnym, i że powieść o miłości namiętnéj (ma się rozumieć *nie rodzinnéj*) Brata ku Siostrze jest *bajką*.— Nie mielibyśmy nic do zarzucenia takowemu orzeczeniu, ponieważ jak już wyżéj powiedzieliśmy: nie zamierzaliśmy utrzymywać prawdziwości owego zdarzenia w przypuszczonéj treści, ani stawać w obronie dotyczącego podania — gdyby jeno autor *Szkiców historycznych* był się postarał o przytoczenie ku poparciu swego tak stanowczego zaprzeczenia dowodniéjszych w każdym rodzaju argumentów. Że atoli przeciwnie stawione przezeń w tym celu mniemane dowody, tak specyalne jak i dydaktyczne w ogólności, niemają wcale silnéj podstawy; to wykażemy następnie.

W rzeczy poparcia owego zaprzeczenia upatruje pan Szajnocha *w tém* niby najgłówniejszy dowód: iż Stanisław Oświęcim w swoim pomienionym *Dyaryuszu* nazywa siostrę Annę: *Rodzoną*. Wnosi ztąd że musiała być rzeczywiście jego rodzoną t. j. jak *dzisiaj* mówim, z jednego ojca i matki rodzoną siostrą — kiedy ją w ten sposób mianuje.

Otóż w myśl uczynionego w poprzód założenia ma się obecnie udowodnić: *iż tak nie jest.*

Przedewszystkiem musimy uprzedzić, ktoby o tém niewiedział: że w dawnéj polszczyźnie (jak było w używaniu do połowy ośmnastego wieku) używano owego wyrazu: albo w formie trzech-rodzajowego przymiotnika *rodzony*, *rodzona*, *rodzone* w połączeniu z imionami *brat*, *siostra* i t. p. np. brat *rodzony* siostra *rodzona*—

alboliteż w formie rzeczownika, stojącego samodzielnie: np. *mój rodzony mója rodzona.* — W obu razach oznaczał ten wyraz *brata lub siostrę po mieczu w ogóle; nie wchodząc w to: czyli oni byli sobie rzeczywiście, jak się dziś wyrażamy rodzeni — czyli raczéj* (jak dziś pojmujem) *przyrodni — czy też byli stryjeczni bracia albo siostry.*

Objaśnią to następujące przykłady:

1. Stanisław Wierzbowski, starosta łęczycki, żyjący w wtóréj połowie siedmnastego i na początku ośmnastego stólecia, wyraża się w swojéj, świeżo przez nas do druku podanéj *Konnotacie wypadków* [27]) (któréj, autograf każdocześnie w celu naocznego przeświadczenia się oglądać można) o swoim starszym *podług dzisiejszego rozumienia* „przyrodnim“ bracie Zygmuncie, zrodzonym (według brzmienia skreślonéj przez tegóż samego starostę łęczyckiego genealogii domu Wierzbowskich) [28]/*a*) z Przyłęckiéj, *pierwszéj żony* Hieronima wojewody sieradzkiego: gdy przeciwnie Stanisław *z jego wtóréj żony,* Ginwiłłównéj Piotrowskiéj się rodził — pod rokiem 1666 następnie:

Tego roku odedworu odjachał JMc Pan Hieronim Wierzbowski, chorążyc łęczycki, i oblóczy suknie kapłańskie; a pierwsze święcenie od ks. Nuncyusza (bierze) *(Die) 3tia Octobris wyjachał do Rzymu z JMcią Panem Zygmuntem wojewodzicem sieradzkim a bratem rodzonym moim.*

Nazywa tedy tego lubo *dzisiaj wedle naszego pojmowania* tylko *przyrodniego* brata — swoim bratem *rodzonym.*

---

[27]) *Konnotata wypadków familijnych krajowych* od r. 1634 do 1689 zaszłych; przez *Stanisława Wierzbowskiego, starostę łęczyckiego* skreślona etc. etc. (Lipsk; w księgarni zagranicznéj, 1856).

[28]/*a* Genealogia Wierzbowskich nachodzi się w poprzód *Konnotaty Wypadków,* w tym samym woluminie autografu.

2. Antoni Jendrski, Franciszkan, nazywa w kazaniu, mianém na pogrzebie Jana Kazimierza, Stadnickiego, wydaném we Lwowie roku 1645 pod tytułem: *Trzy znaki Łaski Bożéj* — brata stryjecznego onegoż nieboszczyka, (Jana Adama Stadnickiego, podczaszego krakowskiego) na stronnicy 3: *stryjeczny rodzony* [28/b]).

Twierdzenie, jakoby wyrazy „*Rodzony*“, „*Rodzona*“ miały u dawnych Polaków znaczyć *z jednego ojca i matki* zrodzonego brata lub zrodzoną siostrę — z wyłączeniem tak zwanych obecnie *brata przyrodniego i siostry przyrodniéj:* zrodzonych z innéj matki, a tego samego ojca; usiłuje autor uzasadnić powołaniem się w téj mierze na zdanie lexykografa Lindego. Linde atoli, (pominąwszy okoliczność: iż w słowniku swym wyrazy owe *bardzo niedostatecznie* objaśnia;) nie jest powagą dostateczną w ogólném definiowaniu wyrazów wyłącznie w *dawnéj* polszczyźnie używanych, ani téż w opiniowaniu o względnéj donośności ich każdokrotnego znaczenia; z téj prostéj przyczyny: *iż za jego czasów już się tak nie wyrażano.* Istotną powagą naukową w tym względzie jest dawniejszy od Lindego słownikopisarz Knapiusz, [28/c]) który też owe tylekroć rzeczone imiona „*Rodzony*“ (brat) — „*Rodzona*“ (siostra) w swoim słowniku wyrazami: „*germanus frater*“ — „*germana soror*“ tudzież:

[28/b]) Po prawniczemu: *frater Patruelis germanus*; która nazwa trafia się często w dawnych łacińsko-polskich aktach sądowych.

[28/c]) Pan Szajnocha zaglądał, jak sam mówi, jeno do wydania Knapiusza z roku 1780 — zatém z epoki najpóźniejszéj wydań tego słownika, gdzie pierwotny tekst onego już był przeistoczony i zastósowany do mowy ówczesnéj. Dla lepszego zrozumienia naszych zarzutów, radzimy przeto zajrzeć do lexyków dawniejszych tego pisarza — rozumie się do jedynie kompetentnych w téj mierze wydań z XVII wieku; np. do wydania z r. 1693: a tam znajdzie się na str. 318 tłumaczenie łacińskiego „*frater germanus*“ na bardzo zwięzłe polskie „*Brat*“ (bez żadnego określenia ani przydatku).

„*Semigermanus*“ w łacińskiém tłumaczeniu kładzie [29/a]).— *Frater germanus* i *soror germana* znaczą jednak i znaczyły w języku łacińskim *brata* albo *siostrę* „*rodzonych z jednego ojca*“ — ale „*nie koniecznie z jednéj matki.*“ Można to czytać w autorze klasycznym Korneliuszu Neposie w przedmowie do dzieła: „*Vitae excellentium imperatorum*“, gdzie historyk ten wspominając o ślubach małżeńskich wodza ateńskiego Cymona z jego *rodzoną* (z jednego ojca — lecz *nie z jednéj matki)* siostrą, wyraża się temi słowy: „*Neque enim Cimoni fuit turpe, Atheniensium summo viro, sororem germanam habere in matrimonio; quippe quum cives ejus eodem uterentur instituto.*“ Który to wyraz *soror germana* w powyższym okresie się nachodzący, filolog niemiecki Hohler objaśnia: „*Halb-* oder Stiefschwester, (*die den nämlichen Vater, aber nicht die nähmliche Mutter hat)* zum Unterschiede von *soror uterina*, *Halbschwester von der nämlichen Mutter.*“ [29/b]). — Że wreszcie owa siostra była Cymonowi rzeczywiście *tylko z ojca rodzoną* siostrą, tego dowodzi jeszcze dobitniéj sam tekst Korneliusza w życiorysie Cymona (zob. *Cimon I.*) gdzie jest napisane: „*Habebat autem in matrimonio sororem germanam suam, nomine Elpinicen, non magis amore; quam more ductus. Nam Atheniensibus licet eodem patre natas uxores ducere.*“ [30/a]).

[29/a]) *Thesaurus Polono-Latino-Graecus* seu Promptuarium linguae latinae et graecae. Opera *Gregorii Cnapii e S. J.* — Editio II (Cracoviae, Typis: Fran. Caesarii MDCXLIII) pag. 922.

[29/b]) Em. Th. Hohler: *Cornelii Nepotis* „*Vitae excellentium imperatorum*“. Cum notis et scholiis in usum studiosae juventutis denuo editae. Editio quarta. (Viennae, 1844) Praefatio: pag. 2, nota 17.

[30/a]) Rodzeństwo rodzone „*z jednego ojca i z jednéj matki*“ zwało się u dawnych Rzymian: *ex eisdem parentibus nati* albo *natae* — ma się rozumieć „*fratres*“ *aut* „*sorores*“; jakoż tak mianuje powyżéj cytowany autor Korneliusz Nepos w życiorysie Ko-

Wyrazy tedy *germanus*, *germana* — poczytywane, tak jak są w istocie, za *substantiva appellativa*; okazują się u łaciników jeno prostemi równoznacznikami rzeczowników *frater* i *soror*, bez przypuszczenia jakowego ograniczenia [30/b]). — Ta okoliczność tłumaczy: czemu u dawnych Rzymian mawiał (w piątym przypadku) jeden brat do drugiego: *mi germane!* — albo pokrótce: *germane!*; tudzież jedna siostra do drugiéj: *mi germana!* — albo pokrótce: *germana!*; nie wchodząc w to: azali tenże brat albo ta siostra byli rzeczywiście sobie rodzonemi dziećmi z jednéj matki [31].

Dawni Polacy używali wyrazu „*Rodzony*“ ku mianowaniu *jakiegokolwiek* (byle „po mieczu“) *pokrewnego* brata — w odszczególnieniu takowego od *nie-pokrewnego* Brata, którym był w ogólności *każdy szlachcic* polski. Kształcąc się wyłącznie na wzorach starożytnych przenieśli *synonymon* łacińskie do swego języka, biorąc wyrazy „*rodzony*“ — „*rodzona*“ w nader rozciągłém znaczeniu łacińskiego *frater* i *soror*, oraz odpowiedniego tymże równoznacznika „*germanus*“ — „*germana*“ [32]). — Prze-

rynckiego obywatela Timoleona, *siostrę* tego dowódzcy — przytaczając o nim (XX. I.) że: „*Hac mente per haruspicem communemque affinem, cui „soror ex eisdem parentibus nata“, nupta erat; fratrem interficiendum curavit.*“ — Wyraz ów: „*soror ex eisdem parentibus nata*“, objaśnia filolog Hohler w wiadomém dziele (pag. 224, nota 13.) po niemiecku: „*eine leibliche Schwester.*“

[30/b]) Vide: FRANCISC. WAGNER: „*Phraseologia latina.*“ (Viennae et Tergesti) pag. 399, articulus: „*Frater*“.

[31]) W Enejdzie Wirgiliuszowéj, księdze czwartéj, czytamy wyrazy *germanus*, *germana* w bardzo częstém powtarzaniu. Z zestawienia tedy objaśnień i przekładów tych wyrazów, nachodzących się po komentarzach i tłumaczeniach owego poematu w dziełach zagranicznych i własnych filologów możem się przekonać: iż je nieinaczéj jeno w znaczeniu synonymów *frater* i *soror* pojmowano i tak tłumaczono i komentowano, na co wszędzie dowód znajdzie.

[32]) Jak dalece obszerném było niegdyś pojmowanie nomenklatury „*frater*“ i indziéj, poświadcza Pismo ś. zowiące każdego członka

ciwnie wyrazu *przyrodni—przyrodnia* używali dawniejsi Polacy w znaczeniu łacińskiego „*uterinus*“ — „*uterina*“ (*frater — soror*) t. j. *brata* albo *siostry z jednéj matki, ale nie z tego samego ojca*. — Tak wyraża się Stanisław Wierzbowski w przytoczonéj powyżéj „*Konnotacie Wypadków*“, czyniąc wzmiankę o swoim bracie Janie Skarszewskim, zrodzonym *z téjże saméj matki* Katarzyny z Ginwiłłów Piotrowskich (pierwszego małżeństwa Wierzbowskiéj) — *z jéj powtórnego małżeństwa* z Stanisławem Skarszewskim, kasztelanem wojnickim — pod rokiem 1678 w ten sposób:

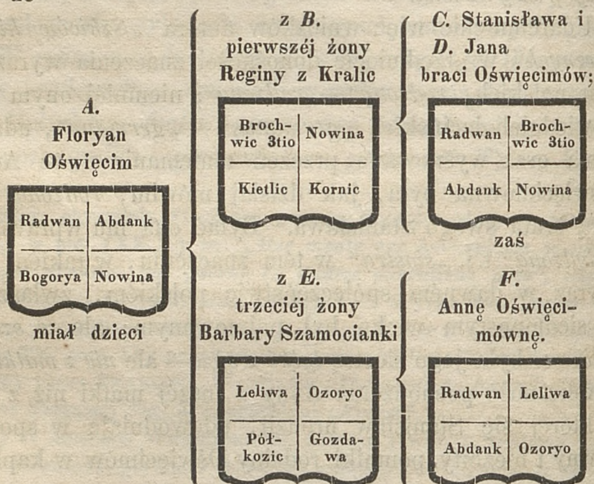
„*Tegoż roku na ś. Jan wiązał JMć Pan Wojnicki we Lwowie króla JMci złotą czarą, pełną portugałów. Oddawał toż wiązanie JMć Pan Jan, syn* (jego), *a brat mój przyrodni.*“

Udaremnienie więc wniosków autora „*Szkiców historycznych*“ w przedmiocie donośności znaczenia wyrazów staropolskich „*rodzony*“—„*rodzona*“; niemniéj onym odpowiednich łacińskich „*germanus*“ — „*germana*“, udaremnia oraz wysnowane przezeń mniemanie: „że Anna Oświęcimowna była, jak dzisiaj mówim, *rodzoną* siostrą brata swego Stanisława.“ Byłać ona mu wprawdzie „*Rodzoną*“ t.j. „*siostrą*“ w tém znaczeniu, w jakiém ten wyraz w dawném społeczeństwie polskiém, zwłaszcza w siedmnastym wieku był pojmowanym; ale *w szczególności* była jego siostrą *tylko z ojca* — ale *nie z matki*. — Okoliczność pochodzenia Anny z inszéj matki niż z téj, z któréj się Stanisław urodził, udowodniają w sposób jawny i niezbity pomniki rodziny Oświęcimów w kaplicy

---

chociażby dalszego rodzeństwa płci męzkiéj „*bratem*“. — Wiadomo np. że ś. Jakób *mniejszy* był tylko bratankiem Chrystusa — mimo to nazwan jest w Piśmie „*bratem*“ Zbawiciela. Zob. ks. PIOTR SKARGA S. J.: „*Żywoty Świętych*“ (Kraków, 1644) str. 321, — tudzież: „*Dictionnaire de la Bible*“ (Paris, MDCCLXIV) page 158 i 159. Article: „*Jacques*“ (le Mineur). — O czém ROSENMÜLLER,

u OO. Minorytów w Krośnie. Są to tarcze herbowe o czterech polach; ma się rozumieć z znamionami herbowemi *dwu pokoleń:* w obu życiodawczych czynnikach: „*mieczu*“ i „*kądzieli*“ na wstecz ku ich genezie postępując, w cztery działy się rozkładające. — Tarcz tych jest *sześć:* tyle ile się najduje portretów członków rodziny Oświęcimów w kaplicy — powyżéj których portretów owe tarcze sztukaterniczą robotą t. j. tłoczone modeluszem w gipsowéj massie na ścianie się najdują.— Harmonia architektonicznego układu równie jak plastyki i treści heraldycznéj owych tarcz *jest najzupełniejsza.*— Owóż z zestawienia wspomnionych tarcz, w ślad unaocznionego herbami każdéj z sześciu wyobrażonych na właściwych portretach osób pokrewnego wątku, wynika że



słynny kommentator Pisma ś., w dziele: „*Scholia in Novum Testamentum*“ tak pisze: „. . . . . placet Hieronymi sententia, qui *consobrinos* Domini arbitratus est fuisse eos, qui hic et supra (cap. XII. 46.) *fratres* vocantur. Nam Jacobus et Joses erant filii Mariae, quae erat Cleophae uxor, et matris Domini soror. (Joann. XIX. 25.) *Fratres* vocantur consobrini, loquendi genere *etiam*

O Reginie z Kralic, pierwszéj żonie Floryana Oświęcima *wiadomo:* że była matką Stanisława — ponieważ ją tenże w akcie stanowiącym rozporządzenie mających się odprawiać za dusze zmarłych członków rodziny wotyw, który dokument konwent OO. Minorytów dotąd posiada, swą rodzicielką nazywa. Także w napisie pod jéj portretem w kaplicy powiada o niéj, że była: „*mater fundatoris*“ t. j. *jego* matką.

O Barbarze Szamociance, późniejszéj żonie Floryana Oświęcima atoli wiadomo: że męża swego przeżyła. Mamy tego oczywisty dowód w dokumencie sporządzonym w obec aktów starościńskich grodzkich sanockich [33])

Graecis et Romanis noto.“ (Vide: Tom I. Edit. 6. Norimb. 1815. pag. 300.) — tudzież: „Alii et veteres et recentiores Jacobum, Alphaei filium epistolae nostrae auctorem esse existimant, quem Domino *ab alio latere* cognatum, eamque ob caussam *ἀδελφὸν τȣ̃ κυρίȣ* appellatum esse censent.“ (Vide: Tom V. Edit. V. Norimb. 1808. pag. 319).

[33]) Dokument ten opiewa *w kopii urzędowéj,* jak następuje:

„Nro 45. ex 1855. — *(Locus thymbri 30 kr. C. M.)* — Extractus. — Actum in Castro Sanocensi, Feria tertia: ipso die Festi Sancti Valentini Martyris. Anno Domini *Millesimo Sexcentesimo Quinquagesimo Primo.* — Comparentes personaliter coram Officio Actisque praesentibus Castrensibus Capitanealibus Sanocensibus Generosi *Stanislaus,* Aulicus Sacrae Regiae Majestatis; *Joannes* et *Albertus Oświęcimowie* de *Kunowa,* olim Generosi *Floriani Oświęcim* filii et successores legitimi, suo et Generosi *Simeonis Oświęcim,* Fratris sui *Germani* Minorennis, pro cujus rathihabitione cavent ac se praesentibus inscribunt — nomine, ab una; et Generosa *Barbara Szamocianka* ejusdem olim Generosi *Floriani Oświęcim* relicta consors, parte ab altera: sani mentibus et corporibus existentes, et Terris, Districtibus, Juribus, Jurisdictionibusque suis quibusvis propriis et competentibus recedendo — Praesenti vero Castrensi Capitaneali Sanocensi Jurisdictioni se cum successoribus ac bonis suis generaliter omnibus, quo ad actum praesentem attinet, totaliter et plenarie incorporando ac subjiciendo; palam, libere, publice, ac per expressum recognoverunt et quilibet illorum suo pro interesse recognovit. Quia ipsi se ac suos successores in et super

pod rokiem 1651, w którym z jednéj strony dzieci nieboszczyka Floryana Oświęcima: *Stanisław*, *Jan*, *Wojciech* i *Szymon Oświęcimowie* — z drugiéj strony zaś rzeczona *Barbara Szamocianka*, Floryana Oświęcima pozostała wdowa pewien układ czynią.

Dyaryusz Stanisława Oświęcima, służący autorowi „*Szkiców historycznych*“ za podstawę do wniosków w rozprawie o téj rodzinie, poświadcza (stronnica 1091): że Barbara z Szamotów była *trzecią* żoną Floryana — którą okoliczność sam p. Szajnocha w owéj rozprawie (stron. 190, wiersz trzeci od góry) za wierzytelną uznaje. — Przyjmując tedy okoliczność tego *trzeciego* małżeństwa,

---

bonis suis generaliter omnibus summisque pecuniae quibusvis habitis et habendis mutuo et invicem Una pars alteri parti et successoribus partis utriusque inscribunt et obligant praesentibus: Intercisam certam inter se Recognoscentes ratione certarum rerum et conditionum in eadem Intercisa contentarum, de actu et data ipsius: in Sanok die hodierna in actu contenta; id est: die decima quarta mensis Februarii, anni praesentis confecta, manibus eorundem Recognoscentium atque Generosorum Mathiae Alexandro Strasz, Notarii Castrensis Sanocensis et Generosi Joannis Chrząstowski propriis subscripta et sigillis obsignata. In omnibus et singulis ejusdem Intercisae Conditionibus, punctis, clausulis, articulis, Vadio, ligamentis ac nervibus generaliter universis firmiter tenere, complere, exequi ac inviolabiliter observare, omnibusque et singulis illius contentis, tam in toto, quam in quavis minima parte, toties, quoties opus fuerit satisfacere: Intercisam praedictam ad Inscriptionem praesentem et Inscriptionem hanc ad illam Intercisam in toto vicissim referendo: Idque sub vadio Quinque Millium florenorum pecuniae polonicalis per partem unam sive ejus successores parti alteri vel ipsius posteris in casu non completionis Praemissorum omnium et singulorum ad solvendum succumbendo. Pro quo quidem Vadio praefato modo praemisso taliter ad solvendum succubito, ac reali qua principali ex praemissis non completa complendisque praemissis citata existens pars una, praemissa non tenens vel ipsius successores — ad instantiam partis alterius praemissa tenentis, vel ipsius posterorum: Ad Officium Castrense Capitaneale Biecense, extunc Recessu suprascripto, quoad respondendum spectat, mediante: semper in pri-

za rzecz niewątpliwą, wypada się zastanowić: dla czego portret i tarcza z herbem Barbary są umieszczone w kaplicy?

Że Barbara nie była matką Stanisława: *o tém już wiadomo* — że również nie mogła być matką ignorowanego w rozprawie p. Szajnochy, brata jego późniejszego Podczaszego Bielskiego *Jana Oświęcima:* potwierdza krom zgodności herbów na tarczy Janowéj z herbami Stanisławowemi w kaplicy, okoliczność: iż on był niemal równy wiekiem Stanisławowi; skoro począwszy od roku 1646, aż do roku 1672 piastował godność Podsędka grodzkiego oraz Pod-Starosty w ziemi Sanockiéj [34/a].

---

mo Citationis termino, tanquam peremptorio stare, juri parere, respondere, Vadium praefatum luere, Inscriptioni huic satisfacere ac omne indicatum pati debebit et tenebuntur; seque ac suos successores ad eadem omnia obligant: Eundem Terminum primum peremptorium, uti et alios omnes exinde consequentes Causae ejusdem terminos semper peremptorios: Vera infirmitate pro majori — Minorennitate Successorum, legatione intra vel extra Regnum, Servitio Militari ad Evictorem, ad Munimenta, vel aliis quibusvis dilationibus et legalibus impedimentis non diferendo, ad quietationem etiam ultra proximos Terminos Officii praefati Castrensis Capitanealis Biecensis Dilationem sibi non recipiendo, nullasque motiones, protestationes ac earum prosecutiones faciendo, praemissaque omnia poenis simplicibus vel triplicatis, Evasionibus, suspensionibus, fataliis Juris: praescriptione, terrestri Bello Conventioneque; Tum et aliis omnibus Juris Remediis et defensis non subterfugiendo: Hac sua praesenti mutua Inscriptione ad praemissa omnia mediante. — Ex Actis Castrensibus Sanocensibus Inscriptionum Libr. 65. pag. 1218. extraditum.— *(Locus Sigilli Archiv. Caes. Reg. Tabulae provincialis Galic. et Lodom.)* — Joannes Engel mp. C. R. prov. gal. Tabulae Vice-Director et Archivarius. — Ext. Misiągiewicz mp. — Coll. per Rojek mp. — Zur Zahl $^{51}/_{45}$ ist die Taxe von 5 fl. Con. Münze am 5 Oktober 1855 erlegt, und zur Zahl 47. der Auszug am $^{7}/_{10}$ l. J. von der Parthei behoben worden. — *H. v. Schmitt.*

34/a) Mamy w ręku przeszło *dwadzieścia* oryginalnych dokumentów starościńskich grodzkich Sanockich z daty: 1646, 1655, 1657, 1658 i 1659 roku z następnym jego podpisem: „*Joannes*

Niepodobna wcale: aby urzędnik tak znakomity w ziemstwie i grodzie, zatém mąż w poważnym już wieku będący, miał być synem Barbary, która jak autor „*Szkiców historycznych*“ (na stronn. 190) zapewnia, była około roku 1644 jeszcze młodą osobą [34/b]. Cóż więc dało pochop założycielowi kaplicy do umieszczenia tam obrazu a razem tarczy herbowéj Barbary Szamocianki, gdy takowa, jak wykazaliśmy uprzednio, nie była matką Stanisławowi ani Janowi braci Oświęcimom? — Zapewne nie bez przyczyny zostały te pomniki tam umieszczone; albowiem jeżeliby Barbara nie była w stosunku rodzicielki do którego z dzieci Floryanowych reprezentowanych utworami pęzla na ścianach kaplicy, toby licina jéj i tarcza herbowa były wykluczone podobnież z wyobrażonego tam dziełmi sztuki koła rodzinnego — jak wykluczony zeń widzim obraz *wtóréj* żony Floryana Oświęcima, o któréj tam ani śladu, ani słychu nie ma z powodu: „*że tamże nie ma konterfektu jéj dzieci.*“

Owóż przyczyną zamieszczenia wizerunku i tarczy herbowéj Barbary Szamocianki, trzeciéj żony Floryana Oświęcima w kaplicy u OO. Minorytów, jest porównaniem herbów na zwyż wykazanych tarczach uzasadniony pewnik: „*że Barbara była matką rodzicielką Anny Oświęcimównéj*“ — bowiem tę okoliczność jawną czyni

---

Oświęcim de Kunowa, Vice-Capitaneus et Judex Castrensis Sanocensis m/p.“; wreszcie z daty: 1660, 1661, 1663 i 1670 z podpisem: „*Joannes Oświęcim de Kunowa, Pocillator Bielscensis, Vice-Capitaneus et Judex Castrensis Sanocensis. m/p.*“ — W archiwum byłych dóbr Odrzykońskich (w XVII stóleciu własności Firlejów potém Tarnowskich) przechowywaném obecnie we dworze w Krościenku podle Krosna, nachodzi się także (jak nas upewniano) jeden akt *z roku 1672*, z zupełnie takim samym podpisem Jana Oświęcima.

[34/b]) Według świadectwa księgi metryk uczniów akademii Jagiellońskiéj, został wpisany Jan Oświęcim w poczet akademików w roku 1629, za rektorstwa Daniela Sigoniusza.

zupełna zgodność herbu matki i córy. — Ojciec Barbary był herbu *Leliwa* — to też w tarczy Anny widzim *matczyn* herb *Leliwa*. Matka Barbary była herbu *Ozoryo* — to też więc na tarczy Anny widzim *babczyn* herb *Ozoryo*.

Tarcze herbowe opisaliśmy tutaj w najrzetelniejszém ztreszczeniu: tak, jak je najstarsi ludzie z widzenia i z tradycyi (że nigdy odmieniane nie były — bo i kaplica, krom kilkokrotnego bielenia nigdy odnawianą nie była) znają i pamiętają — jak je tedy z dawien dawna na miejscu widywano [35]). Jeżeli ś. p. ksiądz Siarczyński inaczéj te herby opisał, to nie nasza w tém wina — i pokazuje tylko: „*że czasem i uczeni ludzie pomylić się mogą*“.

[35]) Pan Szajnocha zdaje się posądzać (Szkice historyczne, str. 204) acz sam nie wie kogo, o podrobienie pomników Oświęcimów u OO. Minorytów w Krośnie. Możnaby rzec na to: że zarzut takowy jest błahy, nie prowadzący do żadnych wyników. Jest on zazwyczaj ostatecznym ratunkiem tych, którzy zużywszy wszystkie naukowe argumenta, nie mają środka do dalszego prowadzenia polemicznéj walki. Zarzut ten jest jednak oraz gorszącym dla drużyny naukowéj; przytém bywa on częstokroć mieczem obosiecznym, który na dwie strony razi. Wypadałoby snadź raczéj uwzględnić owo przykazanie natury, które wyraźnie stanowi: „*że co tobie nie miło, tegoś nikomu innemu czynić nie powinien!*“ Takiém samém prawem albowiem, jakiém p. Szajnocha przypuszcza podrobienie pomników Oświęcimów, *od początku* w publiczném miejscu się najdujących — możnaby zarzucić podrobienie rękopiśmiennego Dyaryusza Stanisława Oświęcima, *nie-od dawna* przechowywanego w Zakładzie publicznym. Kto się szczyci prawemi i w dobréj wierze działanemi postępki — nie powinienby zaiste podejrzywać innych o złą wiarę i nieprawe postępowanie; boć każdemu jest czyste sumienie również pożądanym klejnotem — chyba że ma do uzasadnienia takowych obwinień *gruntowne* powody, czego jednak autor „*Szkiców historycznych*“ nie ma i mieć nie będzie. — „*Wer Andere ehrt, der ehrt sich selbst*“, powiada niemieckie przysłowie. Kto innych opinią cenić umie, ten się słusznie nawzajem upomnieć może o sprawiedliwe ocenienie swojego zdania — kto wszakże innym bezzasadnie kłam zarzuca, ten sam może z własnéj winy uledz oszczerstwu.

Dla udowodnienia zaś pomyłki księdza Siarczyńskiego w dostrzeżeniu specyalności i wywnioskowaniu nomenklatury owych herbów, wzywamy każdego, ktoby niniejszemu podaniu naszemu o istocie tych znaków heraldycznych nie dawał wiary, do obejrzenia ich naocznie — co wielce snadno uskutecznić można: ponieważ wstęp do kaplicy nikomu nie jest wzbroniony [36]) a kształty herbów są wcale wyraziste.

Że atoli wizerunki herbów, a w szczególności tarcze herbowe Stanisława i Anny, umieszczone nad ich licinami, przechowały się po dziś dzień w autentycznych zarysach i formie; tego zostawił sam tkliwy i przezorny założyciel najdowodniejszą kontrolę i próbę w wtórotworach (*duplikatach*) obu dotyczących tarcz herbowych wprawionych misternie w postumenty przodowych kolumn ołtarza w kaplicy Oświęcimów. Tarcze te są

---

[36]) Byłoby do życzenia aby wstęp do grobu nie bywał dozwolonym każdemu, a każdokrotne zwiedzenie onego odbywało się przynajmniéj w obec dorosłego sługi kościelnego lub braciszka konwentu; ale nie w obec drobnych żaków używanych zwykle do ministrantury. W roku 1854 zdarzyło się bowiem, że dwaj lekarze podobnoś garnizonowi, przybywszy do kościoła pod dobrą datą w celu zwiedzenia grobów, poważyli się w obec nie imponującego im bynajmniéj i nie broniącego żaka ministranta, przerzucać i poniewierać sposobem niby jak to mówią *brevi manu* przedsięwziętéj rewizyi balsamowane zwłoki pochowanych tam nieboszczyków; a mianowicie *Stanisława Oświęcima*, tudzież szlachetnego rycerza *Pełki* uderzającego onych olbrzymią budową ciała i wzrostem. Żak kościelny, będący temu przytomny, opowiadał nam ten wypadek i dodał, jakoby lekarze owi mówili: że rewidują ciała złożonych nieboszczyków dla tego: ponieważ mieli wiadomość: że zwłoki ich nie są prawdziwe — lecz podrobione!! — Owóż mamy piękne skutki analizy rozumowej! daj Boże! aby rychłe wprowadzenie w życie zapowiedzianego od dawna urządzenia konserwacyi pomników starożytnych, ochroniło groby i szczątki naszych przodków od prób podobnie wandalicznych, wykonanych bezprawnie na spoczywających w świętém schowaniu zwłokach.

z drzewa, żłobione kunsztem rzeźbiarskim w kształt rozet i powleczone malarskiém złotem. — Z prawego boku liciny Stanisława nachodzi się tarcza z rzniętemi na niej herbami: *Radwan, Abdank Brochwic 3tio, Nowina* — podzielonemi na cztéry pola tarczy tym samym szykiem, jak to widzieć można w tarczy, która się nad portretem jego znajduje; tuż zaś poniżéj herbów jest wyrzezany na allegorycznéj wstędze napis dużemi polskiemi literami: „*Stanisław z Kunowéj Oświęcim*“ — W lewym zaś boku ołtarza, od strony portretu Anny znajduje się podobnież jéj tarcza z rzeźbionemi na niéj herbami: *Radwan, Abdank, Leliwa- Ozoryo*, — rozłożonemi na czworopól tarczy zupełnie takim samym porządkiem jak to na tarczy herbowéj, która nad jéj obrazem na ścianie jest umieszczoną, widzimy. Pod polami herbowemi zaś wyryty jest również na wstędze czyli przepasce symbolicznéj napis inicyałami polskiemi: „*Anna Oświęcimowna*“. — Obie tarcze, ozdoby, przedziały i wstęgi czyli taśmy są wspołem kubek w kubek jednakiego rozmiaru i kształtu — prócz różnicy herbów i odmiennego napisu.

Dokonawszy naszego założenia odnośnie do treści rozprawy „o Oświęcimach“ tuszymy: iż przywiedzione powyżéj objaśnienia i szczegóły wystarczą do wykazania nieuzasadnienia twierdzeń autora „*Szkiców historycznych*“ o zachodzącym — w myśl dzisiejszego pojmowania, stopniu najbliższéj krewności; albo raczéj o urodzeniu z jednego ojca i jednéj matki Stanisława i Anny Oświęcimów.

Podania o téj rodzinie, jak już na wstępie rzekliśmy nie bronimy: ponieważ nam w tym kierunku badania na autentycznych dowodach zbywa; wszelako radzibyśmy ujrzeć samego pana Szajnochę na obec onych wymowną symboliką przemawiających, acz z martwéj materyi zdziałanych pomników — zdającego sobie sprawę

z ich dotychczasowego lekceważenia i z nieuważenia żywém okiem głęboko w nich rytéj zagadki, która — (aza słusznie lub niesłusznie dotąd wykładaną bywała: tego roztrząsać nie będziem) chociażby podanie o Oświęcimach zamilkło; samaby je znowu ożywić zdołała — a któréj wątka dopatrzéć się nie trudno w następnych ścisłą harmonią tudzież niezwykłością układu i objawu swego zwłaszcza w dostrzeżeniu przedmiotowem wiele do myślenia dających okolicznościach ustroju pamiątek w rzeczonym familijnym przebytku; a mianowicie: w

1. Osnowie napisu nad wnijściem z kościoła do kaplicy.
2. Ustawieniu, formie i ugrupowaniu portretów.
3. Znaczeniu wprawienia wiadomych dwu tarcz herbowych w kolumny ółtarza.
4. Pomyśle kompozycyi oddanéj pędzlem artysty w obrazie ółtarza.
5. Uszykowaniu trumien w grobie rodzinnym.
6. Rozporządzeniu dotyczącem odprawiania fundowanych wotyw codziennych — kreśloném na tablicy marmurowéj, wmurowanéj w ścianę sklepu grobowego [37])

---

[37]) Czyniąc wzmiankę o sklepie grobowym pod kaplicą Oświęcimów, nie możem pominąć milczeniem naglącéj potrzeby restaurowania onego: jeżeli tameczne filary murowe dłużéj potrwać i sklepienie grobu a jednocześnie spód kaplicy nadal tak jak dotąd dźwigać mają. Żadna restauracya atoli nie pomoże ze skutkiem: dopóki popod posadzkę sklepu grobowego nie będzie bity kanał, którymby woda z okolicznego znacznie nad bazę grobu wywyższonego poziomu ściekać i po za obrębem murów grobowych i kościelnych do bliskiéj rzeki uchodzić mogła. Z wiosny, gdy ziemia tajeć zaczyna, zlewają się do grobu wszystkie wilgocie z zamrożonego potąd podziemia przyległych ulic wynikłe i napełniają go wodą tak: iż niżéj leżące trumny w całém znaczeniu słowa są zatopione, a sklep grobowy raczéj do cysterny niż do ubikacyi przeznaczonéj

UWAGA

do artykułu

„Wnuka króla Jana III.“

Pisząc o Maryi Klementynie Sobieskiéj, wypadało mniemamy choć słowem natrącić o tém: iż posiadała w wysokim stopniu dar składania wierszów i władała umiejętnie łacińskim językiem. Uzdolnienie takowe czyniło ją jak na owe czasy wprawną poetką nawet i w tym lubo klasycznym, ale za zwyczaj nieprzypadającym do smaku płci niewieściéj, bo martwym języku: czego dała niejednokrotne dowody. — W artykule p. Szajnochy o dotyczących jéj osoby okolicznościach niema atoli żadnéj wzmianki o biegłości królewiczownéj w sztuce poetyzowania.

Uzupełniając to, czego w téj mierze w „*Szkicach historycznych*“ niedopełniono; podajemy notorycznie przez nią w najciekawszym, aczkolwiek nader przykrym epizodzie jéj życia skreślone wiersze łacińskie, które w przededniu jutrzu ucieczki z więzienia Innsbruckiego, w miejscu swego dotychczasowego przytrzymania napisawszy, na karteluszu tam zostawiła była — i które zawierają alluzyą do okoliczności jéj ówczesnego położenia, a oraz wska-

na chowanie zwłok ludzkich jest podobnym. Skutkiem tak niepotrzebnego zalewu próchnieją mury, niszczeją trumny i ciała umarłych. — Nie byłoby w tém nic nadzwyczajnego: gdyby w drodze dobrowolnéj składki u jakoż także zamożnych ziemskich obywateli i obywatelek okolicy Krosna, wyrozumiałych, jak tego dowodzić nie potrzeba na rzeczy obchodzące cześć i chwałę przodków — usiłował ktoś z pobliżéj osiadłych miłośników pamiątek narodowych zebrać kwotę kilkudziesięciu złotych reńskich celem wystawienia tyle potrzebnego kanału pod grobami Oświęcimów i równocześnie odnowienia już podupadłego sklepu grobowego.

zówkę pobudek do póżniéj uskutecznionego wydobycia się na wolność, w dystychu osnowy następującéj:

„*Me jubet ad patrios Caesar remeare Penates,*
„*Ast Amor ad Sponsum me jubet ire meum.*
„*Quid faciam? frustra est dominis servire duobus.*
„*Quis vincet? — Vincens omnia, vincat Amor! —*
„*Scilicet imperio quamvis sit magnus uterque:*
„*Hic tamen imperium Caesare majus habet.*

Przytaczamy tę poetycką próbę słowy księdza Pijara Stanisława Konarskiego, zasłużonego przeobraziciela systematu wychowania młodzi w Polsce zeszłego stolecia, który o niéj w swém znaném dziele [38]) tak pisze: . . . . . „*ex antithesibus suspicitur carmen sequens Regiae Principis Polonae Clementinae Sobiesciae, in conclavi arcis Aenipontinae relictum, cum inde clam evasisset, ubi eam inclusam Carolus VI Imperator detinuerat: ne Stuardo, regi Angliae, Romae (obstante domo regia Hannoverana) connubio locaretur.*“

---

[38]) ***De emendandis eloquentiae vitiis liber.*** **— (Varsaviae 1741) 8. 20 arkuszy. Pars II. §. V. De Elocutione. — Antithesis: pp. 62 et 63.**

JAN ZAŁUSKI.

KAJETAN KOŹMIAN

i

FRANCISZEK PASZKOWSKI.

I.

W jednymże czasie, prawie w dniu jednym, utraciliśmy dwóch mężów poważnych wiekiem, znakomitych przez swe zasługi, naukę i cnoty. Kajetan Koźmian b. senator, kasztelan Kr. P. zamknął dni swoje w dniu 7 Marca r. b. w Piotrowicach w bliskości Lublina w 85tym roku życia swojego. — Franciszek Paszkowski jenerał w. p. zgasł w Krakowie w dniu 10 t. m. i r. dopełniając rok 78 cichego i skromnego żywota.

Niech będzie wolno kreślącemu to pismo złączonemu z obiema nader ścisłemi związkami rzucić zarazem garść kwiecia — na te obiedwie mogiły! Różne były zdolności i zajęcia tych mężów. Ale ich dusze tak były sobie pokrewne, że obok siebie stanąwszy przed Bogiem,

mogą tém pewniéj w miłosierdzie zaufać. Niech nikt nie szuka pochwał, podobnych pismom pośmiertnym. Te zostawimy miernościom. Tu czysta prawda wystarczy. Inaczéj duchy obudwóch mężów o których mówić będziemy zaparłyby się skreślonych wyrazów.

Już jest z pism wielu świadomo, że Andrzéj Koźmian herbu Nałęcz przyszedł na świat w dniu ostatnim roku 1771 z szlacheckich i zacnych rodziców: i że się w szkołach polskich wykształcił — Ależ te szkoły urządzone wzorowo przez komissyą wychowania publicznego w Polsce, zniesione następnie — równych sobie dotąd nie miały, a założone przez ówczesne ustawy Seminarium Nauczycieli w Krakowie po wydaniu świetnych owoców przez lat nie wiele swego istnienia, uległo równemu z szkołami losowi. Dojrzawszy pod tym wpływem K. K. w smutnéj epoce prócz domowego zacisza nie znalazł innego pola do swoich pięknych zdolności. Gdy więc w r. 1809 wystąpił jako pisarz poeta — kraj się zadziwił zkąd w nim od pierwszych kroków objawiła się taka pewność i taka dojrzałość. Miał on czas na to od r. 1795 aż do wzmiankowéj epoki, by ogień wrzącéj młodości przy piersi starożytnych a wzorowych pisarzy przetrawić — i nie chciał pewnie występować z pierwiastkowemi płodami: a kiedy w pierwszéj swéj odzie tę strofę umieścił:

„Tak Araby skwarem spiekłe
„Miotają bluźnierstwa wściekłe
„Na to słońce co ich pali —
„Próżne wycia, marne wrzaski!
„Wrą pod ich nogami piaski,
„Słońce toczy bieg swój daléj.

Natychmiast znawcy dostrzegli w nim mistrza i tym pozostał do zgonu.

Odtąd napisał Od kilka w których tenże sam duch, taż sama zwięzłość i obrazowość jaśniała. *).

Lecz Koźmian przez cały swój zawód pisarski był zawsze uczniem jednéj i starożytnéj szkoły. Gruntowna znajomość łaciny, kazała mu od dzieciństwa pokochać takich pisarzy jakiemi byli Maro, Horacy, Lukan, Tybullus, Propertius, Tacyt lub Liwiusz. Umiał on ich na pamięć, i dnia nie było by do nich nie zajrzał, by się ich duchem nie skrzepił. Ztąd może poszła jednostronność ale razem i głęboka tych pisarzy znajomość — a dodawszy do nich swojskie płody i francuzkich poetów, poprzestał na nich, bo oni sami zdołali zajmować ciągle i jego własną fantazyą i dostarczać mu wzorów które odpowiadały jego smakowi. Ktoś tam z dzisiejszych śmiał wyrzec: że Koźmian ciągle pełzał za Wirgilim. Prosimy o toż samo zacnego pewnie z inąd krytyka. Gorzéj może wypadnie jeżli się okaże i nieznajomość pięknych wzorów — i pełzanie za lichemi utwory. Nic snadniejszego nad takie zdanie. Nic wstydniejszego jak poklask nieuków. I dobre wzory i same ich naśladownictwo przetrwać potrafi tak nieoględne wyroki. Nie wstydał się Horacy iść zdala za śladami Pindara. Dawusy same z sobą i z swą nicością zostały.

W latach 1810—1812 zaczęto przeglądać w Warszawie w różnych fragmentach Ziemiaństwo Koźmiana czytane na posiedzeniach Towarzystwa Przyjaciół Nauk do którego przyzwano Autora, niebawem, przepisywane od wielu a pożądane od wszystkich zaledwo w roku 1839 światło dzienne ujrzało. Wielka sumienność autora, by płodem niedojrzałym nie częstować powszechność, po-

---

*) Ody te po większéj części wywołały polityczne stosunki — a chociaż gdzieś Göthe powiedział: ein garstig Lied, Pfuy! ein politisch Lied — nie przeto mniéj w nich rozwinął talentu. — Oda zaś *do fortuny* stanęła wyżéj od tamtych i nie pożyczaném od obcych stosunków światłem jaśniała.

łączyła się z okolicznościami znanemi, które stanęły na przeszkodzie drukowi. Ależ podówczas nie znano jeszcze *drukowéj gorączki*, która się pojawiła współcześnie z cholerą i nikt nie mówił o literackich płodach: *zapóźno*: tak jak nikt jeszcze nie latał na skrzydłach pary. Co było piękne i miało w sobie prawdę: to było zawsze na czasie. Wiele w tym płodzie jest naśladownictwa do czego sam się autor przyznawał. Ale najwięcéj zyskały poklasku te zwroty szczęśliwe ku swojskim rzeczom, ku czczonemu i od nas i od przodków rolnictwu — słowem ku sprawom domowym. I dawni orali, siali i bujne żniwa zbierali — pielęgnowali trzody i pszczoły. Co więc raz pięknie o tych przedmiotach skreślono, nie chciał tego nasz ziomek przerabiać — naprawiać — i ztąd jaśnieje jego zasługa. Lecz tym najwięcéj zasłynął, co przyniosł ojczystego, nowego. Dla tego kiedy mnóstwo dzisiejszych płodów pójdzie na pastwę pożerczym kurzom i molom, jego Ziemiaństwo żyć będzie i będzie zawsze czytane. a).

---

a) W Dodatku Kwietniowym do Czasu, wyczytuję ze zbudowaniem to zdanie, że Koźmian był zachowawczego umysłu. Będzie nim zawdy każdy sumienny pisarz i człowiek. Nie tak jest łatwo zdobyć się na· to zuchwalstwo, by zburzyć dom w którym mieszkali Ojcowie, rozsypać w proch i rozrzucić na wszystkie wiatry drogie dla wielu po nich pamiątki — i w miejsce wzniesionych ich ręką gmachów — uczynić próżnię; następnie zaś do jakiéj fantastycznéj budowy przylepić *gniazdo jaskółcze*. Z tégo to gniazda wylatujące niedawno pisklęta, skalać zdołały bez trudu wszystko co było przed niemi. Ale przeciwko temu stawa rozsądek i nawet boskie prawo w dawnym i nowym zakonie: które opiewa; czcij Ojca twego i Matkę jeźli chcesz długo żyć na ziemi. Za pogwałcenie pierwszego spełnia się dziś drugi warunek — Za pierwszym poszła w piśmiennictwie naszem Epoka *przewrotu*: po drugim — nadchodzi zwolna Epoka *nawrotu*: a tego świadkiem widocznym są nader treściwe myśli w Przeglądzie Czasu — do których dalszego ciągu śmiem Szanownego autora zachęcić. Jest u nas wielka potrzeba zdań wytrawnych — i te dziś niechybią celu bo są na cza-

Lecz od roku 189 K. Koźmian jak wszyscy wówczas uzdolnieni mężowie, zostawszy urzędnikiem, musiał swe prace podzielić między dwa zawody. Z Vice-prezesa Administracyi Lubelskiéj, został Referendarzem Rady Stanu w Warszawie. — Był on następnie Sekretarzem jeneralnym Konfederacyi — potem Radcą Stanu nareszie Dyrektorem Wydziału Wewnętrznego i Senatorem Kasztelanem, przecież te nowe zajęcia nie przeszkadzały mu do poświęcenia się Poezyi. Tkwi dobrze w pamięci współczesnych *Mowa Katona* w któréj przed r.

sie. Mamy zbyt wiele *zarysów* — *poglądów* — i *przeglądów* do dziejów piśmiennictwa polskiego — a dziejów jeszcze nie mamy. Nawet najświetniejsza Epoka Zygmuntowska — leży dotąd odłogiem — a najzdolniejszy pisarz tych dziejów — po wielu Tomach świetnych z innąd pomysłów, zakończył na dostarczeniu materyałów jeżeli nie na zastósowaniu tego gminnego wyrazu: *chlustał, chlustał* i *ustał.* Tak to nie łatwem zadaniem są *dzieje.*

Przed rokiem czytałem w jednym gazeciarskim odcinku wyrok okropny na Tow. Przyjaciół Nauk Warszawskie wydany, jakoby tylko się zajmowało pochwałami swych członków. Prawda że czasy owe, w których rozpoczynało swe prace, nie trafiły na zbiór tych geniuszów i arcygeniuszów których dziś mamy tak wiele i przestać musiało: na Albertrandych, Skrzetuskich, Kołątajach i Czackich, na dwóch Śniadeckich, Poczobucie, Jundzille, Piramowiczu, Kopczyńskim, Staszicu na Woroniczu i Niemcewiczu — i tym podobnych — że o nowszych nie wspomnę. Ależ kto po zupełnym rozbiorze kraju uratował język, pomniki dziejów, i nauki, od zupełnéj zagłady, kto do nich zapał w młodsze pokolenie zaszczepił, kto silnem ogniwem powiązał przeszłość z przyszłością? Gdyby to Towarzystwo dotąd istniało, pewnieby się odmłodziło nowemi żywiołami, których, polegając na doniesieniach od brzegów wszystkich rzek polskich, mamy tak wiele: ale wcieliwszy w siebie jeden naprzykład nowy żywioł: Powieściopisarzy — do pomieszczenia tylu znakomitości — możeby potrzeba jakiego Luwru; bo gmach przez *Staszica* wzniesiony na końcu krakowskiego przedmieścia, jużby się za szczupłym okazał.

Szczęśliwa niwa, około któréj tyle się pracowników krząta i z tak potężnym skutkiem owoc prac swych objawia!

1812 powstał na zbytki ówczesnéj Epoki—i ten wiersz małego rozmiaru, lecz wielkiéj wagi objawił w nim wysokie uzdolnienie do Satyry, w któréj potrafił władać Juwenalisa orężem. W podobnym smaku napisał w r. 1813 wiersz na *tańcujący Kraków* i na *pogrzeb cnotliwego, w którym powszechnośc żadnego nie wzięła udziału.* Tym samym duchem tchnęła Oda którą na zgon L. Osińskiego napisał: równie jak i późniejsze zwroty na literaturę ojczystą. Wydaje się jasno duch tenże w kilku Epigramatach, między któremi celuje zwięzłością stylu sześciowiersz na koncert K. skreślony. Wszystkie te płody znane są fragmentarnie — a godne żeby w snop jeden związane, światło dzienne ujrzały.

Prawdziwe życie K. K. rozpoczęło się w r. 1832 gdy przeszło sześćdziesiąt-letni starzec, wolen od urzędniczego zajęcia, zasiadł na ziemi przodków i tam zaczął słynąć nieunużoną pracą i szlacheckiemi cnotami. Wtedy to objawił ziomkom przykładem, co niegdyś spiewem wygłosił: Rola i książka, naczelnictwo patryarchalnéj i zgodnéj rodziny, miłość swych włościan, i poddanie się w najczystszéj wierze boskim wyrokom — gościnność wreszcie tak przyrodzona jego plemieniu — Oto jest co pociągało ku niemu i dawnych znajomych i tych co z bliska poznać co chcieli — a poznawszy dochowali cześć aż do zgonu — Oto jest co przynęcało mnóstwo ludzi do leżących blisko Lublina *Piotrowic*; a choć go wiek pokrył siwizną, choć mu się nieraz zdawało — że już na siłach upada, duch jego zawsze żywo ogarniający przedmioty i zawsze świeży, przez całe lat 24 dostarczał nowych pomysłów i nowém podziwieniem poglądających na niego ogarniał. Ztąd poszedł znany wiersz wieszcza młodego poczynający się w ten sposób:

„Czemuż mistrzu masz siwiznę
„Stokroć młodszą méj młodości“ &

Na który odpowiedź K. K. jeszcze raz dowiodła — że miał zupełną słuszność zapytujący się — bo kto wie czy ona nie wyżéj od zapytania stanęła? — I nie ubliżył prawdzie kreślący niniejsze wyrazy gdy na życzenia Koźmiana by mu służyły wody do których się w r. 1852 miał udać, w ten sposób odpisał:

Ty co z siwizną wrzącą łączysz duszę!
Chcesz, bym w kąpielach znękany i stary
Odzyskał zdrowie? jadęć tam — bo muszę —
Ale bez wiary.
Zdrojów leczących skutek mi nie nowy.
Wielem ich zwiedził. Wróć zgasłą nadzieję
Wyrwij cierń z piersi, albo pamięć z głowy,
A ozdrowieję.
Gdy ja się codzień o kęs ulgi modlę,
Ty trzy pokoleń swym głosem zdumiewasz,
Raześ się skąpał w czystych natchnień źródle
I trwasz i śpiewasz.
I jam wrzał niegdyś żądzą pięknéj sławy
Zdala za tobą biegając w zawody,
W tobiem czcił mistrza—dziś starzec zgrzybiały,
Tyś dotąd młody. &

Niewiem czyli nie będzie stósownem ogłoszenie wiersza napisanego w dniu 1 stycznia 1854 do K. K. pod napisem *Starzec do starca* który z obawy unużenia czytelników do przypisu odeszlę. b).

---

b) Stary rok z bark swych zdartą składa odzież,
A nowy strojny kwiatami nadziei
Spieszy wzywany przez pochopną młodzież.
Lecz nim po ślizkiéj wymknie się kolei
Czy wróżbom świetnym choć w części odpowie
Z trwogą o przyszłość pytają starcowie.

I w tym to czasie wykończył Koźmian wielkiego rozmiaru Poemat, pod napisem *Stefan Czarniecki* dzieło pełne rzadkich piękności i znane w części z kilku rozdrukowanych i rozpisanych ustępów. Nie chcemy uprzedzać o niem zdania powszechności krajowéj. Dość wspomnieć, że autorowi służyły za wzór starożytne epiczne utwory.

Przyszłość! . . . to przepaść czarną skryta nocą.
Dzieje przeszłości — to są żywe świadki
Że ludzie wiecznie szarpią się, szamocą
Bez rozwiązania stanowczéj zagadki.
A choć dni lepsze ludzkości przyświecą
Słowo jéj będzie wieczną tajemnicą.

Ciało! kruch z gliny. Gdy w nim Bóg zapali
Iskrę co światy z nicości wywiodła,
Moc ta się z czasem kształci, doskonali,
By czystszą wrócić do swojego źródła.
Jeźli więc w starcu ogień boski tleje
Kruszy się ciało — lecz duch olbrzymieje.

Duch nie zna zgonu. Przez wieków zamiecie
Przetrwa, do zwalisk jak bluszcz się przytuli
Wniknie w podania w pieśń się ludu wplecie
I drobne dziatki w powieściach rozczuli:
W znojach oraczom, w ranach mężom dzielnym
Błyska obliczem — wielkiém — nieśmiertelném

Czemże jest zdolność, poświęcenie, cnota?
Czem łza rozkoszy po szlachetnym czynie?
Czem z pełni życia w inny świat tęsknota?
To szczeble ducha ku lepszéj dziedzinie.

* * *

Duch, to twa niwa, pracą ją zdobyłeś,
A śpiewem wdzięku dodajesz swéj pracy:
Dziewięćkroć dziewięc nowych lat przeżyłeś,
Więc dziwem zdjęci wołają rodacy:
„O chlubo starców i wzorze młodzieży
„Niech nam brzmi długo głos twój wiecznie świeży“.

Nie mógł on pisać inaczéj, bo na tych wzorach wykarmiony i te jedynie poczytujący za piękne, nie łatwoby się do innych kształtów nakłonił. Ale któż nie podziwiał tę jędrność mowy, do któréj nas nazwyczaił Koźmian i ten zapał nie stygnący w nim z wiekiem? Wiele on lat strawił pieszcząc się z swém dzieckiem ostatniem — wiele ognia i siły przelał weń z swéj duszy, i w nien odkazał najmilszą po sobie puściznę. Jeżeli ten poemat ujrzy kiedy światło dzienne, wtedy dopiero będzie można zdać o nim sprawę dokładną, a ci co go z bliska poznali, tuszą niepłonnie, że wyżéj stanie od Wojny Chocimskiéj, czyli ją Wacławowi Potockiemu czy też Lipskiemu przyznają. Jestto wybitną cechą naszéj epoki — że się tacy znaleźli, którzy stawiają wyżéj Klonowicza i Miaskowskiego od Kochanowskiego — podobnie Wojna Chocimska swoich znalazła wychwalców: bo trzeba z pyłu wygrzebywać mierności by te snadniéj do dzisiejszego strychu przypadły. Z podobnego powodu może, zaczęto przyznawać Koźmianowi wyższe stanowisko jako *Mowcy* niżeli jako *Poecie*. Znane są jego mowy i noszą cechę nieposledniéj wartości — ale on sam i znawcy bezstronni wyżéj cenią płód jego poetycki osobno wzięty, jak wszystko co tylko prozą napisał.

Na schyłku życia najmilszą jego rozrywką było listowanie z kilką przyjaciół i dobrych dawnych znajomych. Z tęsknotą wyglądał poczty — z zajęciem i dawnym ogniem odpowiadał na każdą odezwę i listy jego obszerne, nauczające, wymowne, nosiły na sobie cechę téj pięknéj duszy, która w nim jaśniała. Lubił powtarzać to wszystko czego się z innąd o literackich zajęciach dowiedział. Lubił przytaczać starożytnych do wydarzonych wypadków. Dołączał chętnie i swoje płody kryjące się dotąd pod dachem domowym, gdy te miały do rzeczy, o któréj była mowa, stosunek. Składał i prze-

chowywał starannie i w wielkim porządku to wszystko co tylko ważniejszego od swych korespondentów otrzymał, a razem wszystko co tylko godniejszego uwagi zaszło, pilnie do swego pamiętnika zapisywać miał zwyczaj. Kreślący niniejsze wyrazy posiada od r. 1848 przeszło pięćdziesiąt podobnych listów, które zachowuje na pociechę lat swych sędziwych; gdy część ich na blizkich z uniesionym do wieczności przepędził stosunkach a resztę ciągłem i zaszczytnem listowaniem wypełnił.

Gdy już w starości wstąpił Koźmian na tę drogę, która dziś jedynie szlachetnie zrodzonemu i prawemu mężowi rzetelnych pociech dostarcza; gdy się wydobył z chmur mętnych i prochu miejskiego: to co tak pięknie w Ziemiaństwie wyśpiewał — jeszcze piękniéj wprowadził w życie osiadłszy raz w Piotrowicach wsi własnéj i z wielu względów ponętnéj. Tam on od razu tym został czym być powinien polski Ziemianin — opiekun włościan, sąsiad, gościnnik — jednem słowem patryarchalna głowa zacnéj rodziny. I błogosławił mu Pan, w drugiéj połowie jego istoty, w najzacniéjszéj małżonce, w dobrym i wysoko wykształconym synu — w godnéj wszystkich synowéj, w lubych i wdzięcznych wnuczętach — a na domiar rzadkiego w świecie przykładu miał obok siebie pełnego cnót i światła Plebana. Godzien tu wzmianki ten mąż wzorowy (Prałat Barnanowski expijar) — przyjaciel rzetelny, powiernik domowych stosunków — pocieszyciel w nieszczęściach — przewodnik na drodze zbawienia. Mamy ślad świetny uczuć Koźmiana w wierszu prześlicznym, który nasz wieszcz w roku blizkim osiemdziesięciu lat do niego wystósował — z całą żywością młodzieńczą, z całą dojrzałością mędrca i starca. Ale to szczęście domowe któreśmy skréślili, nie obyło się bez ciosów przeciwnych, śmierć synowéj wyrwanéj z Piotrowickiego grona w saméj sile wieku — nie tylko osierociła dom ten z najcelniejszéj

ozdoby a dwoje dziatek z wzorowéj matki, ale była dla chylącego się do grobu ojca najboleśniejszą raną, raną śmiertelną: gdy zaś czas ją zabliznił, zgon Janowéj Koźmianowéj z domu Chłapowskiéj rozdarł tę ranę na nowo. Jedna Religia, jedne nauki przyjaciela kapłana, położyć zdołały na tkliwe serce cośkolwiek balsamu.

Jeszcze o jednéj a nader ważnéj okoliczności przemilczeć nie mogę. Dom Koźmiana w Piotrowicach urządzony uczciwie ale bez zbytku, był wzorem dawnéj gościnności i patryarchalnych obyczajów. Na jednym dziedzińcu w schludnych a nieokazałych komnatach dwie rodziny mieszkały. Ale tuż obok była zawsze gotowość do przyjęcia gościa, który dość często ten przybytek odwiedzał. Ciągnęła ku niemu poważna i znakomita starca naczelnika osoba — przynęcała uprzejmość syna i dwojga wnucząt jakby na pociechę i chlubę domu stworzonych. Wszyscy, których okoliczności w lubelskie zbliżyły, wszyscy którzy się chcieli ukrzepić albo pocieszyć widokiem cnót dawnych uosobionych niejako w téj szanownéj rodzinie — wszyscy co jeszcze pragnęli usłyszeć śpiew ostatni, śpiew łabędzi uwielbionego starca, do Piotrowic spieszyli. Był to hołd poniewolny narodu dla rzadkiéj cnoty w tym wieku samolubstwa, dla niepospolitych zdolności a raczéj Bogu, który utworzył K. Była to najwymowniejsza odpowiedź na wszystkie niecne pociski zgubnego krajowi i piśmiennictwu stronnictwa. I ta pielgrzymka do miłych swoim i obcym Piotrowic trwała tak długo aż póki ów starzec zawsze krzepki na duchu, choć coraz słabszy na siłach w ośmdziesiątym piątym roku pełnego życia, niezwrócił Bogu w dniu 7 marca r. b. tego ducha, który go tak długo ożywiał. Śmierć jest próbierczą chwilą żywota. Ten co go przebył bez skazy, nie zadrży przed chwilą ostateczną, bo ona zawdy mu była obecną. Miał i nasz starzec pewną przewodnię do zaszczytnego przebycia téj

chwili. Tą była potężna wiara w odwieczne prawdy, w czyste sumienie i w zbawienne nauki zacnego plebana. On go opatrzył na dalszą drogę ku nieskończonéj wieczności; on zwłoki jego złożył w skromny i wcześnie obmyślony grobowiec, a lud tych włości, a bliscy i dalsi sąsiedzi, a pokryta żałobą rodzina, łzami go swemi uczciła.

Nie masz cię więcéj pomiędzy żyjącemi rzadki nasz wzorze cnót starożytnych, niezgiętéj wiary, i ciągłéj pracy na niwie, którą ci Bóg wydzielił, ale jest przykład obecny w ziomków pamięci, jest i powinność szczerego i bezwzględnego wyznania prawdy, żeś ty był jednym z patryarchów narodu naszego.

II.

Franciszek Paszkowski jenerał wojsk polskich urodził się w r. 1778 z niebogatych ale szlacheckiego stanu rodziców. Gdyby ten stan innéj nie przedstawiał zalety nad domowe przykłady, już byłby przez to samo szanownym. Ale szlachectwo dawne, to było *bractwo* tak jak inne różnego miana i różnéj istoty. Dla tego szlachta polska zwała się bracią nawzajem. Poświęcenie otwierało tego bractwa podwoje i przez ciągłość poświęceń utrzymywało w niem ducha. *Noblesse oblige* zwykli byli mawiać francuzi. Do czegóż więc obowiązywało szlachectwo? Do ciągłych usług powszechnemu dobru, do ciągłéj gotowości w pomocy dla braci. Już to nam wyjaśniły dzieje, że niebezpieczeństwo jednego herbowca, pobudzało wszystkich podobnego godła do wsparcia; niebezpieczeństwo ojczyzny, pobudzało całą szlachtę. Piękne to było bractwo, gdzie jeden stał za drugiego, a za jednego wszyscy. Dla tego szlachta nawet uboga i piękne wzory i piękniejsze jeszcze miała powinności, i nasz młodzieniec w tym wychowany du-

chu ledwie się kształcić począł, wnet pojął do czego został stworzony. Wyrównać przodkom albo ich nawet prześcignąć w poświęceniu się dla innych: to było jego hasłem na całe życie.

Rychło on przebiegł stopnie początkowéj nauki gdy już w 17 roku życia wyższe wykształcenie w uniwersytecie lwowskim pobierał. Przeniósł się z tamtąd do Paryża, gdy w tem mieście od najdawniejszych czasów zwykli byli czerpać nauki Polacy. Aleź to były czasy wojenne a ktokolwiek poczuł się na siłach, szukał ich zastósowania w służbie wojskowéj. Jako ochotnik wstąpił do wojska francuzkiego we Włoszech (1797). Ziemia klassyczna tego pięknego kraju zawsze miała wielką ponętę dla pochopniejszych umysłów. Tam nasz Pasżkowski razem ze służbą wojenną, kształcił się w innych naukach, a przebiegłszy rychło niższe stopnie z zaszczytem, już w rok po wejściu w wojskowe szeregi zostaje podporucznikiem, a w następnym roku kapitanem, w którym to stopniu aż do r. 1802 czynnym pozostał. Zreformowanym został pułk w którym służył. Powrócił przeto do nauk w Paryżu. Jest w jego pozostałości i świadectwo i list zaszczytny pana de Sacy, po odbyciu z wielkim postępem kursu arabskiego języka. Jest koran z notatami świadczący, że nie daremnie czas strawił na téj nauce.

I w tym to roku (1802) znalazł skarb nowy Paszkowski. Kiedy Kościuszko Stany Zjednoczone opuścił, osiadł w Paryżu i tu odbierał liczne hołdy od obcych i swoich, wtedyto dał mu się poznać Paszkowski. Czyż nie dość będzie powiedzieć, że obarczony wiekiem i dolegliwościami starzec, mąż używający powszechnego szacunku, w tym jeszcze roku dwudziestoczterechletniego młodzieńca przyjacielem swoim nazywał, że go dość często powoływał do siebie, że mu i dom swój i serce otworzył. Wielu miał wielbicieli Kościuszko, nikogo

nie pokochał podobnie, nikomu równie nie sprzyjał do zgonu.

Ale Paszkowski musiał być czynnym i dla tego widzimy go w r. 1803 zaliczonym do 114 pół brygady francuzkiéj, a w r. 1805 adjutantem sztabu księcia Bergu, Murata. W rok późniéj krzyż legii honorowéj pozyskał. Przybył on z pomienionym księciem do Polski i zaraz na początku 1807 został szefem batalionu w wojsku krajowém a następnie szefem sztabu dywizyi księcia Poniatowskiego Józefa i pułkownikiem i kawalerem krzyża wojskowego polskiego. Na tym to stopniu najwięcéj czynności rozwinął Paszkowski, a z niego przeszedł do boku Fryderyka Augusta króla Saskiego i książęcia warszawskiego jako adjutant królewski. Dotąd trwa w Dreznie miła pamiątka jego kilkoletniego pobytu.

Były to czasy, w których wojna lub pokój, nowe wojny rodziły. Jakoż podobna przygasłéj w Tylży burza, już w r. 1809 nową wznieciła. Gdy Fryderyk August był przynaglony opuścić swoją stolicę, odesłał swego adjutanta Paszkowskiego do korpusu księcia Poniatowskiego mającego oddzielny zakres działania, oddzielne pole do pozyskania sławy i rozszerzenia granic księstwa Warszawskiego. A kiedy zawartym został pokój preszburgski, już nie przydatny w działającym dotąd polskim korpusie, wrócił Paszkowski na swą posadę do Drezna. Ale nie długo na niéj pozostał. Mianowany w maju 1812 r. Jenerałem, objął dowództwo przeznaczonéj mu brygady i z nią wyciągnął na nową wojnę, która się niebawem poczęła.

Jaki w niéj miał udział Paszkowski, to jest z wypadków ówczesnych świadome. Brygada jego znajdowała się we wszystkich celniejszych bitwach od przejścia Niemna, aż do słynnego klęskami odwrotu. Wrócił z téj nieszczęśliwéj wyprawy Paszkowski w grudniu do Warszawy i zaraz tak się rozniemógł, że już zwąt-

piono o jego życiu. Lecz gdy przy końcu stycznia zabłysła słaba nadzieja, zwątlił ją wyjazd wśród ostréj zimy do Drezna; zwyciężyła jednak moralna siła; resztę zdziałały Teplickie kąpiele. Jakoż widzieliśmy go niebawem dzielącego trudy i losy korpusu marszałka St. Cyr nim on jako niewolnik wojenny musiał się przenieść do Węgier. Gdy jednak traktat paryzki zakończył wojnę w r. 1814, powrócił Paszkowski do kraju i należał do Deputacyi wysłanéj do cesarza Aleksandra, polecającéj wspaniałomyślności tego Monarchy Księstwo Warszawskie na blizkim Wiedeńskim kongresie. Przyjęty nader łaskawie przez cesarza w Biały Radziwiłłowskiéj, udał się na jego skinienie do Puław, a następnie do Warszawy powrócił.

Chwiały się losy Europy na kongresie Wiedeńskim. Zebrani w stolicy jenerałowie polscy wezwani zostali do komitetu mającego się zająć nową organizacyą wojska polskiego. Chciano powierzyć pióro w tym komitecie Paszkowskiemu. Lecz gdy los kraju dotąd rozstrzygniętym nie został, głos sumienia nie dozwolił mu prac tego komitetu podzielać, od czego został uwolnionym w dniu 15 stycznia 1815 r.

Po tym wypadku udał się do Paryża i Anglii: i znowu w stolicy Francyi zetknął się z jenerałem Kościuszką. Odnowiły się dawne stosunki. Świadczą o nich i listy z Solury do miejsc rozlicznych Francyi i wreszcie do Drezna pisane: śmierć je jedna przerwała.

Wracającemu przez Drezno do kraju ofiarował król Saski Fryderyk August i miejsce zaszczytne i komandoryę orderu wojskowego ś. Henryka. Przyjął z wdzięcznością to drugie — lecz razem wyrzekł — że sama tylko rodzinna ziemia ma prawo do jego usług. Następnie osiadł na szczupłéj dzierżawie w W. Księstwie Poznańskiém — i tam w r. 1817, śród nowych zajęć rolniczych, dowiedział się o zgonie wielbionego przez siebie

Naczelnika, i o tym niepoślednim zaszczycie — że go przez swój testament spadkobiercą mianował. Jeszcze Kościuszce pozostał do rozrządzenia kapitał 100,000 franków, z tych on połowę córce domu w którym życie zakończył — a połowę drugą Franciszkowi Paszkowskiemu zapisał! Dar znakomity i świetny, ze względu na dającego — i tego który go odbierał. Mało jest wreszcie ziomków, którzyby tak wiele pamiątek z pozostałości znakomitego męża wynieśli.

Jeszcze raz udawszy się z téj pobudki za granicę, gdy skutek chlubnego zapisu uzyskał — wrócił do kraju i w krótce osiadł stanowczo w bliskości Krakowa, nabywszy na własność dziedziczno-dzierżawną wieś Tonie, w któréj od r. 1820 cichy i skromny żywot przepędzał. Tam go szukali liczni czciciele cnót prawych i rzetelnego światła, tam go znajdowali — albo na polu, lub z książką w ręku — a zawsze z twarzą pogodną i z sercem czystém i do dobrego pochopném.

Gdy Senat krakowski postanowił w dniu 19 lipca 1820 uczcić przewiezione ze Szwajcar do dawnéj polskiéj stolicy zwłoki Kościuszki najprostszym pomnikiem, to jest usypaniem mogiły, któż mógł współzawodniczyć z Paszkowskim w kierunku dzieła natchniętego tą myślą? On był powiernikiem i przyjacielem, on spadkobiercą Kościuszki. On wszystkie do tego konieczne usposobienia posiadał. Ztąd poszły liczne pod jego przewodnictwem narady — ztąd sprawozdania i postęp samego dzieła, które do dziś dnia poszanowanie u wszystkich obudza.

Skromny był zawód który sobie obrał na resztę życia Paszkowski. Ale do niego wpływała ciągła i codzienna nauka, a kiedy w chwilach już bliskich zgonu odwiedzający go przyjaciele codzień go z książką albo z piórem w ręku widzieli — na zapytanie jaki był owoc tych niezmordowanych usilności — odpowiadano — studya. Tak mąż ten znakomity z cnót i zdolności — uczył się aż do

śmierci. Cóż na to powiedzą nasi ośmnastoletni mędrkowie? Ale są pozostałe i piękne ślady prac Paszkowskiego w piśmienniczym zawodzie. Jest znakomita księga wyszła z druku w 1840 pod napisem: *Pomysły do dziejów Polski*—a zawarte w niéj prawdy i powiedziane śmiało, w brew popularnym zdaniom, będą wiecznym pomnikiem równie czystości duszy jak głębokiego rozumu. Kto się w nią wczyta, ten musi stać się oględniejszym i lepszym, albo zrozpaczyć przyjdzie o jego rozsądku i sercu. Dzieje wojenne w Polsce z roku 1794 i gruntowne nad wojną z roku 1831 uwagi nie można dosyć zalecić nauce potomnych. Miał styl swój odrębny nasz autor, chcąc być za nadto zwięzłym, był niekiedy zawiłym — miał wyrażenia ulubione i sobie tylko właściwe: aleź to stanowi jego oryginalność—niewyczerpaną zkąd inąd cechę głębokości i własnodzielności jego umysłu. Lecz jakże się świetnie w każdym niemal zwrocie jego prawość i jego czyste sumienie odbija!— Znana jest piszącemu niniejsze sprawozdanie, Podróż do Anglii, w tym samym duchu i stylu skreślona. Jest i bogaty materyał do dziejów życia swojego wzoru i mistrza Kościuszki, a jeśli kiedykolwiek które z tych pism ujrzy światło dzienne, wtedy się powszechność przekona, że Franciszek Paszkowski był równie wzorowym żołnierzem, zacnym obywatelem, jak jędrnym i niepoślednim pisarzem, a poczciwszego nadeń człowieka nie było.

Tak mu spokojnie i pogodnie upływały godziny, dni, lata; a złota mierność górowała nad całem jego obejściem. Mało miał potrzeb, mało życzeń i wymagalności, i te wszystkie snadno zaspakajał względem siebie, rozsądkiem, a względem drugich, miłością. Już na lat ośm przed zgonem, usunął się i od wsi tak sobie lubéj i od zajęć gospodarskich, tak kłopotliwych, a nie zawsze skutecznych, a jeśli się kiedy z swego ustronia

wychylił i był od cierpień fizycznych swobodnym, pogodna twarz jego jaśniała prawdziwym blaskiem męża sprawiedliwego i oraz duszy niezłomnéj. Gdy go zaś ostatnia choroba cisnęła o łoże, spojrzawszy niezlękłem okiem w przyszłość bez granic, dopełnił równym umysłem obowiązków chrześciańskich, jak gdyby się miał udać na ucztę przygotowaną dla czystéj swéj duszy, poczem równie spokojnie jak żył, poszedł na łono wieczności. Rzadki wzór życia i zgonu: a rzadszy jeszcze nauki, skromności i cnoty.

Nie nadaremnie tych dwóch mężów obok siebie stawiłem. Byli albowiem wielce do siebie podobni, choć się nigdy nie znali. Całą ich przeto różnicę stanowiły oddzielne zdolności, ten dar Stwórcy, tak rozmaity i wielki, że dotąd nikt nie wykazał w naturze dwóch istót, a nawet dwóch listków do siebie podobnych. Obadwa posiadali wielką szlachetność serca i umysł do wszystkiego co tylko było pożytecznem a dobrem, pochopny. Wychowany na wzorach rzymskich i w szkołach narodowych Koźmian, więcéj okazał zdolności do obywatelskiego zawodu. Młodszy od niego Paszkowski wtedy się kształcił, kiedy sztuka wojskowa najwięcéj znaczyła. Dla tego jéj się poświęcił, i na tę ziemię pośpieszył, która pierwszego wojownika tych wieków tak wysoko wsławiła. Jak tylko wstąpił na swoje pole Koźmian, zaraz się okazał zdolnym do wyższych urzędów. Jak tylko przebiegł koléj szkoły żołnierza Paszkowski zaraz przechodząc szybko podrzędne stopnie, nie długo powitany został przez Kościuszkę tem mianem, do którego powinien dążyć przez pracę i wprawę każdy wojskowy. Koźmian przeniósł do swego zawodu tę prawość i ścisłość obowiązków, które dawnych Rzymian szczyciły: Paszkowski wskazywał i zasadami i wzorem, że wojskowość najsilniéj na karności polega, i że uboczne względy odrywają jéj kroki od prawdziwéj zasady.

Koźmian mógł przestać na tem co z swéj szkoły zaczerpnął i jako urzędnik i pisarz;—Paszkowski szukał pomocy dla siebie w źrzódłach tak swoich jak obcych i dla tego wszystkie prawie nowożytne posiadał języki, a dla wytchnienia po znojach wojny, karmił się równie starożytnemi pismami, jak Dantem i Göthem. Służyli obydwa wiernie i poczciwie swemu krajowi, póki okoliczności były dla nich przyjaźne. Obadwa odeszli z spokojnem sumieniem do zagród domowych i szukali pociechy w rolnictwie. I na tem polu każdy z nich rozwinął zapas swych wiadomości i cnót patryarchalnych, które od wieków prawych ziemian zdobiły, żaden zaś nie przepomniał o lubych mu księgach, żaden nie rzucił pióra i szli obadwa wiernie i pilnie za wziętym z niebios rozkazem. Za Koźmianem przeniosła się do wiejskiego zacisza rozgłośna sława i liczne w kraju stosunki; — Paszkowski wziął z sobą czystość ducha i serca, skromność pracowitość i zamiłowanie upragnionéj cichości. Razemeśmy obydwóch stracili, ztąd żal tém większy, i ztąd niemożność dla żalu wykończenia tak pięknych obrazów.

Franciszek Wężyk.

RĘKOPISY

po Adamie Mickiewiczu

i niedrukowane ustępy

z Pana Tadeusza.

I.

Przyjaciele zmarłego ś. p. Adama Mickiewicza wezwani przez Opiekę nieletnich jego dzieci, do spisania inwentarza papierów po nim pozostałych, dokonali już poruczoną sobie pracę. Inwentarz ułożony przez Karola z Kalinowki zajmuje przeszło 80 stronnic in 4to w porządku następującym: a) Pisma urzędowe i potoczne, familijne, pamiątki. b) Poezya. c) Pisma prozą. d) Archiwum L. p. 1848. e) Korrespondencya. f) Rozmaitości. —

W pierwszym oddziale znajdujemy 1) Extrakt metryki Ad. M. z ksiąg kościoła Nowogrodzkiego. Ochrzcił go X. Kanonik Antoni Postlett 12 lutego 1799. Rodzicami chrzestnemi byli: Bernard Obuchowicz Sędzia No-

wogrodzki i Podkomorzyna Aniela Usłowska. 2) Patent szkolny z klassy szóstéj szkół Nowogrodzkich wydany 10 czerwca 1815. 3) Nominacya jego przez Radę Stanu kantonu Waldeńskiego dnia 11 Marca 1840 na professora zwyczajnego Literatury łacińskiéj w Akademii Lozańskiéj. 4) List Min. Ośw. fran. P. Cousin 10 sierp. 1840 donoszący Mickiewiczowi iż nominacya jego na professora Literatury słowiańskiéj w Kolegium Francuzkiem przedstawiona królowį do zatwierdzenia. 5) Postanowienie Min. Ośw. 8 września 1840 który porucza Mick. spisanie manuskryptów znajdujących się w bibliotece królewskiéj. 6) Dyplom na członka Tow. Etnologicznego Paryskiego 11 list. 1841. 7) 1852 Nominacya Mic. na Bibliotekarza przy Bibliotece Arsenału.

Oddział drugi i trzeci jako najwięcéj iteresujące miłośników Literatury ojczystéj, wypisuję prawie dosłownie:)

Poezya: *Dziady*. „Widowisko cz. I. dotąd niewydana" Rękopis własnoręczny in 4to stron. zapisanych 22. zaczyna się od wiersza:

Świeco nie dobra! właśnie pora była zgasnąć
I nie mogłem doczytać . . . .

a kończy się:

Przebóg co to ma znaczyć? . . . Nie zbliżaj się do mnie!

Dziadów cz. III. w 3 aktach. Autograf in 4to Dedykacya — przemowa — urywki; stronnic zapisanych 10.

Dziadów cz. III. autograf w książeczce in 8vo str. 42. na początku wiersz: Reduta Ordona.

Giaur w książeczce in 8vo Autograf — po Reducie Ordona, w 3 połowie następuje tłómaczenie Giaura od:

Najczulsze serce kiedy zakochane. str 6.

i z drugiego końca książki na odwrót, od wiersza:

Krwią swą najlepszą, najmilszą ociekły. str. 5.

Sekstern in 4to Autograf stron. 20 poczyna się od wiersza:

Jak się ten zowie kalajor ponury?

i kończy:

Spotkawszy widmo brzydsze od upiorów.

Pan Tadeusz książka in 4to Autograf od początku powieści w. 62 aż do wiersza:

Lub cicha radość była gazetą ziemianów.

w luźnych ćwiartkach 79 kart zapisanych. autograf.

Poezye ulotne w autografach — na świstkach.

Pieśni: Pieśń pielgrzyma:

Te rozkwitłe świeżo drzewa
Upajają słodką wonią. 8 strof.

Pieśń żołnierza:

Ja w téj izbie spać nie mogę
Chcę u ciebie spać sąsiedzie. 6 strof.

i urywek 6 wierszy:

Usnęli w pijaństwie &c.

Słowiczku mój . . . do B. Z. (drukowany)

Dumania w Lozannie:

1. Nad wodą wielką i czystą
Stały rzędami opoki. 6 strof.

2. Polały się łzy me czyste, rzęsiste
Na me dzieciństwo sielskie, anielskie. 5 wierszy.

3. Ach już i w rodzicielskim domu
Byłem złe dziecię . . . 8 wierszy.

4. Gdy tu mój trup w pośrodku was zasiada
W oczy zagląda wam i głośno gada,
Dusza wtenczas daleka — ach daleka
Błąka się i narzeka — ach narzeka! 14 wierszy.

Do samotności 1830:

Samotności, do ciebie biegnę jak do wody
Z codziennych życia upałow . . . 14 wierszy.

Widzenie:

Dźwięk mię uderzył — Nagle moje ciało
Jak ów kwiat polny otoczony puchem
Prysło zerwane anioła podmuchem
I ziarno duszy nagie pozostało 80 wierszy.

Wiersz natchniony wizytą P. Fr. Grz:

Świeci się pomnik mój nad szklanny Puław dach.
Przetrwa Kościuszki grób i Paców w Wilnie gmach . . 12 w.

Tłómaczenie z Niemieckiego, drukowane:

Znaszli tén kraj gdzie bluszcz pagórki stroi
Majowy gaj . . . .

Urywek:

Bóg miłosierny wejrzał w końcu na rodzeństwo
Na którem takie było niebłogosławieństwo. 15 wierszy.

Bajki i powieści.

Bajki w autografach:

Trójka:

Z naszych poetów Litwy jeden brat Antoni (Górecki)
Miał trójkę koni &.

Lis i kozioł (dwa exemplarze odmienne od siebie)

Już był w ogródku, już spotkał się z gąską,
Gdy robiąc skok wpadł w studnię . . .

Żona uparta:

Teraz tyle samobójstw że czyhają straże
Nad rzeką . . . .

Bajki przepisane ręką Al. Ch.

Koza, kózka i wilk, z Lafontena 1830:

Sąsiadka koza, ta co to rozwódka
Z rodu Ostrorożanka . . . .

Zając i żaba z Lafontena 1829

Szarak, co nieraz bywał w kłopotach i trwogach
Nie tracąc serca póki czuł się rączy . . .

Przyjaciele 1829:

Niemasz teraz prawdziwéj przyjaźni na świecie
Ostatni znam jéj przykład w Oszmiańskim powiecie.

Trójka koni 1832.

Żaby i ich króle:

Rzeczpospolita żabska wodami i lądem
Szerzyła się od wieku . . . a stała nierządem.

Król chory i lisy 1831.

Na ukaz jego lisiéj mości
Dany do nas z Jaskiniewska
Zbójskiego . . .

Tchórz na wyborach 1832.

Po owéj porażce zwierząt
Wszczął się w ich armii nierząd.
Zwołana wojenna rada
Z rady zwada;
Każdy każdemu się żali
Każdy przed każdym się chwali
I każdy winę na każdego wali . . .

Osieł i pies:

„Jeśli chcesz ośle by pies kochał ciebie
Kochajże ty psa“ Słowa są Lokmana.

Lis i Kozieł 1851.

Powieści w autografach:

Samolub — 6 kart in 8vo.

Gdzie dobrze, tam ojczyzna — A gdzież kiedy było
Komu lepiéj — gdzie kiedy komu się przyśniło
To wszystko, w co pan Baron na jawie opływa . . .

Żona uparta — 3 kart in 8vo.

U nas kto jest niby chory

Zwołuje zaraz doktory —
Lecz czując się bardzo słaby
Prosi chłopa albo baby . . .

Król Bobo i królewna Lala — 2 karty in 4to.

Za czarnem i siném morzem był kraj zbyt cudny
Obfity w mąki i łąki, rybny i ludny . . .

Książka oprawna in 8vo z klamrą — w niéj 11 kart zapisanych wierszami własną ręką Mick. w różnych kierunkach:

„Miałem sen w Dreznie 23 marca 1832 który ciemny i dla mnie niezrozumiały, wstawszy zapisałem go wierszem — Teraz 1840 przepisuję dla pamiątki:

Śniła się zima — ja biegłem w szeregu
Za processyą, pod niebem, po śniegu —
Nie wiem, zkąd wiemy że na brzeg Jordanu
Idziem — i w górze odgłos: chwała Panu 88 wierszy.

Przypowieści — jest ich 121. drukowane.
Urywek: Lozanna 1839.

Snuć miłość jak jedwabnik nić wnętrzem swém snuje
Lać ją z serca jak źródło . . . 10 wierszy.

Exegi monumentum — wiersz jak wyżéj, nieco odmienny:

Świetniejszy pomnik mój, niż szklanny Puław dach . . .

Daléj sześć wierszy tłumaczonych na łaciński język z Zofiówki Trembeckiego i Oda do Napoleona III. osobno drukowana a umieszczona w dz. Constitutionnel (1856).

Ode in Bomarsundum captum:

Qualis fugacem quum Amphitryonis . . .

Les Confederés de Bar drame en 5 actes (prozą) są tylko dwa pierwsze akty ręką ś. p. Bogdana Jańskiego spisane — 46.

Jacques Jasiński ou les deux Polognes tragedie en 5

actes (prozą). Jest tylko scena 1 i 2 Aktu Igo autograf.

Ostatnie pisma własnoręczne przywiezione z Konstantynopola przez Henryka S.

Akt IV. Scena I. Urywek Dramatu prozą: zapewne *Jasiński*, który był zaczęty po francuzku str. 5 in 8vo.

„W czasie kiedy pierwszy raz zaczęłam myśleć o sobie . . .

Urywek wyznania czy dziennika Polki — str. 8 in 8vo.

Conversations des Malades str. 6 in 8o, jest to rozmowa cholerycznych.

W oddziałe Historyi znajdują się:

Pierwiastki Słowiańszczyzny. Pismo obcéj ręki — dwie odmienne redakcye — pierwsza ma arkuszy 14½ druga 16½ in folio.

Historya Polska kopia ręką Felixa Wr. zgodna z autografem znajdującym się w zbiorze ś. p. Adolfa Cichockiego str. 115 in 4to.

X. I. Słowiańszczyzna — od wyjścia jéj z Azyi do czasów Lecha, Czecha i Rusa czyli Ruryka. Dzieje mytyczne Słowian pod Lechami.

X II. Polska w rodzinie Piasta aż do podziału Państwa. Epoka odpowiadająca dziejom Lechii do Popiela. Bolesław W. Mieczysław II. Bolesław śmiały — Władysław Herman — Bolesław Krzywousty.

Polska w podziałach — Rząd Panów — Mieczysław Stary — (historya kończy się na śmierci Kazimierza Spraw. 1194).

Rozmaitości historyczne. Elekcya Nerwy Cesarza (ręką M. Ch.) data 2 czerwca 1853 — 5 półark. in folio.

Des Peuples de l'Italie avant la fondation de Rome — ręką obcą. 4 półark. in folio.

Wypisy mityczne z Herodota, Justyna, Prokopa i t d. ręką Mick. 12 ćwiartek.

Polityka: Missya polityczna — autograf str. 4 in 4to.

Widzenia polityczne r. 1831 autograf str. 16 in 4o.

Odpowiedź Mic. na pytania J. Z. co w obecnym stanie (1832) poczynać można, czego unikać — autograf kart 3 in 4to.

Myśl Towiańszczyzny — po franc. ręką Al. Ch. 4 stron. in folio.

Lettre aux Cit. Michelet et Quinet datée de Rome le 2 Mars. 1848. (kopia).

Memorandum dla Nap. III. 1855 str. 14 in 4to. Niewiadomo czy było podane.

Fragmenta Kursu Literatury łacińskiéj w Lozannie, Literatury słowiańskiéj w kollegium francuzkiem — notatki filologiczne (Pierwiastki wyrazów — etymologia wyrazów polskich kart 10 ręką Mic. — Wyrazy polskie w dawnych pomnikach języków, kart 24 po większéj części ręką obcą, Macieja St. spisane).

Pisma mistyczne: Jacob Böhme — wykład jego dociekań w 4 oddziałach — str. 21 przepisane ręką P. Levi z dopiskami Mick.

Le Livre des Concordances — rękopis własnoręczny Mic. rzecz nieskończona str. 10 in 8vo.

Widzenie mystyczne, autograf 1 stronnica — rzecz niecała.

„Pamięć ludu mego obcisnęła serce moje dwunastu taśmami płomienistemi, i czułam zawsze tkwiące w sercu dwanaście węzłów zawiązanych na pamiątkę ludu mego . . .“

W zbiorze listów są listy: Dawida rzeźbiarza, Lafayetta, Micheleta, Montalemberta, G. Sand, Sainte Beuve, Sismondego, Ed. Quinet, Alf. de Vigny, Kollara, Kopitara, Żukowskiego i wielu innych Słowian. — Najliczniejszy zbiór listów polskich a między temi najwięcéj: Doméjki Ign. z Chili — Garczyńskiego Stefana — Niemcewicza J. U. — Witwickiego Stefana i Bohdana Zaleskiego i t. p.

II.

Jeden z bardzo utalentowanych pisarzy, który od niejakiego czasu z wielką szkodą dla naszéj literatury skazał siebie na naganne milczenie, tak się niegdyś wyraził oceniając *Pana Tadeusza* w artykule bezimiennym, ogłoszonym jeszcze w r. 1840 (*Wspomnienie o piśmiennictwie Polskiém).*

„*Pan Tadeusz* jest to pierwszy romans prawdziwie polski, i pierwszy dobry romans w naszém piśmiennictwie. Uroszczenia jego są bardzo ograniczone. Choć często poetyckie barwy przybiera i wierszowaniem strojny, przecież nie chce uchodzić za poemat; nie staje nawet w godności wysokiego romansu, jak Ryszard w Palestynie, Iwanhoe, Purytanie, epopeje które największy twórca z nowoczesnych pisarzy zakreślił od ręki, śród zatrudnień około roli i budowli. Pan Tadeusz jest romansem obyczajowym, i jeszcze nie bardzo wglądającym w duszę człowieka, ale zatrzymującym się chętnie na powierzchni téj różnobarwnéj, dziwacznéj społeczności szlacheckiéj; coś nakształt *Pana Czerwonki*, tylko posunione do majestatu Ksiąg dwunastu, i opatrzone rymem, wyborną zbroją przeciwko razom czasu. Skromne to założenie poeta wypełnił z rozrzutnością talentu. Czując że jest przy schyłku towarzystwa, które maluje, nie zaniedbał żadnego szczegółu, naznaczył najlżejsze odmiany, wszystkie jego ruchy uchwycił, i w tak dokładnie urobiony manekin tchnął życie dawne. Nie można mu téż brać za złe drobiazgowości w opisach, nie był tu do niéj skłoniony powszechną dziś chorobą poezyj, ale samą naturą rzeczy. W sztuce, mowność idzie w odwrotnym stosunku wagi przedmiotu: wielkie charaktery wyraża się kilkoma zarysami; ale mienione draperye całéj społeczności, potrzebują szczegółowéj, pra-

cowitéj roboty. Kiedyś wyobraźnia potomków naszych odbudowywać będzie z Panem Tadeuszem domową i szarą stronę historyi naszéj; jaskrawo błyśnie przed ich oczyma jak szlachta piła, jak się pieniała, jak bronią którą już nie błyskała u granic kraju, umiała dochodzić krzywd osobistych, a potém odrysują się na tle przeszłości, obce już im postacie ówczesnych ekonomów, kluczników, wojskich, wreszcie sędziów i podkomorzych, nie w powadze urzędu, ale w niedbałym stroju, w codziennéj zwyczajności zachowanych. Zaścianki zahuczą próżniackim i hałaśnym rojem, zabrzęczą szablami. Jeśliby nielitościwa cywilizacya wygnała od nas wschodnią architekturę i wschodnie stroje, mistrzowski porównawczy opis karczmy i figury żydowskiéj przechowa ich pamięć potomności. Jeżeli wreszcie jak mniemam, późne wnuki pomimo czaru oddali, nie będą bardzo smakowały w tak wydanych pradziadach, to przecież dojrzą z rozczuleniem, że nawet śród pieniactwa, hulanek i bezładu, przechowała się tam świętość rodziny i pobożna cześć poświęcenia.

„Słyszeliśmy jak nieraz powstawano, że Mickiewicz mając przed sobą przedmiotowość polską dziewięciu wieków historycznych, kopalnie bogate tyloma sprzecznościami źle spojonych narodowości, dziwaczném życiem polskiego społeczeństwa, pełne jeszcze azyatyckich miazmów żydostwa, Ormian, Tatarów,—a prawie nietknięte od artysty, bo jeden dopiero Malczewski wydobył zeń Miecznika, on, Mickiewicz, górnych natchnień poeta, zwiedzając to Herkulanum nieukochał tam żadnéj posągowéj postaci, ani przywódzców Rzeczypospolitéj jak Sobieski, Zamojski, ani buntowników jak Zborowscy, Nałęcze; ani zdrajców jak Gliński; nierozmiłował się w żadnym z drammatów wojenno-politycznych odgrywanych to na szwedzkiéj lub tureckiéj granicy, to sejmowych lub elekcyjnych; ale się zapatrzył z rozkoszą

w szary koniec naszych pokątnych dziejów, i wyniósł na jaśnią, i starannie odnowił obraz szlachty wylęgłéj pod czasy ostatniego z Augustów, kiedy krew przestała już obiegać żyły rzeczypospolitéj. Wyboru poety niechcemy usprawiedliwiać, ale staniemy w obronie jego prawa. Użył wolności swojéj według upodobania, a kaprysowi swojemu dogodził w sposób przynoszący zaszczyt piśmiennictwu."

Te uwagi krytyka bezimiennego, mało może publiczności polskiéj znanego, mogą posłużyć przy okoliczności ogłoszenia nieznanych dotąd ustępów z powieści *Pan Tadeusz*, które opuszczone zostały w druku w obudwu jéj wydaniach, a pominione albo dla tego że je autor innemi zastąpił, albo że rad był z niektórych zrobić całopalną ofiarę dla swoich przyjaciół a zwłaszcza ś. p. Stef. Witwickiego, nieubłaganego purysty. Rękopis *Tadeusza* dziś podobno znajdujący się w zbiorze zmarłego także Adolfa Cichowskiego, posłużył do dopełnienia opuszczeń. Na egzemplarzu zaś *P. Tadeusza* wydanym w r. 1844 sam nieśmiertelny nasz poeta własnoręcznie poczynił inne jeszcze zmiany i poprawił błędy druku. Nim więc wyjdzie nowe zupełne wydanie jego Poezyj, nie będzie obojętną rzeczą znaleźć w niniejszym artykule wszystkie poprawki zamieszczone, które każdy posiadający edycyę z r. 1844 może sobie wpisać, aby się ucieszył tekstem poprawnym —

Przystąpmyż zatém do główniejszych, dłuższych ustępów jakie po raz pierwszy mamy przyjemność ogłosić w piśmie naszém:

Księga I. *Gospodarstwo*. Tadeusz skończywszy nauki wraca do rodzinnego domu, do Soplicowa, gdzie właśnie odbywały się pod tę chwilę sądy graniczne. Nie zastał ani stryja, ani gości, bo całe towarzystwo było na przechadzce, ale dostrzegł w ogródku młodą dziew-

czynę, która wnet z przed oczu jego znikła. Wojski powitał Tadeusza, opowiedział mu co się dzieje w Soplicowie — tymczasem wszyscy wrócili z lasu i poszli na wieczerzę nakrytą w ruinach zamku Horeszków. Przy stole jedno miejsce nie zajęte, snać czeka na przybycie . . . ale czyje? Tadeusz gubi się w domysłach (str. 13, po wierszu *Lilia jezior*...)

Tadeusz przypominał: jak wszedł do komnaty
Pustéj jak to siedzenie, i patrzył przez kwiaty
Jak przez głowy sąsiadek; patrzył w okna sadu,
Jak teraz we drzwi sieni. Szukał znowu śladu
Pamiątki zostawionéj po prześlicznéj nóżce
Co głębiej w myśli tkwiła niż w piasku na dróżce,
I nie śmiał oczu podnieść do góry; był pewny
Że ujrzy na filarze jéj ubiór powiewny
Włos pokręcony w białe obwinięty strączki
I na piersiach odkrytych skrzyżowane rączki.

W czasie wieczerzy pan Sędzia rozprawia o dawnych obyczajach, o grzeczności młodzieży, nareszcie przychodzi do powieści o Wojewodzicu (str. 17, w. 12).

„Pamiętacie waćpaństwo jak tu z zagranicy
Przyleciał Wojewodzic — W naszéj okolicy
Pan najpierwszy, po ojcu senatora dziecię,
Przystojny, pełen nauk, bywalec na świecie.
Wszyscy za nim latali jakby za rarogiem;
Zazdroszczono domowi, przed którego progiem
Wojewodzica koczyk stanął z koni dwójką,
Ekonom ojca jego nieboszczyk pan Łojko
Wstydziłby się zajeżdżać dryndulką tak małą,
Lecz Wojewodzic nazwał swój kocz *damą białą*.
Z tyłu zamiast lokaja wziął kusego pieska,
A na kozłach był Niemiec wychudły jak deska

Nogi miał długie, cienkie, jak od chmielu tyki,
W pończochach, ze srebrnemi sprzączkami trzewiki,
I peruka z ogonem uwiązanym w miechu.
My starsi patrząc na to parskali ze śmiechu,
A chłopi żegnali się mówiąc: że w powiecie
Jeździ wenecki djabeł w zamorskiéj karecie.
Wszakże młodzieży przypadł ten djabeł do smaku,
Brali sobie do sukien kroje z jego fraku,
A damy uczyły się grymasów, ukłonów,
Konceptów przywiezionych z paryzkich salonów.
Ja zaś mówiłem: że to człowiek niedorzeczny,
Źle skończy, a wnosiłem ztąd że był niegrzeczny.
Ciągle tęsknił w ojczyźnie, znaleźć nie mógł ludzi,
Nie miał s kim żyć — powtarzał że się na śmierć nudzi.
Przedrwiwał najzacniejsze kobiéty w powiecie,
Bo prostaczki, na wielkim niebywałe świecie;
Trudno z niémi rozmawiać, niepodobna bawić,
Nie umiały go dosyć ocenić i sławić.
A wiecież jak on skończył? Poznał się z otyłym
Żydem jakimś bankierem z Królewca przybyłym.
Siostra szachraja, dziéwka długa i dzióbata,
Nie piękna i nie młoda, nawet nie bogata;
Lecz ćwik baba; umiała przynęcać młodzików,
Plotąc jak opętana dziesięciu języków.
Wojewodzic przysięgał że czystym mówiła
Akcentem, jak gdyby się na bruku rodziła
Paryskim. Owoż teraz popadł babie w szpony,
I jest już w pół zrujnowan i w pół ożeniony,
I oczu teraz nie śmie pokazać przed światem.“
Odetchnął Sędzia, potém rzekł kończąc: „a zatém“
(Co był znak że przychodzi już do wniosków mowy),
Razem na Tadeusza rzucił wzrok surowy.
Zląkł bardzo synowica — w tém z potrawą czwartą
Podszedł lokaj i z trzaskiem boczne drzwi otwarto.

Następnie wszczyna się między Rejentem a Asesorem spór o charty (str. 28, w. 9).

Potrzeba także wiedzieć: że on Telimenie
Nadskakiwał i niby kochał się szalenie.
Żałował więc że dał się ułowić tak prędko;
Widać że już na inną rybkę dybie z wędką,
Więc zbliżył się, i z wolna gładząc faworyty,
Rzekł z uśmiechem, a był to uśmiech jadowity:
„Sławną Akademią macie państwo w Wilnie,
Lecz z katedry o chartach nauczano mylnie;
Inaczéj sądzą o nich w Warszawie, w Krakowie,
I u nas na wsi — U nas jest stare przysłowie:
„Chart bez ogona . . . . .

Księga I kończy się przyjazdem Bernardyna (str. 36, w. 28).

Teraz gdy wszyscy spali, w Sędziego komorze
Gadał długo; wychodząc ostrzegł że nie może
Być na mszy obławniczéj, bo jutro w niedzielę
Musi w parafialnym nauczać kościele.
Potém będzie powrotu strzelców w karczmie czekał,
Lub gdy prędko nie wrócą szukać ich przyrzekał.

Księga II. *Zamek*. Spór myśliwych nie został roztrzygnięty w polu, gdzie charty Rejenta i Asesora uganiały się za zającem — za powrotem do domu kłótnia podniosła się żwawsza i już przychodziło do pięści, kiedy z drugiego pokoju porwali się wszyscy aby zwaśnionych rozbroić, i unieśli z sobą stojących na progu Telimenę i Tadeusza, młodą parę (str. 65).

Podobną Janusowi, dwólicemu bogu

Który gdy wyroczemi skrzypnie zawiasami
Krzyczą dzieci i matki zlewają się łzami.

X. Robak ucisza gromadę, a Wojski jakby przebudzony (str. 66).

Z głębokości dumania, w środku się postawił
Wąsy siwe pokręcił, kapoty poprawił—
Iskrzyły mu się oczy—(zawsze postrzegano
Ten blask niezwykły kiedy o łowach gadano).
Obiegał zgromadzenie . . . .

Żeby położyć koniec swarom p. Sędzia, powołuje wszystkich do lasu na rydze (str. 68 w. ostatni).

Daléj na rydze! waszeć mości Rotmistrzysko,
Każ wnieść stół obiadowy, tylko nie w zamczysko.

Ks. III. *Umizgi.* Podczas obiadu gajowy donosi że niedźwiedź ukazał się w ostępie. Obmyślono obławę na jutro i całe towarzystwo idzie spać wcześnie żeby przebudzić się z rana (str. 99).

Tadeuszowi dano dziś izbę w budynku.
Wszedłszy drzwi zamknął, świecę postawił w kominku,
Udając że już zasnął—lecz oczu niezmrużył,
Czekał on widać nocy, a czas mu się dłużył.
Stał przy oknie i patrzył wyrzniętym otworem
Co robi stróż chodzący ciągle pode dworem.
Gdy go ujrzał daleko: nogami równemi
Wyskoczył, okno zamknął tuląc się do ziemi
Jako wyżeł skradał się; dalsze jego kroki
Jesienna noc gęstemi osłoniła mroki.

Ks. IV. *Dyplomatyka i Łowy.* Tadeusz zaspał—prze-

budzony co żywo ubiera się, dopada konia i pędzi ku karczmom kędy obławnicy zebrać się mieli. Następuje opis karczmy Jankiela (str. 107 po w. 14).

Karczma z dwóch ciał jest zrosła jak sporysz orzecha
Różnych od siebie, choć je kryje jedna strzecha.

Nareszcie myśliwi dochodzą do puszczy (str. 118 w. 22).

. . . . .
Lecz tajne mu ich wnętrzne serca tajemnice:
Bo daléj niżli bory i podszyte knieje
Są miejsca — bajka tylko wie co się w nich dzieje;
Miejsca nigdy człowieka niezgwałcone krokiem,
Jak zaklęte, okryte tumanów obłokiem,
Który wiecznie z trzęskiego dmą oparzeliska,
Poplątane zielsk sieci, żmii legowiska.
Tu i owdzie jeziora jako wilcze doły,
Zdradnie ukryte, zielem zarosłe na poły, (w. 119)
A głębokie tak, że ich dna nikt niedośledzi.
W tych to jeziorach mówią wszyscy, że bies siedzi.
Woda ich brzydka, lśkni się jak skorupą rdzawą
I ciągle nakształt dymu zionie woń plugawą,
Od któréj drzewa w koło tracą liść i korę
Złysiałe, karłowate, robaczliwe, chore,
Pochyliwszy konary, mchem kołtunowate
I pnie garbiąc brzydkiemi grzybami brodate
Siedzą około wody jak czarownic kupa
Koło czarnego kotła, w którym ważą trupa.
Daléj zaś niedostępne, niezbadane okiem,
Leżą jary nakryte tumanów obłokiem
Który wiecznie ze trzęskich oparzelisk bucha.

Za tymi tumanami jak wieść niesie głucha
Ciągnie się bardzo piękna, żyzna okolica
I tam jest zwierzęcego królestwa stolica.

Tam są złożone wszystkich drzew i ziół nasiona
Z których się rozrastają na świat ich plemiona.
Tam jak w Arce Noego, z wszelkich zwierząt rodu,
Jedna przynajmniéj para chowa się dla płodu.
Te pary królujące i patryarchalne,
W jądrze puszczy ukryte, ludziom (światu) niewidzialne.
Rodzą się, umierają, bezpieczne siedliskiem, (str. 120)
Żaden z nich nigdy ludzkim nie zginął pociskiem.
W samym środku, jak słychać, mają swoje dwory
Żubr ogromny i niedźwiedź, puszcz imperatory;
Około nich na drzewach gnieździ się ryś bystry
I żarłoczny rosomak, jak czujne ministry;
Dalej zaś jak podwładne potężne wasale
Mieszkają dziki, wilki, i łosie rogale.
Nad głowami sokoły i orłowie dzicy
Żyjący z łaski państwa, dworscy zausznicy.
Wszystkie zaś tam zwierzęta żyją w dawnéj zgodzie (str. 121)
Nigdy jeden drugiego nie kąsa, nie bodzie:
Tylko zwierz, który z gniazda na świat się zacieka
Uczy się obyczajów wojny od człowieka.

W téjże stolicy słychać, że lasów mocarze
Mają swe niezbadane od ludzi smętarze
Bo wiadomo że w miejscach kędy człowiek gości
Nigdy nieznaleziono zmarłych zwierząt kości,
Gdy każdy zwierz raniony lub w ciężkiéj chorobie
Na smętarz bieży spocząć w przodków swoich grobie.*)
Głupi niedźwiedziu......

---

*) Inna wersya opisu była następująca:

Któż zbadał puszcz litewskich szerokie krainy, (str. 118)
Ich cienie nieprzejrzane, ich wnętrza głębiny!
Gdzie z borów bory, z gęstych gęste ciągną knieje,
Strach tylko albo bajka wie co się w nich dzieje,

Kto zabił niedźwiedzia, kto pierwszy z oszczepem gotów był się nań rzucić, pytania nierozjaśnione dały powód wracającym z obławy do nowych sporów; więc Wojski żeby do zgody dowieść kończył im o Dowejce i Domejce powieść (str. 132).

„A co się onych tycze, Dowejka z Domejką
Mieli dwory w sąsiedztwie nad rzeką Wilejką.

Bywali u mnie często— chociaż ja daleko
Od nich miałem folwark mój nad Uszą rzeką.....

KS. V. *Kłótnia* KS. VI. *Zaścianek* KS. VII. *Rada.*

Wieść o zbliżaniu się Francuzów rozbiegła się po zaściankach— Szlachta gromadzi się, radzi. Bartek prusakiem zwany chciałby zaciągnąć zdania Ojca Bernardy-

---

Nie lęka się rybaków dno przepastne morza
I myśliwiec nie zgwałci puszcz litewskich łoża,
Zna je tylko po wierzchu, ich postać, ich lice,
Lecz obce mu ich serca, życia tajemnice.
Są tam jakby za światem w ukryciu głębokiém
Miejsca, nigdy człowieka niezbadane okiem.
Tam od wieków panują puszcz imperatory
Żubr pyszny, niedźwiedź groźny ze swojemi dwory,
Syn panuje po ojcu, bezpieczni siedliskiem
Żaden z ich przodków ludzkim niezginął pociskiem.
Blisko nich też żyjący nie tak okazale
Wilcy ich ministrowie, dziki ich wassale,
A nad nimi latają niby zausznicy
Sępy i orły, gromów i burz posłannicy. (str. 121)
Człowieka tam nieznają — Onby mógł niezbrojny
Wśrodku tych zwierząt strasznych przechodzić spokojny;
Oneby nań patrzyły tym wzrokiem zdziwienia
Jakim w owym ostatnim dniu dzieła stworzenia
Ojce ich pierwsze co ich rody zaczynały,
Patrzyły na Adama, nim się z nim poznały.
Nikogo niezawiodły w głębie tych przepaści
Ni ciekawość nauki, ni łowów napaści,
Czasem tylko.....

na, na co oburzył się Maciéj Kropiciel (str. 203. w. 5). Co! zawoła, czekać, zwlekać, a potem uciekać:

Ot plan pruski!— pocichu sza, sza, sza uzbrajać
Czy my...... mamy jako baby bajać?

Tymczasem kiedy się gotują do powstania, hrabia podnieca szlachtę do zajazdu — zdobywa Soplicowo KS. VIII. przychodzi do bitwy z jegrami KS. IX. Narady z kapitanem Rykowem nad zabezpieczeniem losu zwycięzców— Obawy Rykowa aby komendant Płut niezdradził tajemnicy. Klucznik (str. 290. w. 19) daje do zrozumienia że Płut już nie żyje: .

Potem dłonie powoli podniósł i otworzył
Skrzywił się, kiwnął głową i znowu powtórzył:
Płut już niebędzie gadać — potrzeba tak było
Koniecznie; co zrobiło, to się już zrobiło.

Po załatwieniu na prędce téj ważnéj sprawy, pan Sędzia, Klucznik i ks. Robak zamykają się w izbie. Mnich czuje że mu kilka chwil zostaje do życia więc w obec Sędziego brata swego, wyznaje przed Klucznikiem że jest Jackiem Soplicą, ojcem Tadeusza. Na te słowa Klucznik (301. w. 24).

Jak ryś nim z drzewa spadnie myśliwcowi w oczy
Sierść nadyma, wąs wznosi i ogonem toczy.....

Ale Jacek zdołał go uspokoić i czyni spowiedź z całego swego życia, (str. 305) opowiada miłość jaką miał dla Ewy córki stolnika Horeszki, którego zabił. Ile razy miał wyznać przed nim swe uczucia, zaraz starzec wrzucał jakieś obojętne słowo albo.....

O mych dawnych miłostkach, bo prawda niestety
Że już bałamuciłem i dawniéj kobiety,
Zwyczajnie młody głupiec — on gadając o tém
Przy swojéj córce, serce me przeszywał grotem.
I po takich wspomnieniach w rozpaczy i gniewie
Czułem że już nie mogłem mówić mu o Ewie.
Ach gdyby on przyzwolił, byłbym się poprawił
Ustatkował i z żoną wiek szczęśliwy strawił.
A wszakże wielka moja wina! Panie Boże
Otoż pycha! stało się — odstać się nie może!
Panie świeć jego duszy! —

Nieraz przychodziło mu na myśl gwałtem porwać Ewę, ale (str. 308).

Wiosenna gąsiennica! z rodzinnego drzewa
Zerwać ją, byłoby ją zabić — czułem, Ewa
Nieprzeżyłaby nigdy mojego zwycięstwa
Nieprzeżyłaby nigdy rodziców przeklęstwa.....

A potem powiedzianoby jeszcze (309)

Soplica mścił się, że mu odmówiono dziewkę
Jacek Soplica mścił się za czarną polewkę.

Po dopełnionem zabójstwie, ożenił się — żona mu zmarła zostawiwszy Tadeusza, a wtenczas on poszedł w obce kraje, zawsze mając w sercu i pamięci obecną postać Ewy (str. 310 w. 9).

Jeszczem nie skończył — prawda że pierwszy raz w życiu
I ostatni wyjawiam, co było w ukryciu
Na dnie sumienia — Niech mi to Pan Bóg wybaczy.

Szukał zemsty przed tem, nim kraj opuścił. W chwili

kiedy Targowiczanie z Moskwą oblegają zamek Stolnika, nadarzyła się do niéj pora — ale Jacek Soplica nie zdradzał, choć wiedział że gmin szczęśliwym przebacza.

Po wielu latach cierpień, skruszony wchodzi między mnichy. — O swych poświęceniach dla kraju zamilcza (str. 317).

nie dla chwały
Ziemskiéj, biegłem tylekroć na miecze, na strzały.
Przybrawszy obce imie któżby się chciał wsławić
Gdy sławy krewnym, dzieciom, nie może zostawić,
Tyle mi wolno wyznać żem żył dla ojczyzny,
Żem najmiléj te spełniał rozkazy starszyzny
Gdzie wiele niebezpieczeństw mało było sławy,
Przemilczę rożne moje za krajem wyprawy.....

KS. XI. *Rok. 1812.* KS. XII. *Kochajmy się.* Wkroczenie wojsk. Uczta staropolska dla jenerała Dąbrowskiego i Kniaziewicza w Soplicowie. Podczas uczty wszyscy podziwiają arcy serwis (str. 351. w. 2).

Zważcie iż w każdéj kupce, stoi wyższy człowiek
Widać z tych ust otwartych, z podniesionych powiek,
Rąk zadartych — odgadniesz mowcę, co tłómaczy,
Uważajcie jak palcem na dłoni coś znaczy.

Z tych mowców i z tych kupek wprawne oko zgada,
Że to przedsejmikowa domowa narada,
Ci mowcy, kandydata są to przyjaciele
Zamawiają dlań kreski, lecz ja powiem śmiele
Że się wybór nieuda, widać z min słuchaczy
Że niechętni i kilku mowców jest w rozpaczy.

Wprawdzie, w téj kupce szlachta przyłożyła ucha

Ten ręce za pas włożył, schylił się i słucha,
Rękę przy uchu trzyma, a wąs coraz kręci
Rozważa słowa mowcy i składa w pamięci.
Cieszy się mowca, widzi że są nawróceni
Maca kieszeń, że kreski ich ma już w kieszeni.

Lecz.....
Goście ucztują, spełniają kielichy (str. 355. w. 4).

Tymczasem serwis daléj zmieniał pory roku,
Powierzchnia jego oschła z konfitur potoku,
Zieloną, różnobarwną zabłysnęła wiosną,
Wychodzą różne zboża, jak na drożdzach rosną,
Pszenica z cukru żółtym malowna szafranem
Na kłosach przysypana liściem pozłacanem;
Groch z świętojańskim strąkiem, z masła owies blady
I gryka wyrobiona sztucznie z czokolady.
Z drzew powoli białawe otopniało kwiecie
Wydając na jaw owoc dojrzały jak w lecie.
Sapieżanki i dule i jabłka i bery
Zielone, malinami skrapiane szpalery.

Ledwie..... (jak w druku)

. . . .
Bo serwis jako świat nasz koniecznym obrotem
Zmienia kształt; już owoce malowane złotem
Nabrawszy ciepła w izbie powoli topnieją
Upadają z gałązek, liście czerwienieją.

Goście poczęli zrywać gałązki, pnie i korzenie (str. 356).

Lecz na końcu serwisa, stał porcelanowy
Dom, jakoby dwór pański prześlicznéj budowy
Gustem włoskim podobny do onych pałaców
Które w Litwie stawiła familia Paców.

W tym domu otwarły się na sprężynach bramy
I wyjeżdżają tłumnie panowie i damy
Na koniach piernikowych, a wiodą na smyczy
Charty s ciasta; za niemi orszak obławniczy
Z flintami, z oszczepami, prowadzący sfory
I ogarów, daléj sieci ciągną się tabory.

Jenerał Dąbrowski rad wiedzieć kto jest tym kunsztmistrzem co takie dziwa przedstawił, zagaduje Wojskiego, a ten objaśnia że się tego wszystkiego nauczył z książki, która takim trafem wpadła w jego ręce: (str. 357).

Tę książkę jak mówił mnie Bartosz Dobrzyński
Posiadał w Wielkopolsce naprzód Pan Poniński.
Nie ów Poniński Łodzia, człowiek z brzydką sławą
Co skrewiwszy, umarł u żyda pod ławą;
Lecz Poniński Starosta — Ten żyjąc wspaniale
Podług téj książki dawał obiady i bale.
Przed śmiercią zapisał ją sąsiadowi swemu
Co mieszkał w Kopaszewie Panu Skórzewskiemu.
Wreście książkę, od Pana Skórzewskiego żony
Dostał Bartek Dobrzyński Prusakiem rzeczony,
Gdy gościł w Wielkopolsce — Jak zabytek drogi
Prawych zwyczajów, przywiózł ją w ojczyste progi;
Lecz małą mając kuchnię, człek miernego stanu
Oddał ją mnie — Niechaj służy Wielmożnemu Panu.

W końcu uczty Dąbrowski wnosi toast Cesarza Napoleona — Maciéj jakoś nieradnie kielich wychyla — nie wiele dobrego wróży z przyjścia Francuzów (str. 363. w. 19).

Tu widzę inni ludzie niż byli w mych latach.
Kędy posłuchasz, wszędzie mowa o harmatach,

Manewrach — Noszą tylko lance, karabiny;
Nawet i szlachta, nawet wielkich panów syny.
Widziałem dwóch Potockich — i któż to uwierzy
Szwędających się konno, samych jak żołnierzy,
A to byli synowie Potockiego Jana
Wprawdzie trochę dziwaka, lecz wielkiego pana.

. . . .

. . . .

Kto to wszystko zrozumie! to grenadjery,
To znowu fizyliery, to znów woltyżery.
Więcéj tu Knechtów niżeli Polaków,
Ni usarzy nie widać, ni pancernych znaków!
A szable, a mój Boże! wszak to kara nieba
Temi szablami u nas nieukroisz chleba.
A muszą też być z Knechty Turki czy Tatary.

Dalėj powstaje na rabunki świątyń:

Na Litwina uderzył Cesarz jak na wroga.
Idzie mówią do Moskwy — daleka to droga.
Pono Cesarz Jegomość

Przychodzi w końcu do rozwiązania miłosnego dramatu. Telimena prawie zaręczona Rejentowi, żąda od Hrabiego aby jéj wyraźnie powiedział czy ją kocha. Na to otrzymuje odpowiedź: (str. 366. w. 24).

— Widzę, rzecze Hrabia, żeś w nim zakochana
Dowodzi tego nagła charakteru zmiana —
I czegóż to nie mogą miłości płomienie
W hydrę najłagodniejsze przerobią stworzenie.
Przebaczam ci — Bym szczęścia twojego niekłócił....

To wyrzekłszy ze wzgardą od niéj się odwrócił
I ażeby niewiernéj zapomnieć kochanki
Obrócił serce swoje do Podkomorzanki.

Nawzajem Zosia zaprzysięga miłość Tadeuszowi i zapewnia go (str. 369).

Obaczysz Tadeuszu nim kilka lat minie,
Będziesz miał z twojéj Zosi sławną gospodynię.

III.

Kiedy czytelnik te nowe a nieznane dotychczas sobie rymy zmarłego już wieszcza, zechce porównywać z całością Powieści, niechże sobie zada jeszcze jednę pracę i poprawi w swoim egzemplarzu *Pana Tadeusza* liczne błędy drukarskie, których wydawcy dopuścili się pod okiem i nadzorem samegoż autora.

Str. 23 po w. 13 opuszczono:

Ale myśl twarz nadobną odgadywać zwykła;

Str. 39 po w. 4 opuszczono:

Już wróble skacząc świerkać zaczęły pod strzechą,

Str. 66 po w. 2. Wiersz opuszczony i w pierwszém wydaniu — niedopisany na drugiém wydaniu przez samego Mickiewicza.

Str. 125 w. 6. niewstrzymanym popr. własn. A. M. *wirowatym.*

„ 128 „ 3 po wyrazie: *prawdziwa* dodaj: *to.*

„ 142 „ 9 *trzpiotostwo* poprawił *gdéranie.*

„ 155 „ 7 wiersz opuszczony i w pierwszém wydaniu.

„ 172 „ 2 *wpadła* czytaj *padła.*

„ „ po w. 23 opuszczony: jest w 1 wyd.

I wyspi się bo jutro będzie wielka praca.

Str. 176 w. 1. *wstąpic* cz. *sstąpić.*
„ 186 „ 23 *kręci* cz. *krąży.*
„ 189 „ 13 *od* cz. *do.*
„ 200 „ 2. Zamiast:

Mógł więc nie mało światła udzielić obradom

A. M. poprawił:

W niebytności Maćka zwykle przewodził obradom

Str. 203 w. 9. *czy ma żaki* zamiast *czy my żaki.*
„ 209 po w. 22. Opuszczone w obu wydaniach a dodane własnoręcznie

Była wieść że od przodka Dobrzyńskich ta klinga
Wydarta pod Grunwaldem z rąk Mistrza Junginga

Str. 211 po w. 18 opuszczony:

I jeszcze chce ostatki wydrzeć z rąk dziedzica.

Str. 214 w. 13. *Precz żydzie* — cz. *Precz ztąd żydzie.*
„ 217 „ 11 między wyrazami *plusk plusk i* opuszczone.
„ 225 „ 2 *wzywał* cz. *wyzywał.*
„ 227 „ 10 *Sapieżyna* poprawił A. M. *Puzynina* (bo istotnie ona to łożyła koszt na obserwatoryum Astronomiczne w Wilnie).
„ 228 „ 5 *Bo* cz. *Co.*
„ 241 „ 22 *przycisnąwszy* cz. *przyciąwszy.*
„ 242 „ 16 *miał* cz. *ma.*
„ 249 „ 12 *w pierś* cz. *w piersi.*
„ 251 po w. 12 opuszczone:

I z długiego biczyska porobiwszy petle
Drzemiące ptastwo śledzi przy latarki świetle

Str. 255 w. 5. *gwałtu zdrada* cz. *zdrada! gwałtu! zdrada!*
„ 270 „ 15 *i pieścił* cz. *i spieścił.*
„ 274 „ 21 *Sak broniąc dworu* dodaj *stanął.*
„ 297 „ 23 *Rzekł—na Telimenę* cz. *Rzekł i na Telimenę.*

Str. 306 w. 5 *Spieszyłem się* cz. *Spieszyłem.*
„ 319 „ 3 *I krew* cz. *I miecz.*
„ 323 „ 8 *żelazne* cz. *żelazem.*
„ 325 „ 2 *pod Słonim* cz. *po Słonim.*
„ 331 „ 3 po wyrazie *o grzechach* dodaj *jego.*
„ 349 „ 23 „ *kazał ten sprzęt* dodaj *na urząd.*
„ 352 „ 19 „ *Łatwo zgadnąć* dodaj *że.*

Trzy tuziny błędów w samym *Tadeuszu* dostrzeżonych przez samego autora, który wielkim był poetą ale zbyt lichym korrektorem. Pewnie drugie tyle mniéj ważnych jeszczeby się znalazło — a ile w owych czterech tomikach!!

Ten stan opłakany (bo w błędach) wyzywa potrzebę rychłéj naprawy — błędy zasiane każą nietylko język ale przeistaczają myśli pisarza, który dziś za krzywdę sobie wyrządzoną ująć się nie może. Zapewne poprawna edycya zaradziłaby złemu, co nim nastąpi, niniejszy artykuł, niech choć w części wywiąże się z obowiązku szanowania nieśmiertelnego słowa naszego wieszcza.

POWIEŚĆ KRAKOWSKA.

V.

Prześliczny był ranek letni, kiedy Maciéj (bo go od wyzwolin Maćkiem zwać przestano), z tłomoczkiem na plecach, z kijem w ręku i fajką w zębach, posuwał się równemi krokami drogą ku Kielcom. Nigdy jeszcze nie czuł się tak lekkim i swobodnym jak w téj chwili. Lubo za Krakowem nie tęsknił, wszelako potrzeba mu było kilku dni wędrówki, żeby się oswoić z nowym dla siebie stanem wędrownika i zaprzestać myśleć o czeladnéj izbie Kozińskiego, w któréj lat tyle przesiedział. Pierwszy raz dzisiaj, zielone pola, mleczem i jaskierem ozłocona łąka, trzepocący liść brzeziny, wierzbowa wiecha u płotu budziły jakiś nieznany mu dawniéj urok.

Wprawdzie Maciéj urodził się na wsi, a przynajmniéj jak dawno zapamięta, pierwsze lata swoje spędził jako pastuch na półwsiu Zwierzynieckiem, gdzie poznał państwa Kozińskich, którzy tam czasem na kwaśne mleko chodzili. Służba u chłopa to i dla dziecka ciężka: być

Patrz zeszyt marcowy i kwietniowy.

sługą chłopskim a koniem żydowskim, to na jedno wychodzi: niedojeść i niedospać, zimą marznąć i do tego bicia co nie miara. Już to dla pasterzy dawno przeminął ów wiek złoty o którym tak słodko wspominają sielankopisarze; miejsce jego zajęła ziębła, naga i głodna rzeczywistość. Maćkowi nie mogło nigdy przyjść na myśl, aby wielki jego protoplasta miał panować na górze Idzie i rozdawać tam złote jabłka boginiom. Marzenia jego sięgały wprawdzie niekiedy do złotych jabłek gospodarskiego sadu, lecz owoc ten i dla niego również zakazany, prawie zawsze biciem okupywał. Łatwiéj mu już bywało dorwać się cichaczem w grzędy ziemniaczane, aby potem piec ziemniaki na błoniu. Lecz oprócz tych przyjemności, reszta pastuszego życia jego, zwłaszcza zimową porą, w cięższkiéj upływała biedzie, póki się nad nim nie ulitował pan Koziński, który potrzebował takiego chłopaka na popychadło w domu, a zręczność, zwinność i pojętność Maćka, najlepszym mu były listem zalecającym.

Długo Maciek tęsknił w nowym swoim zawodzie za szerokiém błoniem, rykiem krów i swoim biczem, z którego dzielnie trzaskać umiał, lecz pełna miska jadła i ciepły w zimie zapiecek w izbie krawieckiéj wygnały mu niebawem z pamięci troski i uciechy dawnego stanu, a łaska majstrowéj i panienki szczodrą ręką zlewała nań dary swoje w formie większéj niż zwykle kromki chleba lub kawała sera.

Dwa razy potem tylko do roku obchodził Maciek pamiątkę życia wiejskiego: raz w Zielone Świątki na Bielanach, dokąd niósł kosz z jadłem za majstrową, i w jesieni na Krowodrzy, gdzie ścinał łby kapuście, a potem na szczycie wozu nią naładowanego wróciwszy z tryumfem do domu, przez cały tydzień nie wziął igły do ręki zajęty szatkowaniem i ubijaniem kapusty, a wtedy przechodził z pod władzy czeladzi pod wyłączną

władzę pani majstrowéj. Były to dla niego jedyne w roku dni czystéj radości, których nie zasępił ani zwykły w Zielone Świątki deszcz, ani przeczucie przyszłego niesmaku przekisłéj kapusty beczkowéj. To też przez ciąg terminu swego Maciek zapatrywał się na całą naturę z tego dwoistego punktu widzenia: albo mu się ona kołysała niezliczonemi huśtawkami bielańskiemi, albo jeżyła się milionami głów kapuścianych. Zostawszy czeladnikiem lubił chodzić na błonie przyglądać się pasącemu się bydłu, a z dawnego życia pasterskiego pozostał mu na zawsze szczególniejszy pociąg do ziemniaków pieczonych. Później jednak, kiedy utrzymanie domu majstra na saméj jego polegało pracy, znikła i ta reszta swobody, umysł spoważniał a nawet zasępiał i głębszego dla siebie szukał zajęcia. Wtedy wieczory niedzielne przepędzał w domu Onufrego, który odwiedziny Macieja poczytywał zawsze jakby godzinę nauki w szkółce niedzielnéj, a słowa swoje jakby wykład nauczycielski.

Dzisiaj znowu całkiem inne uczucie owładnęło sercem Macieja. Cała natura przybrała dla niego szatę świąteczną, uśmiechała się doń wdzięcznie, przemawiała świergotaniem ptasząt, poiła wonią ulatującą z parą rosy. Kilka dni drogi wystarczyło, aby go po długiem odwyknieniu zbratać napowrót z naturą, która mu tak zobczała w warsztacie, iż o tyle tylko miała dla niego powabu, że mu przerywała jednostajność życia i dozwoliła wyprostować skulone przy robocie nogi.

Daleki dzwonek kościoła wiejskiego przypomniał mu że to dzień niedzielny, więc zmówiwszy modlitwę poranną puścił się za tym głosem najbliższą miedzą na przełaj, i przelazłszy przez kilka płotów, minąwszy kładkę na rzeczułce i zarośla wikliny ujrzał się we wsi niedaleko kościoła.

Uroczystość była podwójna. Zjechał bowiem nowy dziedzic i młody wikary przysłany na zastępstwo proboszcza, miał pierwszy raz kazać. W ciągu nabożeństwa Maciéj parę razy rzucił okiem na dziedzica siedzącego w chórze na pierwszem miejscu, i zdawało mu się, że gdzieś twarz tę już widział, lecz sobie przypomnieć jéj nie mógł; a potem złajawszy sam siebie, że się czém innem zajmuje, oddał się cały modlitwie. Lubo rzadko bywał w kościele, bo u krawca do południa w święto najpilniejsza zawsze robota, wszelako miał tę do modlitwy łatwość, jaką zwykle miewają czyste, proste a nieskażone dusze, w sercu zaś jego spoczywały skarby uczuć jemu samemu nieznanych, a osłoniętych grubą powłoką prostactwa. Czytać i pisać nauczył go wprawdzie Onufry, ale do dalszéj nauki nie stawało czasu. Wpływ dopiero modlitwy rozmiękczał tę skorupę, rozgrzewał serce, a uczucia wzbierały w niém pełno, bo gorącość ducha tak jak gorącość w świecie fizycznym działa rozprężliwie — i wtedy prosty i nieokrzesany krawczyk rósł moralnie i w jednéj chwili przechodził fazę edukacyi, którąby w innem zwykłem położeniu wymagała powolnego i stopniowego kształcenia się. Umysł jego od samego dziś rana był na ten kamerton nastrojony, więc potrzeba było tylko właściwą potrącić strunę by czysty dźwięk wydobyć. Nie zawsze się to powiedzie, bo najczęściéj bywa, że chwila taka przeminie niezapłodniona natchnieniem i dla tego nie wyda owocu, albo też o serce uderzy właśnie jaki silny nacisk namiętności, co tę stronę jego potarga, lub wreszcie potrąci o nią złośliwa ręka i fałszywy dźwięk z niéj dobędzie.

Tacy ludzie jak Maciéj nie należą jednakże do zjawisk nadzwyczajnych. Są oni pod pewnym względem autodydaktami, tylko że droga nauki idzie do nich przez serce. Dziwić się téż niekiedy potrzeba, zkąd w ludziach

nieuczonych lub chowanych samopas, bierze się nie ów rozum praktyczny, co go się z czasem samem nabywa doświadczeniem, ale ów wyższy rozum natchniony zwany mądrością, a który jest zespoleniem głowy i serca? zkąd u ludzi umiejących zaledwie rozróżnić co złe a co dobre, bierze się niekiedy ta delikatność uczuć, która jest zwykle nabytkiem bardzo starannego wychowania?

Na téj drodze kształcenia się Maciéj krok jeden dziś uczynił.

Ksiądz wikary wszedł na ambonę. W słowach pełnych prostoty a przecież wymownych, biorąc pochop z przybycia dziedzica, kazał o wzajemnych obowiązkach panów i czeladzi. Lubo rzecz się odnosiła głównie do stosunków wiejskich, wszelako Maciej brał to wszystko do siebie i zdawało mu się, jakby w każdem słowie księdza leżał dla niego wyrzut, że porzucił dom w którym się wychował i majstra któremu zawdzięcza los swój na całe życie, że się stał niewdzięcznym opuszczając go wtedy właśnie, kiedy pracą swoją mógł go jeszcze od ostatniéj uchronić biedy. Wyszedł z kościoła mocno zafrasowany i sam z siebie niekontent. Gdyby nie obawa, że się na śmiech wystawi wracając tak rychło z wędrówki, byłby w téj saméj jeszcze godzinie zebrał się na powrót do Krakowa, ale czując jak straszną jest broń szyderstwa która mu się i tak już nieraz dała we znaki, chwiał się mocno między dwiema rozstajnemi drogami.

Tak chodząc zadumany po smętarzu kościelnym ujrzał wikarego wracającego z kościoła do plebanii; przyszła mu więc szczęśliwa myśl zażądania rady od tego, który w nim ten niepokój obudził. Poszedł zatem za księdzem do mieszkania. Wikary wysłuchał go w milczeniu, ale z tym uprzejmym wyrazem twarzy, który zachęca do mówienia i nie okazuje najmniejszego nie-

cierpliwienia się, chociaż mu Maciéj nazbyt rozwlekle rzecz opowiadał.

— Poczciwy z ciebie chłopiec mój przyjacielu — rzekł ksiądz nareszcie — ale to co zwiesz obowiązkiem, za daleko chcesz posunąć. To już nie obowiązek, ale poświęcenie. Ani cię więc do niego zachęcać ani odmawiać mogę, bo poświęcenie nie jest owocem uznania słuszności, ale wewnętrznego popędu, którego nie należy rozbierać, lecz go czuć tylko można. Jest to pragnienie, które przedewszystkiem zaspokoić trzeba nie wchodząc w przyczyny, które je zrodziły. Wszelako ta niepewność która cię zniewoliła udać się do mnie o poradę, dowodzi właśnie, żeś nie miał tego pragnienia, ale tylko chciałeś się uspokoić co do obowiązków twoich względem twojego majstra. Nic im wszelako nie uchybiłeś, iż odszedłeś od niego, boć całe życie u jednego majstra trawić nie mogłeś, i w rzemiośle twojem kształcić ci się należy, ale żeś go odszedł w skutku rozdrażnienia, jakkolwiek ono ze szlachetnéj wypływało pobudki. Czyn ten twój nie był czynem rozwagi lecz namiętności, i dla tego trapi cię niepokój i wyrzuty, lecz z drugiéj strony są one najpiękniejszem twego serca świadectwem. Wszakże gdybyś był powodując się nie chwilowem uniesieniem lecz rozumem, oswiadczył poprzednio już majstrowi, iż na wędrówkę się wybierasz, czyż kazanie dzisiejsze byłoby w sercu twojém wywołało te wyrzuty jakich teraz doświadczasz? Trzeba więc złe naprawić jak można. Wracać do Krakowa byłoby zbyt ciężką dla ciebie karą. W obec Boga żal ten twój policzonym ci jest jako zadosyć uczynienie, w obec człowieka względem którego zawiniłeś, staraj się naprawić złe środkami jakie najbliżéj i najłatwiéj masz pod ręką. Napisz więc do majstra, przeproś go żeś się z nim rozstał w niezgodzie, a to twoje upokorzenie zatrze w jego ser-

cu żal i urazę, jeśli jaka postała, jeśli zaś jéj nie było, zjedna ci jego miłość i poważanie.

Maciéj chciał ucałować ręce młodego kapłana który tak umiał czytać w jego duszy i przyniósł mu strapionemu pociechę, a pragnąc jak najprędzéj ciężar jaki go cisnął zwalić z serca, prosił wikarego żeby mu dał zaraz papieru i atramentu, bo ich w karczmie pewnie nie znajdzie.

— Słusznie masz — rzekł ksiądz — że nie chcesz zwlekać, możesz tu u mnie list napisać, oddam go sam na pocztę w Kielcach bo jadę tam ze świtem, a tym czasem zostawię cię tu gospodarzem, bo mnie czas do dworu, już tam na mnie pewnie czekają.

Wikary otworzył staroświecki kantorek, podniósł klapę jego, która się w wachlarz zwijała i rozstawił przed krawczykiem cały porządek pisarski. Ciężka to była dla Macieja praca pierwszy list w życiu napisać, bo chociaż myślał dość składnie, to jednak nie mając wprawy w budowę okresów, namęczył się co nie miara, a to zapewne dla tego, że chciał lepiéj pisać, niż mu pod pióro szły myśli. Najczęściéj tak bywa, że dużo w życiu piórem się namachawszy, nabiera się dopiero przekonania, iż wtedy dobrze się pisze, kiedy się pisze tak po prostu, jakby się mówić miało. Maciéj któremu ta tajemnica autorska obcą była, potrzebował dużo czasu na ułożenie listu i dużo napsuł papieru, nim jako tako kilkanaście wierszy napisał, i byłby jeszcze na tém nie poprzestał, gdyby nie to, że chciał skończyć przed powrotem księdza. Zapieczętowawszy więc list położył na nim taki adres:

Do rąk własnych
Imć Pana Ignacego Kozińskiego
na Mikołajskiéj Ulicy
w Krakowie —
oddać proszę.
Pilno pilno.

Tymczasem ksiądz wikary zastał dziedzica z miną nieco zadąsaną. Stał przy oknie i bębnił palcami po szybie niby nie słysząc jak się drzwi otwarły i wchodzący odezwał się:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Upadam do nóg Wielmożnego Pana i Dobrodzieja! — dodał ksiądz późniéj na środku pokoju, nisko się skłoniwszy.

Dziedzic bębnił daléj pobudkę.

— Sługa i podnóżek Wielmożnego Pana — głośniéj powtórzył wikary.

— A to ksiądz wikary! myślałem już że na mnie nie łaskaw. Ja przywykły do punktualności już tak od młodego. Nauczyłem się w wojsku pilnować porządku i przekonałem się, że kiedy świat cały idzie jak zegarek, to i na świecie wszystko powinno iść podług zegarka.

Wikary uderzony został temi słowy mającemi za sobą cały pozór wzniosłéj prawdy, a będącemi w saméj rzeczy wypływem materyalizmu. Pogodziły go one z tém przyjęciem ostrem, jakiego doznał i już się odpowiedzieć zabierał, kiedy wszedł mężczyzna już nie młody, w sieraku ubrany, którego dziedzic przedstawił jako pana Chwałkiewicza przyszłego może dzierżawcę Brzezinki.

Dano zaraz do stołu. Obiad nie trwał długo, bo i dziedzicowi i dzierżawcy pilno było, a ksiądz nie zdołał rozmowy ożywić, nie mając z gospodarzem swoim tych punktów zetknięcia, które albo długa zażyłość albo życie na wielkim świecie nastręcza. Z początku, kiedy ksiądz pamiętny słów wyrzeczonych przez dziedzica pragnął nadać rozmowie tok zadaniu temu odpowiedni, szlachcic zręcznie mu się umiał wymykać podsuwając jaki bezbarwny ogólnik lub tu i owdzie wsuwając słówko z innego całkiem zakresu. Bieglejszy od wikarego

dostrzegacz, byłby zaraz poznał, że mówca powierzchowną tylko posiada ogładę, taką jaka zwykle wystarcza w codziennych towarzyskich stosunkach. Dzierżawca milczał wprawdzie, lecz za to tém gorliwiéj zmiatał z talerzy.

Rozmowa przerzuciła się na pole zdarzeń. Dziedzic zaczął opowiadać swoje przygody wojskowe i miłosne, pełne, jak to zwykle w takim razie bywa, przechwałek i nadzwyczajności, okraszał je jeszcze żarcikami dwuznacznemi, gdzie rubaszność zastępowała miejsce dowcipu; a podobny ton rozmowy nadaje zwykle w świecie miano przyjemnego, miłego i wesołego człowieka. Dzierżawca każdemu słówku dziedzica czy ono było jałowe czy jędrne, mdłe czy drastyczne, wtórował obowiązkowym śmiechem z pełnego gardła, wikary zaś nie mogąc spędzić mówcy z tego tropu, tak zimną przybrał na siebie powierzchowność, że samemu dziedzicowi zdawać się zaczęło, iż większa połowa wartości żartów jego ginie w przelocie, zanim się z ust jego do ucha słuchacza dostaną.

W przerwie między jednym a drugim żartem dziedzica, kiedy już dzierżawca przeszedł całą skalę wokalną śmiechu i wzmacniał gardło nowym kieliszkiem żeby zacząć *da capo*, wikary przeprosił że dłużéj pozostać nie może, gdyż zostawił w domu gościa, który niecierpliwie go czeka.

— Aha! rozumiem, rozumiem, — rzekł znacząco dziedzic — pewnie jaka pobożna dusza.

Dzierżawca zawtórował obowiązkowym swym śmiechem, który tak zniecierpliwił wikarego, iż mu rzekł:

— Niewiem zaprawdę, co w tem może być śmiesznego. W istocie bardzo to pobożna dusza, na którą słabe słowa moje dziś w kościele nadspodziewanie taki wpływ wywarły, iż się do mnie o poradę udała.

— Ciekawym, bardzo ciekawym! zawołał—Chwałkie-

wicz — dobrze bo to poznać ludzi we wsi, z któremi się będzie miało do czynienia.

— Otóż kiedy to nie ze wsi lecz z miasta: wędrowny krawczyk z Krakowa, któremu przykro że odszedł od majstra.

— Musiało mu być tam dobrze, a teraz pewnie bieda bodzie — dodał praktyczny dzierżawca.

— Źle pan o ludziach sądzisz — odrzekł urażony wikary — a przekonam pana jak opowiem, dla czego krawczyk przyszedł do mnie o poradę.

— No proszę! a to rzadki człowiek — zawołał Chwałkiewicz kiedy Wikary przestał mówić — żeby to takiego dostać na ekonoma!

— Zdałby się i na dzierżawcę — dołożył śmiejąc się dziedzic — Przyślij go do mnie księże wikary, ja mu tu znajdę robotę, muszę o nim pomyśleć.

Po wyjściu Wikarego zaczęła się sprawa o interesach.

— Dalibóg panie Chwałkiewicz, ani grosza nie odstąpię od tego, com raz powiedział. Brzezinka to wieś ładna tylko nieco zaniedbana, ale bo też tyle lat w procesie. Jeszcze ojciec mojéj żony uzyskał wyrok przyznający, ale się nie doczekał egzekucyi. Ja z téj wsi grosza jednego nie wziąłem dotąd. Kilkanaście tysięcy co mi przyznano za szkody, musiałem dać na zapomogę dla dalekich krewnych. Wiadomo panu że to się zdarza czasem ktoś biedny w familii co go wesprzeć trzeba, potem puściłem wieś w dzierżawę i nie mogłem się pozbyć dzierżawcy bez procesu. Ale mi pana zachwalili jako człowieka gospodarnego, więc wolę już spuścić tanio, byle w pewne i uczciwe ręce.

— To też i u mnie Mości Dobrodzieju familia ciężarem na głowie. Wziąłem sierotę i muszę się opiekować. Z dobrego to domu, tylko że ojciec nie umiał się rządzić i zostawił wdowę z trojgiem dzieci w biedzie,

potem i matka umarła w Krakowie, a syn jeden gdzieś zginął w wojsku, a drugi podobno pisarkiem. — Może to i jakie dalekie pokrewieństwo z wielmożnym panem, bo się podobnież nazywa Koniecka.

— Na imię jéj Aniela.

— A tak, Aniela.

— Panie Chwałkiewicz, a ja jestem Stanisław Koniecki, brat Anieli.

— A mój Boże! czy to być może? a gdzież ja się mogłem tego spodziewać! No proszę, pan Stanisław taki wielki pan!

— Ożeniłem się dobrze i wziąłem w posagu dobra w Mazowieckiem i tę wieś z procesem dostałem po ojcu.

— Nie ma to jak się dobrze ożenić, ja to zawsze mówię Anieli.

— A jéj się za mąż nie trafia?

— A skądżeby? czy to tak łatwo dostać teraz męża nie mając posagu. Zresztą, ona jest tak do mnie przywiązana, żeby mię nie opuściła nigdy.

— Jakto? niema posagu. Czy Onufry nic jéj nie pisał, żem mu zostawił gotówką dziewiętnaście tysięcy?

— Dziewiętnaście tysięcy! — zawołał Chwałkiewicz przeciągłym głosem — Pierwsze słyszę!

— A to łotr braciszek! Ktoby się był spodziewał po nim! mówił — Stanisław chodząc po izbie — Jakto, Aniela nic o tem nie wie?

— Ani słóweczka. Ona nic nie ma przedemną skrytego; ona mię tak kocha, że ja nieraz już miałem zamiar... człowiek tak długo wdowcem, a to żona w domu i w gospodarstwie przecież potrzebna.

— A czy ja wam bronię pobrać się?

— Cóż to za poczciwy i kochany braciszek! Niechże pana uściskam panie Stanisławie.

— Słuchaj pan, panie Chwałkiewicz! pogadajmy o-

twarcie. Tyś człowiek roztropny. Jak powiedziałem, daję ci na dwanaście lat dzierżawę i przystaję na cenę jaką mi ofiarowałeś; ten tysiąc złotych rocznie o który nam szło niech będzie na posag dla Anieli. A z Onufrym rób sobie co ci się podoba, tylko wymawiam sobie żebyście mnie do niczego nie mieszali. A gdzież Aniela?

— Została w Kielcach.

— Pojedziemy tam jutro do notaryusza i zrobiemy kontrakt, jeśli Aniela mi powie iż zechce iść za ciebie. Jeśli nie, to mi dajcie święty pokój; ja nie mogę się obarczać interesami, familia mojéj żony by mię zajadła, żeby wiedziała iż ja na was łożę. Moja żona wciąż chora, a oni jak kruki czyhają tylko na jéj śmierć. Jeśli mi majątek zapisze, to potém zobaczymy.

Chwałkiewicz rzucił się na szyję Stanisława, począł go całować po obu policzkach a potém po rękach, i nie mógł znaleźć dla siebie miejsca z wielkiéj radości.

— Dobrze już dobrze — rzekł Stanisław wyrywając mu się i obcierając chustką poślinione policzki — tylko sekret!

— O możesz być pan spokojny, ja nie w ciemię bity.

Tymczasem na plebanii inna scena poznania zaszła.

Wikary wyszedłszy ze dworu odetchnął swobodniéj. Ta pierwsza próba jego wejścia na świat i w bliższy z ludźmi stosunek nie przypadła mu do smaku. W seminaryum jeszcze będąc marzył o tém wielkiém powołaniu proboszcza, sięgającém jedną stroną tradycyjnego życia szlacheckiego ze wszystkiemi świetnemi jego przymiotami i cnotami domowemi, a drugą stroną schodzącém do ludu, który miał oświecać i do dobrego zaprawiać. Zdawało mu się, że będzie pośrednikiem między dwoma temi obcemi a tak bliskiemi siebie żywiołami, że zjednoczy je na łonie religii, któréj jest obwieścicielem. Dzisiejszy obiad rozwiał po części jego marzenia, lecz za to tém mocniéj utwierdził go w przekonaniu o

potrzebie takiéj misyi kapłana na wsi. Zamiast cnót szlacheckich, zastał egoizm, upadek moralny i głupotę, i dopiero na widok Macieja wypogodził twarz, a zbliżywszy się do niego zapytał:

— No jakże? list gotów?

Maciej oddał mu go do ręki. Ksiądz rzuciwszy okiem na adres, zatrzymał się, a potém ze łzami w oczach pochwycił Macieja za ręce, pociągnął ku sobie i uścisnął. Maciéj był w osłupieniu.

— No, nie wiesz co to znaczy mój przyjacielu—rzekł ksiądz po chwili—ja jestem Jan Koziński, syn twojego majstra. Niech ci Pan Bóg wynagrodzi za twoje przywiązanie.

— Jakto? Ksiądz Jan? syn mojego majstra? wychowaniec pana Onufrego?

— Ten sam, ten sam. Słyszałeś pewnie nieraz o mnie?

— A jakże, i to nie było dnia jednego, a i u pana Onufrego zawsze, i panna Maryanna, czy tam pani Koniecka ciągle wspominała, że téż to ksiądz ani się pokaże w Krakowie.

Maciej tak był uradowany, że nie mógł oderwać oczu od księdza, a na pytania mu zadawane odpowiadał ni w pięć ni w dziewięć, aż naraz przyszło mu coś do myśli i mocno się zafrasował.

— Wié ksiądz Jan, że to źle się stało z tą moją poradą. Że téż to ja nie powiedziałem zaraz z początku że mojemu majstrowi Koziński!

— Mój przyjacielu, nic złego się nie stało. Tę samą radę jaką ci dał ksiądz, powtórzy ją raz jeszcze syn twojego majstra. Raz powziętego zamiaru nie zmieniaj. Dziś na noc wszakże jesteś moim gościem, musisz mi wszystko opowiedzieć co tylko wiesz o rodzicach moich, o mojéj siostrze, o panu Onufrym, o Krakowie, bo teraz nie mogę się z tobą długo zabawić, czas już na

nieszpory, a po nabożeństwie idź zaraz do dworu, dziedzic ma ci jakąś nastręczyć robotę, może się podejmiesz, tobyśmy i dłużéj mogli się z sobą nagadać.

Maciéj począł się skrobać w głowę.

— Czy mi masz jeszcze co powiedzieć?

— Ej, bo to widzi ksiądz Jan — rzekł krawczyk nieśmiało dobywając węzełek jakiś z kieszeni — ja sobie rachowałem że w drodze więcéj wychodzi, a to nieprawda, za kilka groszy można żyć dzień cały. A do tego może mi dadzą jaką robotę we dworze, to mi już i tyle nie będzie potrzeba, a możeby te kilka złotych dołożyć do listu; jak wrócę do Krakowa, to się tam z majstrem obliczę.

— Nie, mój Macieju — rzekł wzruszony Wikary — ofiara twoja chwalebna, ganić jéj nie mogę, ale zważ sam, czybyś wtedy kiedy listownie majstra swego przepraszasz, nieupokorzył go zarazem tym darem, choć go chcesz pokryć inną nazwą? Mam nadzieję, że i ja teraz łatwiéj będę mógł dopomódz rodzicom. Od syna przyjmą oni choćby nie wiele, ale od kogo innego, nawet od takiego jak ty przyjaciela, musiałoby im być bardzo dotkliwie. A i mnie wielkąby to sprawiło przykrość, że mię ktoś w obowiązkach moich wyręcza.

Wieczorem wrócił Maciéj ze dworu mocno zmieszany.

— Czy ksiądz dobrodziéj wié, kto jest dziedzic Brzezinki?

— No i któżby? pan Koniecki.

— Stanisław?

— Stanisław. A, wiem co cię tak dziwi. Pewnie to że się tak nazywa. Ale cóż w tém dziwnego? Nazwisko Konieckich nie rzadkie w Polsce, bo mi powiadano, że i żona dziedzica także z domu Koniecka, a Stanisław to bardzo powszechne imię.

— Ale kiedy ja powiadam, że to brat pana Onufrego. Już mię w kościele na mszy uderzyło, żem gdzieś go

widział bardzo dawno; zapytałem potém lokaja jak dziedzic się nazywa, ale on mi się potém w żywe oczy wyparł.

— Jakto? więc go o to zaczepiłeś?

— A oczywiście. Przychodzę do dworu, a on do mnie, czy nie przyjmę u niego służby. Jakto? służby, pytam, kiedy ja czeladnik krawiecki. A on w śmiech i proponuje mi żebym do niego poszedł za lokaja. Mnie to tak zgniewało, żem mu powiedział, że ja siadałem do jednego stołu z jego bratem w Krakowie z panem Onufrym Konieckim.

— Cóż on na to?

— Kazał mi iść do djabła wraz z panem Onufrym. Ja mu téż powiedziałem, że nie znam drogi, bom nie tutejszy.

— Nie należało przywodzić go do gniewu. Było po prostu odmówić ale go nie drażnić. Grzech spada na tego, który się staje powodem gniewu. Widzisz że ci się zdawało że to brat, a przecieby tak o bracie nie gadał.

— A kiedy ja mówię że brat, bo jakem mu powiedział że drogi nie znam, on mi na to: ja ci ją pokażę i wypchnął mię za drzwi. A w przedpokoju lokaj zaczął się ze mnie wyśmiewać, że ja muszę być bardzo dumny kiedy nie chcę takiéj dobréj służby, bo słyszał wszystko pod drzwiami, ale mi był potém wdzięczny, żem nie przyjął miejsca i nie wysadził go ztamtąd. Otóż powiadał mi, że słyszał całą rozmowę po obiedzie między panem Konieckim a dzierżawcą, że u tego dzierżawcy jest siostra pana i Bóg wié nieco. Już to te lokaje, to wszystko wiedzieć muszą.

W poniedziałek rano dwie bryczki pędziły do Kielc. Na jednéj siedział ksiądz i krawczyk, którego wziął z sobą Wikary żeby mu parę mil drogi pieszéj oszczędzić; na drugiéj Koniecki i Chwałkiewicz. Bryczka dziedzica dzielną trójką zaprzężona, wyprzedziła chłopski

zaprząg księży i zajechała przed mały domek za miastem, niby to wiejski niby miastowy.

— Więc to tu mieszkacie? — zapytał Koniecki.

— Cóż robić? dzierżawa mi wyszła, nie znalazłem zaraz innéj, musiałem osiąść pod miastem i najmować grunta pod paszę, bo mi żal było sprzedać cały inwentarz.

— Przygotujże Anielę na moje przybycie, ja każę tymczasem kontrakt napisać, tak jak powiedziałem, na lat dwanaście, tysiąc złotych opuszczam jak sam chciałeś. Aniela niepotrzebna przy kontrakcie. Jak będzie gotów, to ja tu przyjadę po ciebie.

Dzierżawca nisko się skłonił, a Stanisław kazał zawrócić.

Wnętrze domku dzierżawcy składało się z czterech izb przedzielonych sienią. Jedna przeznaczona była na kuchnię, druga za nią była mieszkaniem Chwałkiewicza, na przeciwnéj zaś stronie było siano i słoma, sieczka i owies, a ztamtąd wchodziło się do izby gospodyni, gdzie sypiała Aniela i parę dziewek. Aniela nie wiele się różniła od swoich towarzyszek i służebnic, wyjąwszy, że nie chodziła boso i ubiór jéj był pół wsiowy a pół miejski, to jest, że zamiast kaftanika ściąganego na przodzie, był stanik z takiego samego płócienka jak spódnica, zamiast zaś warkocza w tyle puszczonego, włosy były zebrane na czub głowy. Aniela żyła cała w gospodarstwie. Krowiarnia, kurnik, chlewy wyłącznie ją zajmowały, a nieupatrywała w gospodarstwie środka zarobkowania, lecz czy to krowa czy wieprz, gęś lub kura stanowiły w jéj wyobrażeniach jestestwo żywe przeznaczone dla siebie samego, a człowiek który je chował, był tylko opiekunem tych zwierząt. Z każdém téż cielęciem rozstawała się z boleścią serca, a Chwałkiewicz nie śmiał w jéj obecności przedać sztuki

bydła rzeźnikowi, lecz zawsze ją zwodził, że ją oddał gdzie na folwark.

— Jak przyjdzie żyd co tu był w piątek po siwulę — rzekł Chwałkiewicz do Anieli — to mu powiedz, że jéj wcale nie sprzedam.

— O to dobrze, mój jegomość, mnie téż taki żal było téj krówki, a nawet płakałam, bo mi Magda powiedziała że to rzeźnik, a nie faktor z Brzezinki. Do Brzezinki, tobym ją już dała, bo tam śliczne pastwiska.

— A ty byś chciała mieszkać na folwarku w Brzezince, nieprawdaż?

Aniela uśmiechnęła się i rzekła:

— E, co téż to o tém gadać, taka duża wieś, czy to jegomości stać, żeby ją wziąść w posesyę.

— Prawda że nie, ale Brzezinka dostała się niedawno bliskiemu krewnemu twemu, toby ją może i dał taniéj, żebyś ty o to prosiła.

— Ja? a mój Boże, cóż ja biedna dziewczyna mogę poradzić?

— O i bardzo, ten krewny mi mówił, że gotówby dla mnie i dla ciebie to zrobić, byleby wiedział, że oboje będziem w Brzezince gospodarować.

— A dla czegóżby nie?

— No, moja Anielo, zmienić się wiele może, jakbyś ty poszła za mąż, tobyś się musiała ze mną rozłączyć.

— A to nie pójdę! Wszak jegomość wié, żem odmówiła na rozkaz jegomości temu ekonomowi, a on mi potém powiedział, że jegomość dla tego nie chce mię za mąż wydać, iżby musiał mi oddać pieniądze zostawione na mnie po matce.

— Kto, on gadał? a to... Słuchaj Anielko, nie dla tego nie chciałem cię za niego wydać, że mi szło o jakieś tam pieniądze, lecz że nie chciałem cię wydać za takiego pijaka i nicponia. A przytém wyznam ci Anielko — dołożył Chwałkiewicz jak mógł najczuléj — żeby

mi rozstać się z tobą bardzo było trudno, ja cię tak kocham — i pocałował ją w czoło.

— Wiesz co — dodał po chwili — kiedym ci odmówił jednego, to ci dam drugiego męża. No chcesz?

— A kogo?

— Choćby mnie samego.

Aniela się zapłoniła i zakryła twarz zapaską.

— No, cóż, jak ci się zdaje?

— Jegomość sobie ze mnie żartuje. Jakżebym ja śmiała!

— Cóż w tém dziwnego moja Anielko, ja cię chowałem zawsze w téj myśli, że będę miał z ciebie pociechę i na starość opiekę, że mi się wywdzięczysz za twoje wychowanie, że mi zastąpisz twoją ciotkę a nieboszczkę żonę moją. Zresztą nie jestem ja przecie taki stary, a ten ekonom co się o ciebie zgłaszał, to o dziesięć lat tylko młodszy. Zresztą tak chce familia, nie opieraj się temu. Brat twój będzie tu dziś jeszcze, idź do izby twojéj i ubierz się na jego przyjęcie.

— Mój brat! mój poczciwy Onufry! — zawołała Aniela — przecie że go kiedy w życiu zobaczę.

— Nie Onufry to moja Anielko, lecz Stanisław, starszy brat, którego wcale nie znałaś a przynajmniéj pamiętać nie możesz.

Stanisław był dla uczuć i wspomnień Anieli zupełnie obojętny.

— Słyszałam, że gdzieś daleko ztąd mieszka, pisał mi Onufry, i że się dobrze ożenił.

— A nic więcéj ci niepisał?

— Nic, wszakże ja jegomości daję wszystkie listy od niego do czytania.

— No, dobrze już dobrze. Otóż moja Anielo, ja cię nie zmuszam wcale, ale przynajmniéj powiesz panu Stanisławowi, jak tu zajedzie, że chcesz pójść za mnie, a w takim razie będziemy mogli dostać Brzezinkę

w dzierżawę. Jakby ci się co trafiło, to ja nie będę od tego i łatwiéj mi przyjdzie wtedy dopomódz ci gdy będę na gospodarstwie, aniżeli tutaj, gdzie co Maciek zarobi to Maciek zje. Pamiętajże, że dzierżawa Brzezinki od ciebie tylko zależy, a od Brzezinki zależy i twój los. Na takiéj wsi jak będziesz, to prędzéj zajrzy kto do nas, nawet co porządnego; pogadamy o tem, tylko nie zapomnij, żeby na wszystko przed bratem przystać.

Tym sposobem Chwałkiewicz dostał tanio w dwunastoletnią dzierżawę Brzezinkę. Stanisław kontent, że i wieś puścił, która mu niewiele przynosiła i los siostry zapewnił, odjechał niebawem do siebie w tem przekonaniu, że Onufry wziął całe dziewietnaście tysięcy dla siebie; lecz ponieważ od lat kilku nic do niego nie pisał, więc temi kikunastu tysiącami, tak jak znów teraz dwunastoletnią dzierżawą zbył się z głowy familii swojéj i dał jakoby odczepnego, a sam zajął się cichą a uporczywą walką z familią żoniną, co czychała na pozbawienie go majątku, którego spadek prędzéj czy późniéj otworzyć się musi. Żona bowiem Stanisława była uznaną przez lekarzy za niewyleczoną, a małżeństwo ich było bezpotomne.

Chwałkiewiczowi pozostawało jeszcze dosyć czasu do Ś. Jana, terminu objęcia Brzezinki w dzierżawę, postanowił więc korzystać z niego i wyjechał do Krakowa, uzyskawszy bez najmniejszéj trudności od dobrze już pełnoletniéj wychowanicy swojéj ogólną plenipotencyą do działania w jéj imieniu. Aniela nieprzeczuwała bynajmniéj, że aktem tym podaje broń przeciw własnemu bratu, którego kochała. Chwałkiewicz przybywszy do Krakowa zażądał od Onufrego na mocy plenipotencyi zwrotu połowy summy oddanéj na jego ręce przez Stanisława, a mandantce jego z prawa się należącéj. Onufry wprawdzie niezapierał, że pieniądze otrzymał,

lecz nie miał ich sobie udzielonych dla siebie i siostry; dla kogoby zaś one były, tego powiedzieć nie chce i nie może. Chwałkiewicz wziął to oczywiście za prosty wybieg i wytoczył Onufremu proces. Niemogąc wszakże produkować żadnego tytułu do połowy summy o któréj przeznaczeniu ustne miał tylko zapewnienie ze strony Stanisława, przegrał sprawę. Onufry nie zapierał i w sądach że pieniądze otrzymał, lecz zaprzeczał do nich komubądź prawa własności. Chłapczyński, który wiedział o co rzecz idzie i nawet się wkręcił w zaufanie Chwałkiewicza, mógł był mu wyjaśnić co to za pieniądze, nigdy wszakże nie byłby się dopuścił kroku mogącego skrócić lub przeciąć proces, a tem mniéj tu, gdzie szło o podkopanie dobrego imienia Onufrego, ku któremu nie inną miał zawiść, prócz téj, jaką miewają zwykle ludzie źli do uczciwych.

Wygrana procesu stała się dla Onufrego źródłem niewypowiedzianych zgryzot. Znajomi jego niewątpili bynajmniéj, że on korzystając tylko z braku formalności ukrył pieniądze przed siostrą i oszukał ją, a spokojne sumienie nie wystarczyło tu aby znosić milcząco i cierpliwie wszelkie przycinki przy każdéj sposobności mu czynione. Że dobre imię jego mocno ucierpiało, o tem przekonał się już z tego samego, iż co nigdy dawniéj nie było, żydy nachodziły go w domu z różnemi propozycyami odnoszącemi się do biórowych czynności. Marysia mocno czuła to położenie męża, ale go zagrzewała do cierpliwości, a tem przeczuciem jakie często cechuje kobietę nieznającą nawet świata, odgadła od razu cele Chwałkiewicza i namawiała męża, aby dla dobra saméj Anieli wytrwał przy raz powziętem postanowieniu obrócenia, jak sobie zamierzył, daru brata na rzecz Zosi.

Koledzy Onufrego i nawet jego przełożeni dowiedziawszy się o tym procesie, powzięli szczególny dla Onu-

frego respekt, to jest, przestali uważać go za niezdolnego do ważniejszych czynności a natomiast przyznawali mu pewną zręczność i biegłość spraw, jakiéj nigdy przedtem w referatach jego niedostrzegali. Skutkiem tego zaczęto mu powierzać prace rozleglejsze i mniéj samych tylko formalności wymagające, a taki rodzaj zatrudnienia rozruszał nawet umysł jego jednostajną bezmyślną robotą biórową niekiedy przygnieciony. Nie długo potem Onufry posunięty został na wyższy stopień, a każdy dziwił się tylko, że to dopiero teraz nastąpiło.

VI.

Gruca przekonawszy się, że ani prożbą ani groźbą nie wymoże na Onufrym pieniędzy na Zosię przeznaczonych, nie dbał już o nią i najmniejszéj nie stawił przeszkody, kiedy się dowiedział, że dziecko idzie z domu. Pawłowa zaprowadziła ją więc do mieszkania Onufrych, a Szczepanowa szła za niemi niosąc małe zawiniątko z manatkami wnuczki i ocierając zapłakane oczy. Te parę miesięcy przez które trwały zabiegi Grucy aby uzyskać od Onufrego pieniądze, przyniosły jakoby fundusz zaoszczędzony, z którego pani Koniecka porobić mogła sprawunki na jéj oporządzenie. Ciężka to wprawdzie była chwila rozstania się z dzieckiem dla obu kobiet, a lubo Szczepanowa nie czuła mniéj zapewne od córki swojéj, to przynajmniéj nie tyle hamowała się w boleści co Pawłowa, która z rezygnacyą przyjęła los swój, przekonana będąc, że dobro jéj dziecka tego wymaga.

Pani Koniecka zaprowadziła Zosię na pensyę do *Madame Julie*, która używała reputacyi najdoskonalszéj ochmistrzyni. *Madame Julie* zjawiła się w Krakowie po

powrocie rozbitków napoleońskich z pod Moskwy. Była ona jak sama utrzymywała, wdową po jenerale francuzkim poległym w Rosyi, imienia jego wszakże nie używała, nie chcąc ubliżać pamięci jego. Jako wspólniczka nieszczęść wielkiéj armii znalazła w mieście łaskawe w kilku domach przyjęcie, a lubo maniery jéj były nieco za rubaszne, przebaczano im, raz że była francuzką, a jako taka winna być zawsze wyżéj cenioną, powtóre, że spędziwszy całą młodość swoją w obozie przy boku męża, musiała koniecznie zachwycić nieco obozowych obyczajów. Francuzczyzna jéj nawet nie zbyt czysta, znajdowała usprawiedliwienie w tem, że wielka armia składała się jak wiadomo z ludzi wszelkiego narodu, więc młoda osoba z łatwością przejęła niektóre wyrażenia, których rodowitéj polce mówiącéj po francuzku użyć niewolno. Wprawdzie przejeżdżała późniéj przez Kraków jakaś awanturnica, która dała się słyszeć, iż zna Julią doskonale, gdyż obie były markietankami w obozie francuzkim, nikt temu jednak wiary dać niechciał, a nawet pani jenerałowa tyle już wówczas znalazła protekcyi, że francuzicę intrygantkę za potwarz wydalono z Krakowa. Wtedy pani Julia nieograniczone w salonach panowanie objęła we wszystkich rzeczach mody i edukacyi tyczących się i pensya jéj miała z czasem tak imię utrwalone, że go nic już zachwiać potem nie mogło.

Pani Koniecka przedstawiła Zosię jako sierotę z dalekich stron daną sobie przez krewnych w opiekę. Grucowa żegnając się z córką upominała ją, by u Madamy ani słówka nie pisnęła nigdy o szynku „pod beczką“; znała ona bowiem o tyle świata, będąc sama niegdyś dwórką, że chcąc wstąpić na wyższy szczebel społeczeństwa, niedość otrzepać pył z nóg swoich, któryby zdradzał po jakim gruncie się chodziło, ale nawet z wspomnieniami przeszłości zerwać zupełnie należy, inaczéj

zawsze uważać tam będą nowego przybysza za intruza. Nakaz ten nie był dla Zosi tak dalece do dopilnowania trudny, jakby się tego po dziecku w jéj wieku spodziewać należało; nauczyła się już ona dawno w domu matczynym skrytości, udawania i wybiegów, któremi się przed Grucą broniła i używała ich nawet nieraz dość zręcznie w obronie matki i babki przed tyranizującym je szynkarzem; widziała również jak matka i babka nigdy z nim otwarcie nie postępowały. Państwo Konieccy przyjęli milcząco na siebie część tego kłamstwa przez wzgląd na jego konieczność, by zapewnić szczęście Zosi i upatrywali jedyny w tem sposób usunięcia dziecka raz na zawsze z pod wpływu matczynego, który zdawał im się być przeszkodą do należytego wychowania dziewczyny. Nie szło tu wreszcie o wyraźne zaparcie się matki, ale tylko o milczenie.

Zosia miała metrykę wydaną na imię Zofii Wojtasionki po matce swojéj Katarzynie Wojtasionce, lecz *Madame* wyraźnie oświadczyła przyjmując ją, że nazwiska tego używać nie może, że nawet z takiem nazwiskiem przyjąćby jéj niemogła bez skompromitowania siebie i swojego zakładu. Pani Koniecka i na to chętnie przystała w dalszéj konsekwencyi raz powziętego zamiaru odłączenia Zosi od stosunków z domem matczynym. Nie zachodziła w tem zresztą najmniejsza trudność, bo Zosia, jak to się często zdarza między dziećmi jéj stanu, nazwiska swego nie znała. *Madame* dodała jéj tylko na pensyi drugie niby imię, mające jéj zastąpić nazwisko, a kiedy Zosia nauczyła się pisać, podpisywała się zawsze na zeszytach szkolnych: *Sophie Albertine.*

— To dziewczyna z wielkiego domu — rzekła *Madame* do swoich uczennic, kiedy je zawiadomiła o przybyciu nowéj koleżanki — pochodzi ona podobno z Litwy czy też z Ukrainy. Losem jéj zajmuje się tymczasowo

plenipotent jéj dziadka, pewien tutejszy urzędnik. Ale to okropna historya, opowiem ją, lecz pod wielkim sekretem. Wiadomo wam, że się ona zowie *Sophie Albertine*, przyjdzie jednak czas, że będzie mogła odkryć prawdziwe swoje nazwisko, ale teraz jeszcze niebezpiecznie. W matce jéj kochał się pewien szlachcic, lecz ojciec zmusił ją że poszła za wielkiego pana. O szlachcicu nie było długo słychać, aż naraz zjawia się na czele bandy rozbójników, napada zamek swojego rywala, morduje go, żonę jego uprowadza, a zamek podpalić każe, pewnym będąc że Zosia, która wtedy była w kolebce, zginie w płomieniach.

— Ach! to okropne! — zawołały panny chórem.

— Otóż — ciągnęła daléj *Madame Julie* — zbójcy widząc że zamek cały w ogniu, odeszli, a wtedy stary sługa który na rękach swoich wypiastował ojca Zosi, rzuca się w płomienie, wynosi dziecko, oddaje je jednéj wieśniaczce, a sam umiera napół opalony. Dziad Zosi a ojciec jéj matki, poprzysiągłszy zemstę, ściga jéj uwodziciela i szuka córki, którą ten uprowadził w góry i zapewne trzyma dotąd zamkniętą w jakiéj podziemnéj jaskini, lecz dopóki herszt rozbójników nie padnie trupem, Zosia musi się ukrywać w Krakowie. Przeczytam wam coś podobnego w Korsarzu lorda Byrona, którego Wanda Malecka prześlicznie opisała.

— Ach! to musi być bardzo piękne — zawołały panny powtórnie.

— Nie dziwcie się więc — mówiła daléj *Madame* — że Zosia chowana przez kilka lat u wieśniaczki, ma takie ordynarne maniery. Za staraniem mojem pozbędzie się ich wkrótce. Tylko jéj nigdy nie mówcie o tem com wam pod sekretem opowiedziała; należy zawsze uszanować nieszczęście.

Pensyonarki struchlałe na ten okropny opis przygód, dały sobie słowo być uprzejmemi dla ofiary prześlado-

wania, spoglądały na Zosię z litością i chętnie pomagały jéj w nauce. W kilka dni, wszystkie matki w Krakowie wiedziały, że na pensyi u *Madame Julie* znajduje się jakaś księżniczka z dalekich stron, żywy obraz „Kopciuszka,“ który właśnie na ówczas rozczulał publiczność teatralną.

Pod wpływem takiego wychowania, pojętna i przebiegła córka szynkarki „z pod beczki“ nabyła szybko powierzchownéj ogłady: nauczyła się gadać po francusku, brząkać na klawikorcie, śpiewać kilka aryj z operetek, obracać się w koło w takt muzyki, kłaniać się na tempo, siedzieć prosto i układnie, chodzić z niechcenia; w dalszym zaś ciągu edukacyi wiedziała kiedy spuszczać oczy a kiedy je zuchwale podnosić, kiedy się uśmiechnąć i jak się uśmiechnąć, jaki winien być najwłaściwszy wyraz twarzy na znak rozczulenia lub surowości, jaki układ ciała nadać sobie trzeba kiedy się chce okazać lekkość, a jaki kiedy powagę, słowem, częścią wprawą i naśladowaniem, częścią zaś przez wrodzoną przenikliwość, Zosia skupiła w sobie wszystkie te przymioty, jakie na pierwszy rzut oka cechują pannę „skończoną“ i „dobrze wychowaną.“

Onufry rzadko kiedy miał sposobność widzenia swojéj wychowanki, która jeśli wychodziła, to nigdy sama lecz zawsze w towarzystwie grona koleżanek swoich; żona zaś jego wolała iść do *Madame* kiedy miała do Zosi jaką potrzebę, niż ciągnąć ją do siebie do domu, bo za Zosią trzeba było posyłać służącą, a pani Koniecka jedną tylko trzymała sługę, a przytem nie życzyła sobie aby się Zosia spotkała z matką lub babką. Onufry zanosił regularnie do *Madame* umówioną płacę i przy téj sposobności chciał się niekiedy przekonać jak daleko wychowanka jego w naukach postąpiła, lecz że w francuszczyźnie nie był mocny, a *Madame* utrzymywała, że wszystkie nauki, nie wyjmując pierwszych zasad religii,

wykładają się wyłącznie po francusku, więc ile razy przyszło do podobnego egzaminu, *Madame* usiłowała skompromitować tylko opiekuna. Pani Koniecka wierzyła ślepo w mądrość nauczycielki i tylko bolała nad tem, że sama tak dalece zaniedbaną była, iż oprócz czytania, pisania i katechizmu, tudzież robót kobiecych, wszystko inne było jéj całkiem obce.

Dom Grucy osierocony z dziecka smutniejszy jeszcze przedstawiał obraz, a lubo już nie tak często jak dawniéj słyszano w nim hałasy szynkarza i szlochania jego żony i jéj matki, wszelako mylnie wnosili z tego ciekawi sąsiedzi, że szczęście zawitało w ten dom po wydaleniu z niego téj, która w oczach świata uważaną była za główny powód niepokoju. Sąsiedzi wszakże nie widzieli cichych łez Grucowej, która je zarówno taiła przed mężem i przed matką, a kiedy ją ujrzano z zaczerwienionemi oczami, zawsze się żaliła, że kuchnia dymi; nie rozumieli także smutku Szczepanowej, a milczenie jéj i zżółkłe lica przypisywali znużeniu przy pracy i starości, która u jednych objawia się stopniowo, drugich zaś nagle niekiedy zaskoczy i twarz gładką w ciągu kilku miesięcy okryje zmarszczkami, jakby wynagradzając sobie naraz zbyt długie czekanie. Gruca sam jeden nie zmienił się bynajmniéj. Zajęty od świtu do późnego wieczora, pracował z taką gorliwością niepohamowaną, jak gdyby miał żyć wiecznie. Podczas częstéj jego w domu nieobecności Szczepanowa wymykała się cichaczem i wystawała naprzeciwko okien pensyonatu w którym była Zosia, póty nieodchodząc, póki jaki przypadek nie sprowadził Zosi do okna. Wtenczas szynkarka wracała do domu uradowana, rozpowiadała córce o Zosi i przez cały dzień następny była znacznie rozmowniejszą z gośćmi.

— Czego ta baba tu wciąż wystawa naprzeciwko i patrzy w nasze okna? — mawiały panny.

— Czy ona przypadkiem nie jest wysłana od tego przywódzcy zbójców który porwał matkę Albertiny? — odezwała się jedna.

— Czy uważasz jak się radośnie uśmiechnęła ujrzawszy teraz Zosię? — rzekła inna.

— O Boże! żeby tylko nie jakie nowe nieszczęście— zawołała trzecia.

— Zosiu? co tobie? tyś tak zbladła? czy ty znasz tę kobietę co teraz odchodzi?

— Ja... nie, nie znam.

— Założyłabym się o podwieczorek, że ona ją musiała kiedyś już widzieć — szepnęła jedna z pensyonarek do swojéj sąsiadki.

— A to dla czego?

— Widziałam jak się wzdrygła, a potem nagle się zmieniła.

— Przeczucie może, przeczucie.

— Jak mamę kocham, tak powiem *á madame*, że rozmawiacie po polsku.

— Dobrze, dobrze, panno Adelo, mów sobie co ci się podoba, kiedy ty sama gadasz po polsku.

— *Moi, c'est autre chose, je voulais seulement vous faire observer....*

— *Bien, bien, il ne faut pas être si exigeante quand on n'est pas sans reproche.*

— *Ah! c'en est trop.*

— *Mesdemoiselles, silence! Madame vient d'entrer.*

Kiedy weszła pani Julia, sprawa wytoczyła się przed nią, lecz nie o polszczyznę i francuszczyznę, ale o Zosię i kobietę z przeciwka. Zosi już nie było w tym pokoju, wyniosła się z niego nagabywana będąc przez swoje koleżanki i zagłębiła się niby w książkę, właściwie zaś chciała ukryć pomieszanie jakie ją ogarnęło na widok babki a którego ukryć nie umiała. Zosia przemyśliwała

jak się ma w podobnych przypadkach na przyszłość zachować.

Wybiedz na ulicę i rzucić się w objęcia babki — dyktowało jéj serce.

Nie zdradzić się, wytrzymać pierwsze napady ciekawych pensyonarek i zachować o ile można obojętność— szeptała pycha.

Jednakże jak cię ta babka kocha, kiedy niczego nie pragnie byle tylko ujrzeć cię w oknie — rzekło serce.

Skompromitujesz się i wystawisz na szyderstwo, a wtedy pożegnaj wszystkie nadzieje i wróć za szynkfas— odpowiedziała pycha.

Twoja matka tęskni za tobą, a choć przystała na rozbrat byle ci szczęśliwszą zapewnić przyszłość, to przecież poświęcenie to wiele ją kosztuje — mówiło znów serce.

Więc i ty ją naśladuj, — rzekła pycha — poświęć téj konieczności twoje uczucia, poskrom je a przynajmniej zmuś do milczenia. Zwycięztwo takie jest zaszczytne, ono cię w twoich własnych oczach podniesie. Zwycięztwo takie nie będzie bez nagrody, a nagrodą tą niczem już niezaprzeczony wstęp w podwoje wielkiego świata. Każ wyobraźni swojéj roztoczyć wspaniały obraz przyszłości.

Zosia podparła główkę i wnet ujrzała w marzeniach swoich obszerny salon błyszczący tysiącem świateł, które się odbijały w zwierciadłach, łamały tęczowemi barwami w szklanych wisiorach świeczników; zalatywała ją stamtąd upajająca woń kwiatów i dźwięki czarującéj muzyki, szelest jedwabnych sukien suwających po woskowanéj posadzce, a wśród tego turkot zajeżdżających powozów i stentorowy głos lokaja meldujący same księżniczki i hrabianki, samych książąt i hrabiów, a daléj szmer pochlebnych słówek szeptających jéj, że jest królową balu, a potem... potem jedno cichsze, miękko a rzewnie tuż przy uchu wyrzeczone słowo tajemniczego zapewne zna-

czenia i siły, czarodziejskiego wpływu, bo za wypowiedzeniem jego dziewczyna się zapłoniła mocno i serce jéj w przyśpieszonych unosiło się przestankach.

— A kiedy ja mówię że to Zosia Wojtasionka!

Na głos ten wzdrygła się Zosia. Znikła sala złocona ze swojem światłem, brylantami i kwiatami, znikły piękne panie i panowie bogaci, a przed Zosią stała Szczepanowa wyciągając ku niéj żylaste ręce swoje.

— O moje najdroższe dziecię! moja kochana Zośka!

Zosia zamiast odpowiedzi zsunęła głowę z ręki i opadła zemdlona na poręcz krzesła. Szczepanowa ujrzawszy ją w takim stanie rozpięła i poczęła trzeźwić, a potem wybiegła z pokoju wołając: — Wody! wody! prędko!

— *Ne faites pas de bétises ma chère*, *tout va bien*, *on ne se doute pas ici, qui est cette femme*—rzekła *Madame.*

— Zosia zakryła twarz rękami i poczęła płakać. Szczepanowa przyniosła szklankę wody, a za nią wcisnęło się kilka panien do pokoju, lecz *Madame Julie* skinieniem ręki kazała im wynieść się na powrót, a obróciwszy się do Szczepanowej, odebrała od niéj szklankę i rzekła:

— Moja kobiecino, zostaw Zosię w spokojności, zbyteczne wzruszenie mogłoby jéj zaszkodzić.

Szczepanowa rzuciła na Zosię okiem politowania i przebąkła półgłosem:

— Już to ja zawsze mówiłam, że te nauki nie wyjdą jéj na zdrowie.

Madame Julie odprowadziła Szczepanowę aż do sieni i tam rzekła do niéj po cichu:

— Zaczekaj tu moja kobieto, wpuszczę cię do mojego pokoju temi drzwiami, tam się rozmówiemy na osobności.

Szczepanowa została w sieni, a pani Julia wróciwszy rzekła do panien:

— To była właśnie owa kobieta u któréj się Zosia przez kilka lat chowała. Bierzcie przykład ze Zosi moje panny, co to jest wdzięczność; a przecięż ta kobieta nie jest ani krewną Zosi, ani jéj nie dała wychowania przyzwoitego jakie tu pobieracie.

— A cóż się dzieje z matką Zosi? — zapytały panny.

— Nie mogę wam dziś nic jeszcze powiedzieć. Możecie iść do pokoju Zosi, lecz nie okazywać jéj, żeście tę kobietę widziały. Nie należy drażnić jéj czułości.

To rzekłszy weszła pani Julia do swego pokoju i zasunąwszy drzwi za sobą wpuściła Szczepanową która czekała w sieni.

— Narobiłaś mi tu wielkiego kłopotu — rzekła pani Julia — po co było wystawać pod kamienicą i zwracać na siebie uwagę moich panien. Jeżeliś chciała widzieć Zosię, to było się wprost do mnie udać. Jak mi powiedziały panny, że jakaś kobieta wystawa na ulicy i ujrzawszy Zosię w oknie daje jéj znaki ręką, wysłałam służącą żeby was do mnie sprowadzić, a wy zamiast tego, wpadliście jak szalona do sali szkolnéj i kiedy panny was wstrzymać chciały, póki ja nie nadejdę, zaczęłaś wołać, że musisz się koniecznie widzieć z Zosią Wojtasionką. Któż widział takie robić hałasy! Moja kobieto, pan Koniecki mi coś natrącał o was i waszéj córce, ale ja nie ciekawa, tylko mi powiedzcie wiele na Zosię rocznie przysyłają, bo to widzicie, ja się zgodziłam tanio, a to i życie teraz droższe i mieszkanie mi podnieśli, nauczycieli i guwernantkę trzeba dobrze płacić, a przytem Zosia rośnie to potrzebuje też coraz więcéj, a pan Koniecki nie chce nic sprawiać i Zosia chodzi gorzéj niż inne panienki i wstyd ją; ani to parasolki ani kapelusika porządnego. Powiadali mi, że wasza córka ma się dobrze, niechże więc pamięta o dziewczynie. To niegodnie tak o niéj zapominać. Dla dobra więc Zosi postanowiłam ani wam ani waszéj cór-

cenie pozwolić ni razu przyjść tu do mojego pokoju, jeżeli nie przyniesiecie z sobą na sprawunki i drobne potrzeby dla Zosi. Wszakże to i w dziecku stygnie przywiązanie, kiedy się tak o niém zapomina.

Po téj nauce odprawiła *Madame* Szczepanową, uzyskawszy od niéj obietnicę, że na jéj ręce składać będą po kilka lub kilkanaście złotych, z czego *Madame* kupować będzie dla Zosi, to co uzna za potrzebne. W rozmowie téj *Madame* wyspowiadała szynkarkę ze wszystkiego co tylko tyczyło się jéj saméj, Pawłowéj i jéj męża, Zosi i obu Konieckich, a potem ją odprawiła, upominając surowo, aby nie ważyła się bez podarunku przychodzić.

Szczepanowa ucieszona widzeniem Zosi, lubo sobie czyniła wyrzuty, że tak nagłem i niespodziewanem wpadnięciem przeraziła ją i nazbyt wzruszyła, wszelako właśnie ujrzała w tem dowód oczywisty przywiązania dziewczyny. Pewna téj miłości nie dbała bynajmniéj o to, czy Gruca wrócił lub nie i co powie nie zastawszy jéj w domu. Grucy wszakże nie bylo jeszcze, lecz żona jego z niecierpliwością wyglądała powrotu matki, niespokojna będąc co się z nią stało, bo Szczepanowa wychodząc z domu na czaty pod okna Zosine, nie mówiła gdzie idzie. Zdziwiła się przeto Pawłowa niezmiernie, kiedy jéj matka opowiedziała swoje widzenie się z Zosią i rozmowę z Madamą, a kiedy oznajmiła o warunku pod jakim dozwolono jéj przystępu do dziecka, Pawłowa zastanowiła się nieco jakby szukała w umyśle jakim sposobem ma mu zadosyć uczynić i oznajmiła matce, że za pierwszą nieobecnością męża pójdzie odwiedzić córkę.

Odwiedziny matki i córki odbywały się odtąd na przemian co tydzień lub co parę tygodni jak się zdarzyła pora. Trzeba się im było strzedz nie tylko Grucy ale

i Chłapczyńskiego którego zawsze miały w podejrzeniu, że je szpieguje.

Zdarzało się wszakże, że *Madame* otrzymawszy od któréj z nich datek przeznaczony na drobne sprawunki Zosi, wracała z oznajmieniem, że Zosia jest właśnie przy lekcyi i nie może przybyć, albo też Zosia sama wbiegłszy zawołana przez *Madame*, powitała matkę lub babkę z niechcenia i spiesznie wynosiła się, nie mając chwili wolnéj od nauk. Dziwne to były obu kobietom te coraz rzadsze z Zosią rozmowy, lecz jedna przed drugą taiły to spostrzeżenie, każda sądząc, że to tylko jéj tak się zdarza.

— Cieszy mię moje dziecko że szlachetne uczucia biorą u ciebie górę — rzekła pewnego razu do Zosi pani Julia — los nieszczęśliwy chciał, że matka twoja z gminu pochodzi, bo ojciec twój, mogę ci to Zosiu powiedzieć, bo już nie jesteś więcéj dzieckiem, starożytnego jest rodu. To też krew która w żyłach twych płynie nie dozwala ci zniżać się nigdy, a jeżeli cię boli stan twojéj matki, jakże byłoby okropnie podzielać go! Myśl ta zapewne cię przeraża, ale nie lękaj się: z twoją pięknością i edukacyą możesz zawsze świetnego spodziewać się losu; pamiętaj, żeś mnie winna wszystko. Ja cię dobrze pojmuję, ciebie przeraża widok téj staréj kobiety która się babką twoją być mieni, i z matką twoją nie możesz także wymieniać idei; *elle est si grossière! Pauvre enfant, venez sur mon coeur qui seul te comprend.*

Wycieczki Pawłowéj i Szczepanowéj do Zosi nie mogły zostać długo tajemnicą dla Grucy. Zaszedłszy raz drogę żonie, zagnał napowrót do domu, wyprowadził jak najściślejszą indagacyę, zrewidował kieszenie, a znalazłszy kilka złotych, zbił ją, mówiąc że go okrada i pod najsurowszą karą zabronił chodzić do *Madame*. Szczepanowa cichuteńko się sprawiła tym razem i nie

ujęła się za córką, jakby lękając się, żeby i na nią koléj nie przyszła, bo się poczuwała do winy. Gruca się zaklął, iż jeśli jeszcze raz stanie się co podobnego, to zrobi awanturę na pensyi i zmusi Madam do oddalenia z domu Zośki.

Pogróżka Grucy nigdy nie była próżną, obie niewiasty ogarnął przeto strach i postanowiły zaprzestać czas jakiś wizyt swoich; żeby jednak i Madame i Zosię przysposobić, wysłały Szmulową z wyjaśnieniem stanu rzeczy. Missya ta bardzo przypadała do smaku pani Julii, bo postanowiła za jéj pośrednictwem załatwiać najważniejszą stronę odwiedzin obu kobiet, a przytem uniknęła ich bywania nazbyt częstego, a które, z czasem mogło się stać kompromitującem. Szmulowa chętnie za małem wynagrodzeniem podjęła się posyłek, zwłaszcza, że ani jednéj ani drugiéj stronie nie zdawała rachunków. Była to także z jéj strony mała na Grucy zemsta, wyciągając od żony jego i jéj matki ile się dało, a zemsta tem milsza, iż zarazem bardzo zyskowna. Ubytek parę złotych dziennie nie dał się czuć w tak dużem gospodarstwie jak Grucy, wszelako Chłapczyński na przekor szynkarzowi utrzymywał, że kiedy zaczęto raz wynosić pieniądze z domu, to już tego nie zaniechają nigdy; w miarę tylko przeszkód będą ostrożniejsze.

— Oho! wiem ja na co ty godzisz bratku; chciałbyś mi wpakować na kark tę szynkarkę z Kleparza, do któréj się umizgasz. Dopierobyście mnie oboje darli.

— Ja, ciebie? największegop rzyjaciela od serca! Pawełku, ty mię spotwarzasz. Rób co ci się podoba, ja nie mam w tem najmniejszego interesu, chciałem cię tylko przekonać że cię kradną.

— A skąd wiesz o tem?

— Skąd wiem? bo znam ludzi. Mój kochany, czy to ja mało nasłuchał się spraw kryminalnych? dawniéj to codziennie bywałem za assydenta, czy za tego czy za

owego znajomego, wszakże i cały przeszły miesiąc chodziłem za ciebie, a wtedy pewnie w najlepsze gospodarowano u ciebie, bo myszy nie czuły kota w domu.

— No to cóż? jakem raz złapał i dał pamiątkę mojéj, to ani ona ani stara kroku z domu nie ruszyły.

— A ja ci mówię, że cię kradną, i jeżeli nie tym to innym sposobem z domu wynoszą. Mówiłem ci że nie na próżno chodziłem na assydenta tak jak wielu innych co drzymią podczas indagacyi. Uważałem zawsze, że jak kto raz się ośmieli, to potem choćby go i karano nie potrafi się wstrzymać. Kara nie kładzie tamy, lecz uczy tylko przezorności. Weźno złodzieja kiedy go pierwszy raz złapią, to taki głupi, jak nie obrażając cię, twoja żona; ale spróbuj ty drugi raz żonę twoją złapać na pieniądzach, zobaczysz, że już kręcić będzie. Wierzysz czy nie?

— Kiedy to z ciebie szatan kusiciel!

— No załóż się!

— A o co?

— Dasz mi pół garnca wódki gdańskiéj, a jak przegram, nazwiesz mię łajdakiem.

— Oho! bracie, zakład nierówny.

— Jakto nierówny? a czyż to mój honor nie wart pół garnca wódki?

— Jabym za niego półkwaterka nie dał.

— Pawle, ubliżasz mi — rzekł prawnik z powagą.

— No, niech cię djabli porwą, przyjmuję zakład. Nie idzie mi o nic, tylko żebym się przekonał.

Uderzyli w dłonie na znak zapadłéj ugody i rozeszli się.

Chłapczyński nie zaspał sprawy, lecz natychmiast udał się do *Madame Julie* i zażądał widzieć się z nią w nagłym interesie.

— Ach pani — rzekł do wchodzącéj — przybywam tu w bardzo delikatnym interesie od matki panny Zofii.

Ona sama przyjść tu nie może, bo mąż jéj człowiek jak pani wiadomo bardzo ordynarny, wzbrania jéj nie tylko widywać się z córką, lecz nawet dosyłać jéj pieniędzy na drobne a nieuniknione potrzeby.

— Ależ panie, to nie może być! od Zosi tak mało płacą, że tylko łaskę robię, iż ją trzymam, a taka panna potrzebuje... Ale któż pan jesteś?

— Chłapczyński, do usług pani, zasłużony urzędnik, licznemi związany stosunkami z familią panny Zofii.

— No to pan musisz wiedzieć zapewne, jaki stan majątku Zosi.

— Wiem, wiem pani dobrze, i właśnie myślę o tém, jaką drogą postarać się o stósowne wynagrodzenie za troskliwą opiekę i wysoką edukacyę...

— Panie, pan mię zawstydzasz pochwałami swemi.

— Oddaję tylko sprawiedliwość zasłużoną. Chciałbym wszakże wiedzieć, wiele pani żądasz na potrzeby panny Zofii i na wynagrodzenie dla siebie oprócz tego co opiekun płaci; matka jéj bowiem postanowiła przeznaczyć oddzielny na ten cel fundusz. Jest to i bezpieczniéj i dogodniéj dla obu stron, niżeli takie drobne nieregularne przesyłki. Przynajmniéj ja się przy tem upieram.

— Masz pan zupełną słuszność.

— A przytem matka panny Zofii pragnie wiedzieć, wiele pani otrzymała od ostatnich jéj tutaj odwiedzin.

— O, niewiele, nie pamiętam dokładnie.

— Jest w tém wszakże powód bardzo ważny, podejrzenie bowiem pada, że nie dochodziło panią to wszystko, co było jéj przeznaczanem.

— A ja mimo tego dawałam téj żydówce za fatygę... z własnéj kieszeni — zawołała Madame — jedynie przez wzgląd na Zosię.

— Racz pani napisać wiele ta żydówka wszystkiego przyniosła.

— Ale czyż to potrzebne? ja panu powiem. Zaraz, zaraz, przypomnę sobie.

— Nie idzie tu pani o mnie, lecz o matkę Zosiną, którą przekonać pragnę, iż taki rodzaj częściowych przesyłek jest niepewny i kosztowniejszy, niż gdyby największą summę przeznaczyć miesięcznie. Ale mi matka Zosi nie chce wierzyć; gdybym więc powiedział jéj ustnie, mogłaby mię posądzić o zmyślenie lub omyłkę, a ja pragnę dowodnie ją przekonać. Racz pani przeto napisać sama w ten sposób:

Otrzymałam od pani Gruczyńskiéj za pośrednictwem żydówki... Szmulowéj jeśli się nie mylę? wszak prawda?

— Tak jest.

— Za pośrednictwem Szmulowéj złotych tyle a tyle na potrzeby Zosi, od dnia tego i tego, i podpisz się pani.

Uzyskawszy to czego żądał Chłapczyński, wszedł z tryumfującą miną do szynku i zawołał:

— Półgarnca wódki gdańskiéj!

— A gdzież dowód? — spytał Gruca.

— Oto jest! ale co ci z tego przyjdzie kiedy nie umiesz czytać.

— Gruca porwał z chciwością kartkę, wlepił w nią oczy, jak gdyby z tych nieprzystępnych sobie tajemniczych znaków chciał wydobyć myśl w nich leżącą i opuścił ręce; nigdy może tyle co w téj chwili nie czuł on nieuctwa swego, skoro szkody te których nie dostrzegł w kassie, przecięż istnieją dowodnie. Pióro szybszym tu i pewniejszym okazało mu się rachmistrzem, niżeli ta ręka która pieniądz liczyła.

— Czytaj! — rzekł do żony, podając jéj pismo.

Pawłowa odczytawszy głośno pierwsze wyrazy ucichła, zbladła jak ściana i wyjąkała: O ja nieszczęśliwa!

— Czytaj głośno! — zawołał Gruca głosem głuchym

a przecież donośnym, jak gdyby dech był silnym jeszcze, lecz krtań krwią tak nabiegła, iż powietrze z piersi wydobywające się o nabrzękłe jéj ściany uderzało.

Pawłowa wyczytała z cicha — 40 złotych — i siły ją odeszły.

— A Szmulowa wiele zaniosła? to jest, wiele ona znów skradła?

— Wszystkiego było sześćdziesiąt dwa złote — odrzekła żona.

— Dobrze więc, sześćdziesiąt dwa złote w ciągu dni dwudziestu. Więcéj niż tysiąc złotych rocznie! A mnie tysiąca złotych nie płacił Stanisław żem się ożenił z tobą! Nie dbałem o stratę tych 950 złotych rocznie które mi przynosił Onufry, bom się pozbył wraz z niemi i dziecka twego; lecz pieniądz ten to mój własny, przezemnie ciężko zapracowany, pieniądz ten za który chciałem sobie kupić starość niegłodną, który mi zastąpił dziś wszystko co człowieka szczęśliwym zrobić może: miłość żony, przywiązanie dziecka, pokój domowy, poważanie u ludzi... ten pieniądz, ty mi go wydzierasz! Precz z oczu moich! Chłapczyński! wygrałeś zakład, weź sobie pół garnca wódki gdańskiéj. Słuchaj Chłapczyński, jakbyś przegrał, nazwałbym cię łajdakiem. Nieprawdaż?

— Prawda, prawda, mnie szło nie tyle o zakład, co o dobro twoje.

— Tak mówisz? wierzę ci. Chłapczyński! weź sobie cały garniec, aleś ty łajdak!

Chłapczyński przygryzł wargi, lecz postanowił na nic dziś nie zważać.

Pawłowa pierwszy raz w życiu uczuła litość dla męża, litość która będąc uczuciem słodko bolesném tak blisko z miłością graniczy, że jedna odrobina szlachetności w duszy Grucy, jedno słowo przebaczenia z ust jego,

byłyby mogły jeszcze zamienić małżeńskie ich jarzmo na węzeł któremu Bóg błogosławi.

Ale napróżno tego słowa wyglądała, bo kiedy zbliżyła się ku mężowi i rękę jego pochwycić chciała, Gruca uczuł, że nie może darować téj która go ukrzywdziła w tém co miał najdroższego w życiu, i odsunął ją lekko, bo odepchnąć nie miał siły.

Cios ten zachwiał żelaznem jego zdrowiem, lecz wola odniosła jeszcze na czas pewien zwycięstwo nad ciałem. Wyszedł z Chłapczyńskim zostawiwszy żonę w dziwném zdumieniu, z nienawiścią na nowo ożywioną, a po głowie jéj przesuwały się tak straszne myśli, jakie niekiedy przy większéj nieco energii charakteru dają początek zbrodniom. Pawłowa nie była w stanie pojąć, aby stratę tych kilkudziesiąt złotych mógł mąż jéj tak mocno uczuć, bo ona wysokość cyfry tylko oceniała, on oceniał pieniądz w ogóle, jako wyobrażenie jedynéj wartości jaka pod słońcem dla niego istniała. Wprawdzie te kilkanaście złotych które żonie z kieszeni wydobył przytrzymawszy ją idącą do Zosi, nie były i u niego niczém więcéj tylko kilkunastu złotemi, ale systematyczne podkopywanie jego majątku, ale uboczna droga obrana przez nią po surowym zakazie jego, przeraziły go, bo poczuł, że spostrzeżenia Chłapczyńskiego przy indagacyach kryminalnych, były prawdziwe.

Powróciwszy z Chłapczyńskim w godzinę, oznajmił żonie i matce, iż od jutra rana obejmie u niego szynkowanie Jakóbowa z Kleparza, i że jéj mają oddać pod rachunkiem sklep i piwnicę. Pawłowa i matka przyjęły to oznajmienie w milczeniu, tylko spojrzały na Chłapczyńskiego jak gdyby go oczami przebić chciały. Chłapczyński przyjął wdzięcznie ten srogi dla siebie cios, i zacierając ręce rzekł do Pawłowéj:

— Przed oddaniem rachunku proszę o mój gąsiorek goldwasseru.

— Wiesz co Pawle — rzekł zwracając się do niego Chłapczyński — tyleś mię już razy częstował wódką, a jeszcze téż mnie nie zdarzyło się poczęstować ciebie i to we własnym twoim szynku. Do ciebie! — i przychylił usta do butli.

Paweł uśmiechnął się gorzko i lubo zwykle bardzo umiarkowanym był w trunkach, przyjął w ręce gąsiorek i dobrze się z niego zaciągnął, lecz w téj saméj chwili wypadł mu z rąk gąsiorek a krew rzuciła się ustami i nosem.

Przywołano chirurga, który puścił natychmiast dobrą dozę krwi i uratował wcześnie od napadu apoplektycznego. Wszelako choroba Pawła trwała czas jakiś, a wśród niéj żona czyniła około niego starania jakie lekarz nakazywał, ale w usługach jéj nie było nic prócz obowiązku. Była ona podobną do najętéj do chorego kobiety, która żadnego nie pominie przepisu i ściśle przestrzega godziny lekarstwa, ale ręka jéj nie drży nigdy, oczy ani razu nie zabiegły łzami, twarz nie pała rumieńcem trwogi lub nadziei.

Jakóbowa objęła szynk i co tydzień oddawała pieniądze utargowane, które Paweł w oczach swoich przeliczyć żonie kazawszy, spuszczał do skórzanego miecha i ten pod poduszkę chował. Wstawszy z téj ciężkiéj choroby zajmował się na nowo gospodarstwem swojém rozrzuconém, lecz nigdy już do zupełnego nie przyszedł zdrowia. Lekarz kazał mu się szanować, a szczególnie chronić od wszelkich gwałtownych wstrząśnień i zbytecznego zmęczenia, nie ukrywając bynajmniéj, że powtórny attak zabić go może. Paweł stał się o zdrowie swoje tak dbałym i lękliwym, że go aż Chłapczyński wyśmiewał.

— Słuchaj ty stary lisie — rzekł szynkarz do pokątnego pisarza — tybyś już chciał żebym ja nogi wycią-

gnął, bo ci łatwiéj by przyszło w mętnéj wodzie łowić. Muszę ja pomyśleć zawczasu, żeby ci szyki pomieszać.

— Co się tobie stało Pawle, że mi od pewnego czasu nie ufasz; właśnie odkąd cię ostrzegłem i dowód w ręce złożyłem, iż własna żona cię oszukuje.

— O, tyś mi tym dowodem wielką wyrządził przysługę, usunąłeś mi z pod nóg deskę na któréj stałem i odtąd wiszę na powietrzu nie mając gdzie nogi oprzéć i tylko rękami jak mogę chwytam się. Żadnéj podstawy... ha! jak ręce się zmęczą, spadnę i łeb roztrzaskam na bruku. O, co to za życie!

— Masz przyjaciela, który ci za wszystkich obstoi.

— Precz odemnie gadzino!

Po téj rozmowie poznał Chłapczyński że mu nic robić nie pozostaje w téj chwili, jak tylko unikać Pawła póki nie zdarzy się sposobność, gdzie on sam pomocy jego zażąda. Ale sposobność ta jakoś nie nadchodziła; owszem dostrzegł, że Gruca ze starym Kozińskim często przestaje, a potém dowiedział się o przyjeździe księdza Kozińskiego, co go tém mocniéj przeraziło.

Oho! wpadł w ich ręce — pomyślał sobie.

W saméj rzeczy przypadkowe zetknięcie się księdza Jana wikarego z Brzezinki z Grucą, miało ważne następstwa. Zdziwiła się nawet Pawłowa znalazłszy pewną zmianę w postępowaniu męża od tego czasu, a jednego razu nie mogła uszom swoim dowierzać, kiedy jéj rzekł mąż:

— Przyprowadź tu Zosię w niedzielę i zrób lepszy niż zwykle obiad. Dziewczyna musi być już spora; powiedział mi Onufry że anibym jéj poznał.

Przyszła niedziela. Grucowa kazała sobie raz jeszcze rozkaz mężowski powtórzyć, a potém poszła po córkę. Nie chciano jéj wpuścić. *Madame Julie* zagniewana była na nią jak się zdaje. Wróciła wreszcie ale z odpowiedzią odmówną, strawiwszy parę godzin w sieni

nim otrzymała od służącéj rozkaz aby nie wystawała pode drzwiami. Gruca nie rzekł i słowa, lecz za chwilę wyniósł się z domu. W pół godziny potém przywieziono go w dorożce. Żona wybiegła przerażona, otwierają drzwiczki, Gruca był nieżywy.

W domu pani Julii odbyła się scena, która wielki popłoch między pannami zrobiła. Gruca wszedł do sali i zażądał widzieć się z panną Zofią. Zosia ujrzawszy go krzyknęła z przerażenia. Drzwi były otwarte do sali, gdzie wszystkie panny stały gotowe do zwykłéj niedzielnéj przechadzki przedobiedniéj. Gruca nie robił ogródek, oświadczył wręcz pani Julii że jest szynkarzem z „pod beczki“ znanym całemu miastu a mężem matki Zosinéj, a przeto nie ma obawy pozwolić Zosi aby z nim poszła do jego domu, w którym od lat kilku niepostała. Panny zaczęły się chichotać, pytając się naprzód cicho, potém coraz głośniéj, czy ten szynkarz jest dziadkiem mścicielem, czy hersztem rozbójników, czy wreszcie ojcem Zosi zamordowanym w zamku. Śmiechy te i żarciki były jak ukąszenia jadowitego węża dla serca Zosi. W téj chwili spadła ze szczytu marzeń swoich i projektów tak sztucznie ustawionych i cała gwałtowność jéj charakteru wybuchła w nienawiści ku sprawcy wszystkiego jéj nieszczęścia. Uczuła że dziś koniec jéj wychowaniu, że czas zrobić rozbrat z pensyą, przestać być uczennicą — nie miała też nic do oszczędzania i nieoszczędzała nikogo: ani matki, ani Julii, ani Grucy, ani nawet ojca swego którego nie znała i któremu złorzeczyła. Sam Gruca przerażony został znalazłszy w młodéj dziewczynie tyle złości i tyle zawziętości. Chciał ją ugiąć i upokorzyć; chciał w niéj ugiąć wyniosłość stanu która ponad niego wyrosła, upokorzyć niezależność która się wydobyła z pod władzy jego. Pochwycił ją za rękę i zawołał:

— Chodź ze mną! ja ci każę!

— Ty! a ty co masz za prawo do mnie? zawoła Zofia wyszarpnąwszy się z rąk jego.

— Mam prawo jako mąż twojéj matki, mam, dopókiś małoletnia. Ja cię zdepczę i poniżę, obrócę na dziewkę do szynkowni. Dałem się złudzić namowom i chciałem spróbować czy cię potrafię pokochać jak dziecko moje, ale teraz poznaję dla czegom cię zawsze nienawidził. Chodź ze mną! powtarzam ci, bo cię każę sprowadzić do domu przez komornika.

To mówiąc chciał ją powtórnie uchwycić, lecz go odepchnęła z siłą jaką tylko rozpacz daje. Gruca z wściekłością rzucił się raz jeszcze ku niéj, schwycił za rękę że aż krew siną pręgą na niéj zbiegła; lecz w téj saméj chwili zbyteczne wzburzenie krwi ponowiło attak apoplektyczny. Posłano po dorożkę, udano przed domownikami, że jakiś pijany człowiek wpadł i hałasu narobił i sprowadzono go na dół. Nim dorożka przed szynk „pod beczką“ zajechała, już Gruca żyć przestał.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Aleksander Szukiewicz.

PRZEGLĄD PISMIENNICTWA.

Zgasły nasz wieszcz w drugim kursie swojéj literatury Słowiańskiéj, taką robi uwagę o historyźmie w romansach Walter-Skota:

„Metoda upowszechniona przez Walter-Skota narobiła „wiele klęsk w literaturze Słowiańskiéj, i grozi ciężkiem „spustoszeniem. Tego nikt niechce zrozumieć że działającą w nim ideą była pycha, może jeszcze większa, „niż pycha Bajrona. Przyznaje on sobie znajomość do „najgłębszéj skrytości serca wszystkich ludzi, których „wprowadza do swoich romansów i ma pretensyą znać „cały grunt ich charakteru, zgadywać co mogli pomyśleć i zrobić, wymierzyć całą rozciągłość ich duchowego i ziemskiego zawodu. Bierze więc bohatyrów jak „maryonetki, porusza niemi dowolnie, gada za nich i o „nich zawsze tonem wyższego, z niejaką poufałością „bardzo krzywdzącą.“

Bystry sąd wieszcza i professora odsłonił jedyną ułomną stronę tego zadziwiającego talentu, mniéj ważną dla czytelników zachodu dla których zabawy pisał, a głównéj wagi i płodną w następstwa dla Słowian za-

chwyconych nim jak wszyscy, i naśladujących go jak wszyscy.

Z pojawieniem się historycznego romansu zabrali się i nasi pisarze tak w poezyi jak prozie wyprowadzać na widownię drogie narodowi postacie, otoczone pewnym nimbem świętości, których samo imie budziło cześć, a czyny olbrzymiały w mgle tajemniczéj oddalenia. Owóż przez zbliżenie ich ku nam, przez oddanie w rysach pozornéj rzeczywistości, przez analizę ich uczuć i myśli (będących najczęściéj uczuciami i myślami piszącego) nikło wiele uroku, wielkość i znaczenie tradycyjne bohatyra gasło, zostawała najczęściéj lalka poruszająca się i mówiąca, jak jéj ukryty za zasłoną kunsztmistrz mówić lub ruszać się kazał. W miarę jak piszący był tego lub innego politycznego pryncypium, tych lub owych sympatyj i dążeń, taką i jego osoba musiała odgrywać rolę. Po prostu, kreacye dzisiejsze przywłaszczające sobie imie i fizionomię historycznéj figury, dowodziły tylko że autor niebędąc w stanie stworzyć i narysować postaci własną wyobraźnią, uciekał się do tych pomocy jakie znachodził w historyi. Było to zwyczajne nadużycie prawdy, *pycha*, jak Mickiewicz powiada, mająca pretensyę wymierzyć całą rozciągłość duchowego i ziemskiego zawodu historycznych ludzi. W rzeczy saméj jakąż to potrzeba mieć ufność w swojéj wyższości aby wniknąć w tajemne myśli męża stojącego na czele narodu, i wytłumaczyć wszystkie sprężyny poruszające jego krokami! a tymczasem przystępowano do tego niekłopocąc się wcale co na prawdę mógł myśleć, co czuć, jakie mieć posłannictwo od Boga, z czem miał do walczenia wewnątrz i zewnątrz, co pokonał, a co osiągnął, bo to wszystko improwizowało się i rozwiązywało w dyalogu — i niepodobna było inaczéj, kiedy o tem nikt niemógł wiedzieć; jeżeli zaś była historya i pamiętniki służące za punkt oparcia, to najczęściéj nie téj natury co

Wyznania Jana Jakuba Rousseau, a tylko spisujące zewnętrzną stronę wypadków. Wprawdzie z drobnych wzmianek, z jednego słówka, starano się odgadnąć zagadkowe czyny lub charaktery, co zawsze dawało w wypadku wątpliwość, czy zagadka trafnie rozwiązana, lub nie? Koniec końców na fikcyę wkładano maskę prawdy, bo ta precyzya w opisach szczegółowych, ten realizm posunięty do ostatnich granic, ażeby wszystko czytelnikowi uzmysłowić, i tym sposobem wzbudzić w nim wiarę, miały cechę téj prawdy jaka mogłaby płynąć z ust naocznego świadka. Dowodzi to wielkiego artystostwa, ale mija się z poważnym celem historyi, co więcéj, osłabia jéj znaczenie.

Jak dalece szkodliwą rzeczą, nawet w saméj dziedzinie sztuki jest zrywanie się na uświęcone poważną przeszłością postacie, aby je nieudolnem piórem ściągać z miejsc, na których stanęły tradycyą, albo też spoczywały skrystalizowane w malowniczem i trafnem słowie współczesnego historyka lub kronikarza, świeży miałem dowód gdy najprzedniejszemu z naszych dramatycznych pisarzy, raz w potocznéj pogadance, podsunąłem myśl napisania komedyi czysto w duchu staropolskim, z jednego wielce humorystycznego ustępu pamiętników Paska. Poddany pomysł tknął artystę i zaczął zapewne w jego duszy przybierać kształty, ruszać się życiem, wyrastając jak to pasmo Alp nad mgły usuwające się z ich boków — gdy w tém pojawia się komedya, jak raz ułożona z tego ustępu pamiętników.

Przypadek ten dowiódł, że przedmiot musiał obfitować z natury swéj w komiczny i dramatyczny żywioł, kiedy zeń chcieli korzystać pisarze niezostający w żadnym ze sobą stosunku; ale zarazem i tego dowiódł, że jedno dotknięcie się nieszczęśliwe jakiego przedmiotu, czy on będzie ustępem kroniki lub pamiętnika, czy legendą, czy piosnką gminną — jedno dotknięcie się —

powiadam — sprawia ten skutek co na bańce mydlanéj, kiedy bujająca w powietrzu, mieniąca się złotem, szafirem, opalem, rubinem, nagle pęka i ciężka kropla brudu spada na ziemię.

Najcudowniejszy widok, najjenialniejszy pomnik, popsuje ci trywialny cicerone — ty chcesz słuchać głębokiego i cichego głosu wzruszenia, któreby ci dało odpowiedź na zagadkę, a tem samem wytłumaczyło tajemnicę kreacyi — a tu powszednia uwaga przenosi cię w trzeźwy świat najgrubszego materyalizmu. — Zupełnie to samo zdarza się z przedmiotami historycznymi lub też podaniowo gminnymi; jak owoce hesperidów niemożna zrywać je bezkarnie.

Są ludzie, których dotknięcie się bywa nieszczęśliwe — wszystko pod ich ręką usycha i niknie. Dla tego stokroć lepiéj żeby te skarby leżały sobie w stanie natury i czekały na czarodzieja, któryby nowem natchnął je życiem.

Już to nie jeden przedmiot historyczny został zmarnowany odkąd zjawiła się u nas walterskocka szkoła o wiele w tym względzie szkodliwsza niż dawniejsza tak zwana klasyczna; bo choć tamta brała z historyi, niektóre figury i wypadki, ale obrabiała je w sposób tak niewinny, tak niemający na celu nadużycia naszéj wiary, że nikt ją nawet grzechem nie nazwie. Był to zawsze sentyment konwencyonalny; sentencye moralno patryotyczne opieczętowane firmami historycznych imion, i nic więcéj — ducha niefałszowano, bo go wzięto zkąd inąd, nie fałszowano osób i charakterów, bo znano tylko charaktery stereotypowe. Daleko gorzéj działo się kiedy przy pomocy ściślejszych poszukiwań dziejowych, analizy psychologicznéj, archeologicznych nabytków i kolorytu wieku, usiłowano odtworzyć minioną rzeczywistość bez prawdziwego talentu umiejącego stwarzać; bo naraz krzepły całe epoki, i takie z nich pociągało

zimno grobowe, że długo, ludzie prawdziwie kreacyjnego ducha, stronili jak od zaklętéj krainy.

Źle wytłumaczona tajemnica przeszłości schodzi do rzędu gazeciarskiéj plotki; co się zowie po prostu: zepsuć przedmiot.

Takich nieproszonych psotników przeszłości nie mało mamy w naszéj literaturze.

Te kilka uwag mniemałem być potrzebnemi zamierzając powiedzieć, o obrazku historycznym niedawno w Lipsku we dwóch tomach wydanym, pod napisem: *Król wygnaniec*, nie dla tego, żebym tu pił do nieznanego autora, lecz że właśnie umiał on bardzo szczęśliwie uniknąć grzechu w który tylu popadło.

Wprawdzie, ile sobie przypominam korrespondent poznański do Gazety Warszawskiéj wyraził się był z litośnym uśmiechem o tym Królu Wygnańcu twierdząc z góry, że to jakiś powtórny płód: bo to — powiada — ani historya ani powieść; a zatem — naturalny wniosek — kiedy się nie mieści ani w jednéj ani w drugiéj rubryce, musi być godny potępienia.

Smutny to arsenał tych kancellaryjnych rubryk, kratek, metod, teoryjek — bo kiedy się coś takiego zjawi co w kratkę nie włazi, już niema miru.

W tém się widać niegodzimy z kor. poznańskim, bo wyskoczyć z rutyny, pokazać jeśli nie całkiem nowy, to zawsze rozumny sposób potocznego obrabiania dziejów tak, iżby fantazyja nieprzemagała nad tem, co ścisłe źródła dostarczyć mogą, a z drugiéj strony, żeby opowiadanie miało żywszy interes niżli suche zebranie i uporządkowanie faktów i dat — będzie zawsze zasługą godną większych względów, niż korrespondent autorowi Króla Wygnańca wymierzył; tem bardziéj że dość to dziełko przeczytać (co się nie zawsze recenzentom zdarza) aby miłe i budujące odnieść wrażenie. Gdyby nic więcéj nie znaleść w niem tylko zebrane rysy z życia

Maryi Leszczyńskiej na tronie Francyi, tego życia o którem powiedziano: *że nie było pasmem zdarzeń ale jedną modlitwą* — to jużby powinno natchnąć każde szlachetne serce tą piękną dumą, że z krwi naszéj niewiasta jaśniała taką świętością, takim wzorem cnót chrześcijańskich, śród otaczających ją pokus zepsutego dworu. Lekceważenie téj doskonałości idealniejszéj niż wszystkie heroiny romansów, a tak interesującéj jak one, wygląda na anachronizm pod piórem dzisiejszego pisarza; przecież nie żyjemy pod panowaniem przyjaciołek Ludwika XV, ani pod cenzurą kanclerza Miromenil aby *niewolno* nam było rozpisać się nad książką malującą cnoty małżonki Ludwika XV?

Ta uwaga przyszła mi po przeczytaniu Króla Wygnańca, i niepomału zasmuciła; miałażby szkoła francuzkiego romansu tak dalece znarowić umysły, tak je przytępić dla wszystkiego co czyste, co po bożemu piękne doskonałością, że książka pisząca o królu dobroczynnym filozofie, i o córce jego téj nieporównanéj Maryi, zyska tylko pogardliwą wzmiankę w publicznem piśmie?

Nie chcąc o to pomawiać korrespondenta, wolę przypuścić że nie czytał więcéj krom tytułu. Gustaw Planche i téj pracy sobie oszczędza, a dla tego słynie. — Miałem sobie za powinność zrobić tę małą wycieczkę przeciw zdaniom obałamucającym publiczność, z czem skończywszy, przystępuję do bliższego rozpatrzenia się w książce o któréj mowa.

Jest to obrazek historyczny — jak go sam autor mianuje, a zatem nie powieść i nie romans — Obrazek obejmujący peryod 11tu lat życia króla Stanisława (od 1714—1725) lat tęsknego wygnania, niespokojności, cierpień i strat domowych i publicznych, a zawsze piękny przykład jak znosić z godnością upokorzenia prześladowczego losu.

Kiedy uparty Karol XII nie mógł nic wskórać w Turcyi i zabierał się z powrotem do Szwecyi, nie wypadało i Leszczyńskiemu dłużéj zostawać w Benderze — ruszył więc tajemnemi drogi do Xięstwa Dwumostów należącego do korony Szwedzkiej. Mały ten kraik przynoszący 70 tysięcy talarów, przeznaczył mu Karol nie tyle na reprezentacyę godną monarchy, ile na utrzymanie rodziny i kilku wiernych przyjaciół niedoli.

O pół godziny drogi od miasteczka Dwumostów, leży urocze miejsce zwane *Czyflikiem* — tam król wygnaniec obrał sobie rezydencyę. — Opis tego miejsca zdejmował autor z natury i restaurował podług tych szczątków jakie uszły zniszczenia czarnéj bandy w czasach pierwszéj rewolucyi. Tu widzimy zbierającą się rodzinę Leszczyńskiego; żona jego Opalińska, dwie córki Anna i Marya oraz z starą matką z domu Jabłonowską przyjechały ze Szwecyi — znalazło się i kilku dawnych przyjaciół politycznych i domowników, jak jenerał Poniatowski, Wojewodzic Tarło, Urbanowicz, Telembski. — Mała osada polska przynosząca patryarchalizm nasz na ziemię francuzką, rozpoczyna ciche życie domowe podzielone między biednych i cierpiących mieszkańców bipontyńskich, między troski o los kraju, z którego dochodziły smutne wieści, o los dobroczyńcy, Karola XII, ginącego w lat parę na szańcach Fridrichshallu, a zakłócone nieraz zamachami wysłańców Augusta II, zasadzonych na pochwycenie zdetronizowanego króla, drugi raz znowu na otrucie go tytoniem którego nadzwyczaj wiele palił. — Dyplomacya jak widać, nie wiele miała zawsze skrupułów wszystko uważając za dobre, co prowadziło do celu. Najboleśniejszym dla Leszczyńskiego rodziny domowym ciosem była śmierć ich córki Anny, a politycznym śmierć Karola; z tą bowiem tułacz tracił przytułek godny koronowanéj głowy. Księstwo Dwumostów obejmował na siebie falzgraf Gustaw Samuel — położenie

Leszczyńskiego stawało się wielce krytycznem, bo sąsiednia Francya szła wtedy drogą polityki przeciwnej zabiegom hrabi Görtza, tego dzielnego dyplomaty szwedzkiego, który już był bliskim sklejenia nowej koalicyi przeciw Augustowi II. Lecz przyjaźń osobista kardynała Rohana mieszkającego w Sawernie, wyjednała u Filipa Orleańskiego ówczesnego Regenta, że ofiarował wygnanemu królowi na pobyt całą Alzacyę. Wprawdzie Leszczyński nie bardzo dowierzał dobrodziejstwom francuzkim — „zawsze — jak powiada autor — stała mu w myśli zmienność polityki księcia Regenta. Kraj, co mierzy obowiązki ludzkości podług gabinetowych widoków, nie przedstawia tak bardzo bezpiecznego przytułku dla nieszczęśliwych. Człowiek, który cofnął gościnność Jakubowi Stuartowi dla przypodobania się Anglii, niecofnąłżeby ją i Stanisławowi dla przypodobania się jego nieprzyjaciołom?“ —

Koniec końców nie było wyboru i należało przyjąć co ofiarowano. Rodzina Leszczyńskich przeniosła się do Weissenburga, pogranicznej forteczki francuzkiej. Tu się zaczyna prawdziwy a tak zadziwiający epizod w historyi. Córka wygnańca dostaje się na najpierwszy tron w świecie. — Marya idzie za Ludwika XV. Dzieje zapisały prosty fakt — ale zastanowiwszy się nad konkurencyą około stu księżniczek z rodów panujących o zaszczyt dzielenia korony francuzkiej z młodziutkim Ludwikiem, uważać to potrzeba za prawdziwy cud, za łaskę Opatrzności okazaną nad domem wygnańca, że wybraną została cicha Marya. Zdaje się, iż właśnie jej przymioty wpłynęły na wybór; tak ministrowie, jak rozmaite kobiety otaczające regenta, bojąc się aby znaczenia swego na dworze nie uroniły, zgoła wszystko co było interesowane, dało kréskę na Maryę. Choć w zepsuciu po uszy, poznano się na jej wielkiej miłości chrześciańskiej i pokorze ducha — przekonano się że nie

będzie chciała przewodzić w polityce, bo jéj głównie szło o to, aby jak mówiła: *dla korony ziemskiéj nie straciła niebieskiéj.* I w rzeczy saméj Marya, zajęta samemi miłosiernymi uczynkami, nigdy nie mieszała się do polityki—choć to nie pozyskało jéj serca Francuzów, którzy lubią aby ich królowe mieszały się we wszystko, choćby z ich szkodą. Nie był to jednak ów samolubny kwietyzm potakujący złemu. — Richelieu w pamiętnikach tak ją maluje: „Uprzejma w obejściu, dowcipna w rozmowach, posiadała serce niewymownéj dobroci i dla każdego wylane. Ubóstwiana przez ojca, nauczona jego nieszczęściami, odziedziczyła wszystkie jego patryarchalne cnoty; nieprzyjaciołka niepotrzebnych wydatków, trapiła się do rozpaczy każdą klęską publiczną. Francuzów uważała za własne dzieci; dla ich narodu miała jak najwyższy szacunek, wspominając zawsze z uwielbieniem o jego czynach, wojnach i zwyczajach. — Względem męża okazywała się ciągle jako pierwsza poddanka, przemawiając do niego z uni onością i pokorą, kochając go i wielbiąc jakby bóstwo jakie na ziemi.“—

Lubo autor *króla Wygnańca* nieprzedstawił nam Maryi na tronie, ale Maryą będącą jeszcze przedmiotem ubiegań się o jéj rękę takiego margrabiego Badeńskiego, hrabiego d'Estrée, który najbardziéj pozyskał serce dziewicy, następnie księcia de Bourbon, jednakowóż postać jéj niemniéj tu zajmuje i tworzy prawdziwy ustęp romansu. Zakochana w hrabi d'Estrée ulega bez szemrania woli ojcowskiéj, kiedy ten każe jéj zapomnieć o tym związku niegodzącym się z widokami monarchy, co jeszcze nietraci nadziei zasiąść na tym tronie, na który go podniosły wolne głosy narodu.

Wszystko tu jest zgodne z prawdą historyczną; piszący bardzo ostrożnie i sumiennie pozwala sobie wprowadzać rozmowy; a i w tych niepuszcza się na nic ta-

kiego coby nie było usprawiedliwione jakim pamiętnikiem, lub coby fałszowało charakter historyczny człowieka. To ujęcie osób i wypadków w ramy umiarkowania, niemożna bynajmniéj ubóstwem fantazyi tłumaczyć, z którą autor widocznie niechciał mieć do czynienia; natomiast niezmierna szczegółów obfitość, zebranych z dzieł ówczesnych pozwala mu ubarwiać opowiadanie tą pamiętnikową barwą, która zawsze więcéj się ceni, niż zbyt jaskrawy koloryt romansopisów, co pragnąc zbyt wiernie malować czas i ludzi, najczęściéj przesadzą. Do bardzo szczęśliwych ustępów, pokazujących że ta powieść nie jest fraszką służącą li ku rozrywce niezatrudnionych głów, ale czemsić zbliżającem się w formie do pamiętników, z których można się czego nauczyć; jest cała rozmowa króla Stanisława z księciem kardynałem de Rohan, rozmowa osnuta z jednéj strony na wyobrażeniach francuzkich o monarchii tak często spotykanych w pismach statystów owéj epoki i późniejszych, kiedy podług nich sądzą stan wewnętrzny i instytucye naszéj Rzeczpospolitéj; — a z drugiéj, na książce Leszczyńskiego: *Głos wolny, wolność ubezpieczający*, w któréj ten król filozof, (ale filozof w niedoli!) widzi jedyny sposób naprawy swojéj Ojczyzny przez reformy, w duchu jéj instytucyi starożytnych i wkorzenionych w naród, przeprowadzone. Niektóre postrzeżenia kardynała trafnie odgadują przyczynę upadku rzeczpospolitéj: „Polakom zawsze się zdaje, powiada on, że mają tylko do walczenia z Tatarami i Kozakami; do téj tylko potrzeby stosują swoje instytucye, niepomni, że więcéj im grozi postęp moralny cywilizacyi Zachodu niż pograniczna swawola barbarzyństwa. Polska niechce ni dyplomacyi, ni wojska, ni pieniędzy w skarbie, niewiedząc że w dzisiejszych czasach na tych trzech potęgach stoi bezpieczeństwo państwa.“ Powinien był dodać że u nas wysoka idea narodu, nieprzeszła była w ideę

państwa, przez co Rzeczpospolita tworząc dysharmonię w powszechnym koncercie, powinna się albo nagle przeistoczyć, albo zniknąć.— Koniec rozumowań kardynała zamykał się naturalnie tém przysłowiem: *a Deo rex, a rege lex.*

W prawdzie król Stanisław przyznając w wielu punktach słuszność wyłuszczonym zasadom księcia Rohana, przywiódł co do ostatniego punktu świeży przykład zastósowania tego pryncypium w Anglii przez Sztuartów, na czem nienajlepiéj wyszli; gdy przeciwnie dom Hanowerski uszanowawszy swobody narodu, nieujął Anglii ani znaczenia, ani potęgi. „W mojem przekonaniu powiada on, Rzym pod konsulami zwyciężał, upadł pod rządem Cezarów. Królem jestem, mości kardynale, a pod pewnemi warunkami niewyrzekam się ojca mojego maxymy: *malo periculosam libertatem, quam quietum servitum*..... Prawa nasze nie są złe, zła tylko ich exekucya. Przodkowie nasi założyli doskonale fundamenta Rzeczpospolitéj, zasadzając ją *in justo aequilibrio*, między powagą majestatu a władzą praw i prerogatyw narodu. Chcieli aby królowie hamowali wolność, a wolnosć ambicyę królów..... Konstytucya nie tém grzeszy że hołduje wolności, ale że jéj należycie nieubezpiecza. Cała zatem sztuka nie natem zawisła żeby wolność znieść, ale żeby ją obwarować i każdemu przystępną uczynić.— W doskonaleniu państw trzeba za coś liczyć i przyrodzony duch narodu.“—

Również trafną myślą odpiera Leszczyński zarzuty przeciw elekcyi, któréj nie chciałby znosić a tylko zmienić formę. „Trzeba żeby elekcye nie działy się jak dotąd pod gołem niebem, po tatarsku, na koniach, wśród tumultu i wrzawy, ale pod dachem w sposób przystojny, poważny, ludziom polerownym właściwy. Niechby. naprzykład jednego dnia w całem Królestwie, sejmiki, każdy w swoim powiecie, wybierały kandydatów; niech-

by z tych kandydatów, sejm zgromadzony w stolicy wybierał króla, a sama ta forma zasłoni naród od wielkich zawichrzeń i nieporządku. Tym sposobem i dziedziczność tronu przyszłaby z siebie. Z początku byłaby zwyczajem, późniéj prawidłem — Niech kto co chce mówi, Polska ma obyczaje monarchiczne; nie trzeba brać nierządnéj monarchii, za republikę! — Na te wszystkie pomysły do przyszłéj reformy, tak stósownie włożone w usta króla, miał kardynał wyborny argument: — Niegdyś Sobieski przysłał był Ludwikowi XIV na pokaz kilku Ussarzy polskich w całym rynsztunku. Można sobie wyobrazić jakie wrażenie na Paryżanach zrobiły owe skrzydła u ramion, skóry lamparcie, koncerze, proporce, jedném słowem owe kuźnie żelaza na ciele rycerzy. — Cóżby to było żeby który z królów polskich przysłał nam innego rodzaju ciekawość, to jest exemplarz szlachcica obradującego no sejmie, z ową ogoloną głową, w owym azyatyckim stroju, z krzywą szablą u boku. Chciałbym go słyszeć jak wykrzykuje zuchwale: *niepozwalam*! na traktat z Moskwą; *niepozwalam*! na wojnę z Portą; *niepozwalam*! na podatki, a ty Rzeczpospolito leż mi u nóg i błagaj abym ci obradować dozwolił! — Wierz mi królu, na to widowisko biegliby Francuzi z większą ciekawością niż na Fedrę Rasyna, lub Tartiufa Moliera . . . "

Szlachetna dusza Stanisława odbijała się całkiem w tych planach, jakie przed kardynałem rozwinął — były to pełne miłości chrześciańskiéj reformy i widoki — owoc tułackich rozmyślań, lecz do przeprowadzenia trudne, prawie niepodobne przy ówczesnym stanie umysłów rozswawolonych wojnami domowemi, zepsutych przekupstwem różnych kandydatów do tronu. Ostatnie słowa Xięcia Rohana: monarchia, silna monarchia — ta was tylko ocali! — zrzeczcie się wolności na lat 50, byleby postawić rząd mocny i energiczny by krajowi

w Europie jaką taką powagę wyjednać — Utraconą wolność snadno odzyskać, ale utraconą niepodległość bardzo rzadko“ — Słowa te, acz tak pełne politycznego rozumu i zdrowéj praktyki — nie dały się wprawdzie urzeczywistnić z własnego popędu narodu, co nieprzeszkodziło, iż owa dysharmonijna nuta w wielkim europejskim koncercie, musiała zmilknąć. —

Zajmująca ta powieść, napisana stylem niepretensyonalnym, wcale jasnym i gładkim, nie powiem, żeby w niektórych miejscach nie cokolwiek suchym, zostawia po odczytaniu bardzo przyjemne wrażenie: umysł czuje że się wzbogacił i oświecił, serce doznaje nader słodkiéj pociechy przez samo zetknięcie się myślami z taką doskonałością jak Marya.

Przykład wielkiéj cnoty na tronie — to piękniejszy ideał niż wszystkie antyki, aczkolwiek gorąco zalecony przez usta estetycznych kapłanów. —

Kto jest autorem Króla Wygnańca? Niewiadomo — jednak domyślaćby się można przynajmniéj z niektórych miejsc, że je kreśliła ta sama ręka, co Pamiętnik Franciszki Krasińskiéj i Jana Kochanowskiego. —

Obstawać przy tem przypuszczeniu nie myślę — podobieństwo stylu i obrazowanie miejsc i osób, może często być tak łudzące, jak nieraz łudząca bywa fizyonomia widziana z daleka — biegniemy powitać przyjaciela — tymczasem to ktoś nieznajomy . . .

Lucyan Siemieński.

DWA TRAKTATY.

Czytelnicy nie wezmą za złe, jeżeli podobnie jak w zeszłym miesiącu, tak i w tym powołać się wypadnie na artykuł poprzednio w tém piśmie zamieszczony. Nie ma w tém usprawiedliwiania z wypowiedzianych przewidywań, ani téż chęci wykazywania trafności spostrzeżeń, ale po prostu staranie, aby uniknąć o ile być może niepotrzebnych powtarzań, skoro o tym samym pisze się przedmiocie. Jest także owa konieczność pewnego ciągu i związku rozumowań w peryodyczném piśmie, które w końcu winny tworzyć pewną całość i dokładnie oznaczać stanowisko z jakiego się na bieżące wypadki zapatruje.

Owóż w artykule pod napisem „Równowaga europejska i rękojmie pokoju“ w zeszycie lutowym zamieszczonym, główném zadaniem było wykazać, że rękojmij równowagi europejskiéj a zatém i pokoju, skoro ten ostatni od przywrócenia i utrzymania pierwszéj ma zależyć, próżno byłoby szukać w osiągnięciu warunków

znanych pod nazwiskiem czterech punktów; że zaspokojenie postawionych żądań w propozycyach austryackich załatwić mogło chwilowo spór rossyjsko-turecki, zakończyć wojnę, ale nie było w stanie zabezpieczyć nadal równowagi; nakoniec, że bezpieczeństwo takowe polegało głównie na trwałości nadal przymierza Francyi z Anglią. Ogłoszone w bieżącym miesiącu dokumenta potwierdziły to przypuszczenie. W protokółach posiedzeń kongresu paryzkiego widzimy ciągle dwa rzeczone mocarstwa występujące razem i w tych samych sprawach, dążące w jednym kierunku, jakkolwiek nieraz jedno szło daléj niż drugie, popierające się nawzajem we wszystkich prawie kwestyach; widzimy w końcu pełnomocnika angielskiego biorącego inicyatywę w złożeniu podziękowania Cesarzowi Francuzów za udział jaki w doprowadzeniu do skutku dzieła pokoju przyznać mu wypadało. Uznanie to ze strony dumnego Albionu, dla którego zawarty pokój nie przedstawiał zbytnich korzyści, ani którego oczekiwań zadawalniać nie mógł, musi być policzone na karb chęci zachowania przymierza. Jak wielką rolę odgrywała ta chęć, dowiodły także rozprawy w parlamencie, gdzie szczególny nacisk kładziono na ów alians, który nie tylko że podpisaniem traktatu nic na mocy nie stracił, ale przeciwnie, nowe zdobył na przyszłość siły.

Byłoby pozostało wprawdzie zagadką na czém takowe siły polegać mogły i gdzie rękojmię trwałości tego przymierza upatrywać wypada, nawet po ogłoszeniu protokółów; — bo zgodność w widokach mocarstw wojujących mogła się tylko ograniczać do osiągnięcia wytkniętych celów w *ultimatum*, mogła być rzeczywistą w obecnéj chwili a tylko pozorną na przyszłość. Byłoby pozostało zagadką, nawet po ogłoszeniu tekstu traktatu z 30go marca; — bo traktat nie rozwięzywał stanowczo wielu kwestyj, a przynajmniéj wykonanie warunków na pó-

żniéj odkładał. Nakoniec już sama liczba państw podpisujących traktat, ich różne stanowiska i nieraz sprzeczne interesa, pozwalały się domyślać, jak trudną byłaby zgoda w pojedynczych częściach traktatu zawieszonych chwilowo, jak trudny sąd o należytém warunków wykonaniu; a tém samém osłabiały rękojmię traktatu złożoną w solidarności siedmiu państw zarówno w traktacie uprawnionych, i wskazywały wyraźnie potrzebę jakowejś energiczniejszéj i więcéj skupionéj rękojmi dla przywróconéj równowagi europejskiéj opartéj na nowéj podstawie. Mówiono zresztą o różnych innych przymierzach jakie się z łona konferencyj paryzkich wywiązać miały, przewidywano różne kombinacye które nie szły na korzyść trwałości przymierza francuzko-angielskiego. To co pełnomocnicy angielscy głosili w parlamencie, można było uważać za obronę gabinetową, za pokrycie indywidualnych odpowiedzialności.

Wszakże zagadkę tę rozwiązał hr. Clarendon, złożeniem w biórze Izb angielskich traktatu z 15 kwietnia. Rozwiązał ją przynajmniéj co do dalszego istnienia przymierza francuzko-angielskiego. Przymierze to przetrwało podpisanie traktatu z 30 marca, a siły swe czerpie jak dawniéj w przymierzu 2go grudnia, którego traktat z 15 kwietnia między Austryą, Francyą i Anglią zdaje się być następstwem i dalszym ciągiem. Ową ściślejszą i energiczniejszą rękojmię równowagi europejskiéj przywróconéj traktatem z 30go marca, znajdujemy właśnie w traktacie z 15 kwietnia; — ściślejszą, bo między trzema wielkiemi mocarstwami będącemi już podczas wojny w przymierzu; — energiczniejszą, bo wszelkie nadwerężenie traktatu z 30 marca, traktat z 15 kwietnia uważa za *casus belli* i stósowne kroki wojenne lądowe i morskie bezzwłocznie zastrzega. Silniejszéj rękojmi na papierze zapisanéj wystawić sobie niepodobna.

Stąd więc zamiast o jednym traktacie jak się ogólnie

spodziewano, o dwóch traktatach mówić wypada. Jednego bez drugiego ocenić należycie nie można, zwłaszcza, jeżeli się traktatu z 30 marca nie ogranicza jedynie do sporu który wojnę wywołał, ale się go rozciąga do ogólnych widoków polityki europejskiéj. Nie może jednak być zadaniem niniejszéj pracy, aby rzeczony traktat szczegółowo rozbierać. Uczyniły to już dzienniki i broszury, i nie mały tom złożyćby się dało z artykułów i rozpraw w tym względzie napisanych. Zajrzeć tylko można i to bardzo pobieżnie w różne strony z jakich się traktat przedstawia, wytknąć główne i ogólniejsze jego cechy, dające rzeczywiste o jego istocie i duchu wyobrażenie. Z takowego bezstronnego przeglądu wyświeci się może sytuacya polityczna Europy po podpisaniu pokoju, do tyla, aby dalsze wypadki do przeszłych wiązać się dały w pewném loiczném następstwie.

A naprzód, ważną jest bardzo w traktacie z 30 marca strona materyalna, to jest krótki przeciąg czasu jaki trwały obrady. Trzydzieści pięć dni upłynęło od zawiązania konferencyj (25 lutego) aż do podpisania aktu (30 marca), a nawet powiedzieć można, że całe dzieło ukończoném zostało w przeciągu dni piętnastu, bo 10go marca już zaproszono Prusy i wszystkie główne kwestye były załatwione. Pośpiech ten telegrafami wytłumaczyć się nie daje: nigdy nic podobnego w dyplomacyi nie zdarzyło się, wtedy nawet gdy szło o rzeczy nierównie mniejszéj wagi i między mniejszą liczbą państw. Lecz tłumaczą ten wypadek wyrazy hr. Walewskiego, który zaraz na drugiém posiedzeniu zaproponował, aby wszelkie kwestye dłuższego na rozwiązanie szczegółowe wymagające czasu, na późniéj odłożyć, a przystąpić do zawarcia traktatu pokoju „na który czeka Europa“. Pokój zatém był z góry ułożonym: rzeczywiście stanął on wraz z przyjęciem przez Rosyę *ultimatum*. Szło więc przedewszystkiém o skończenie wojny: nadcho-

dząca pora roku wymagała pośpiechu. Warunki na ogólnych podstawach były zakreślone: ułożenie ich i wykonanie do dalszego czasu mogło być odesłane. Zważając na sposób całkiem niezwykły, w jakim przeprowadzano dzieło pokoju; na ów pośpiech, który rzecby można, obradami kierował i nie jedną kwestyę rozstrzygał; na ową zgodę często niespodziewaną, w kwestyach trudnych, zawiłych, zgodę niejako przymusową w obec jak się zdaje postanowienia, aby „nie przedłużać oczekiwań Europy“ — zważając wszystkie te okoliczności towarzyszące samemu układowi traktatu, przychodzi na myśl, że skoro dzieło nie mogło być ukończone, skoro wiele warunków zostawiało w zawieszeniu, przeto też wymagało zapewne i większéj a przynajmniéj odmiennéj niż zwykle rękojmi; że skoro tak działać postanowiono, już przez to samo obmyślono z góry zabezpieczenie traktatu szkicującego tylko niektóre punkta — czyli że myśl traktatu 15 kwietnia towarzyszyła może już układom traktatu z 30 marca, ułatwiała i przyspieszała jego zawarcie.....

Lecz nie wdając się w żadne nazbyt śmiałe domysły, utrzymywać można, że co się tyczy sporu Wschodniego, traktat z 30 marca jedną tylko stanowczo i zupełnie rozwiązał kwestyę, to jest, że rozwiązał ją tak, iż nie może już być o nią nowego sporu bez wyraźnego nadwerężenia istoty traktatu. Wprawdzie, pomogła mu do tego wypadku wojna. Fakta wojenne rozstrzygnęły neutralizacyę morza Czarnego przez zniszczenie floty i zdobycie Sebastopolu. Na téj stanowczéj podstawie wszystko dało się uzupełnić. Rosya nie ma floty na morzu Czarném; nic więc łatwiejszego, jak zapisać, że jéj więcéj mieć nie będzie. Arsenały morskie przeto niepotrzebne; Mikołajew dostarczy statków pomniejszych do utrzymania morskiéj policyi, a liczba ich i wielkość oznaczona w osobnéj między Rosyą a Turcyą umowie.

Konwencya z 13 lipca 1841 co do zamknięcia ciaśnin dla okrętów wojennych potwierdzona, żaden okręt wojenny nie może przebyć Dardanellów ani Bosforu bez osobnego sułtańskiego firmanu, morze Czarne otwarte wyłącznie dla handlu całego świata; nic przeto naturalniejszego, jak że w portach będą ajenci konsularni obcych mocarstw, mający na pieczy interesa handlu a oraz stróżę ścisłego wykonania zapisanych w traktacie warunków co do trzeciego punktu podstaw, na których zawiązały się układy.

Ale wojna nie ułatwiła w ten sposób innych punktów. Zajęcie Księstw Naddunajskich przez Austryę, zatrzymało wojnę z téj strony, a oraz zawiesiło rozstrzygnienie kwestyi tak Księstw jakotéż wolności żeglugi na Dunaju. Kongres paryzki nie miał czasu rozwiązać ich stanowczo. Odesłał sprawy te do komissyi. Komissya wytknie nowe granice w Besarabii, komissya wyrobi plan organizacyi Księstw, w którym ma pogodzić życzenia mieszkańców, dawne ich swobody i przywileje z prawami zwierzchniczemi Sułtana; inna znów komissya ułoży statut wolności żeglugi na Dunaju, stosując zasady uznane w traktacie wiedeńskim co do żeglugi rzecznéj do zasad wolności żeglugi i praw państw nadbrzeżnych; inna nareszcie komissya nieustająca zatrudni się urządzeniem przepisów zachowywanych przy przepływie Dunaju, pilnować będzie aby przeszkody jakich żegluga w tém miejscu doznawała usunięte były na przyszłość, oznaczy taryfę opłat, będzie sobie miała powierzoną policyą itd. itd. Traktat z 30 marca zastrzegł tylko dla nich niektóre prawidła, ale tak ogólowe, że nawet kwestya najważniejsza połączenia Multan i Wołoszczyzny w jedno księstwo mogłaby jeszcze wyjść na wierzch. W takim stanie rzeczy nie jeden spór przewidzieć się daje; wykonanie mogłoby nie zupełnie odpowiedzieć literze traktatu, litera bowiem rozmaicie da się tłumaczyć.

Pozostaje pytanie, do kogo należeć będzie sąd, czy traktat został nadwerężony lub nie? Mająż być na nowo zwołane konferencye wszystkich mocarstw?.... A w razie gdyby nie było wtedy zgody, bo pośpiechu już wtedy nie będzie, a okoliczności zmienić się mogą, któż przewagą swą rozstrzygnie?... I tu nasuwa się jako odpowiedź traktat z 15 kwietnia.

Podobnież i punkt czwarty pozostał jeszcze więcéj nieoznaczony jak pierwszy i drugi. *Hattihumajon* odesłał kwestyę rajasów, czyli wykonanie równouprawnienia Chrześcian poddanych Turcyi z innemi muzułmańskiemi jéj mieszkańcami, w dalszą jeszcze nierównie przyszłość, aniżeli wyznaczenie komissyj kwestye Księstw Naddunajskich i wolności żeglugi na Dunaju. Co do tych ostatnich, traktat z 30 marca wyznaczył termina w przeciągu których winny wykończyć prace, a zarazem miejsce, to jest Paryż, gdzie takowe odesłać należy. W kwestyi rajasów, najważniejszéj, z któréj cały spór się wywiązał, ktoréj mniemane zadość uczynienie posłużyło Rosyi na usprawiedliwienie przed Rosyą i całą Europą przyjęcia niejednego dość przykrego w *ultimatum* warunku, traktat z 30 marca zapisał tylko ważność ogłoszonego *hattihumajonu*, i to jeszcze z zastrzeżeniem, że tem zapisaniem nie przesądza bynajmniéj zupełnéj niepodległości Sułtana w wykonywaniu praw zwierzchniczych i nie przyznaje nikomu władzy mięszania się w wewnętrzne stosunki państwa Ottomańskiego. Z tem oświadczeniem trudno zaprawdę pogodzić opiekę zbiorową mocarstw nad Chrześcianami poddanemi Porty, trudno upatrzeć rękojmi zabezpieczającéj wprowadzenie w życie *hattihumajonu*, a co najtrudniéj, to nieprzeczuwać różnych trudności, ktore pod względem zapewnionych Chrześcijanom swobód nadwerężyć mogą traktat. Że na takowe Rosya czujne będzie miała oko, to pewna, ale któż będzie trybunałem przed którym sprawy podo-

bne wytaczane być mają? Któż osądzi i orzecze granice traktatu co do owego nadwerężenia tak stanowczo wypowiedzianych zapewnień, a tak słabo zapisanych rękojmij?... Brak tychże, tak dalece czuć się daje w traktacie z 30 marca, iż pełnomocnik turecki, szukający bardzo skwapliwie wszelkiej sposobności do powiększenia władzy sułtańskiéj i zastósowania do Porty idei państwa w tem znaczeniu jaka przeważała na konferencyach, pochwycił bardzo zręcznie zapisaną ważność *hattihumajonu*, aby z niéj już wywnioskować zupełną wolność Dywanu w sprawie rajasow. Zdawało mu się, że skoro Europa solidarnie bierze pod opiekę wszystkich Chrześcian państwa Ottomańskiego bez różnicy wyznań, skoro walka dopiero co zakończona miała w zarodzie za powód uroszczenia Rosyi do protektoratu Chrześcian „prawosławnych“, już tém samém i kapitulacye dawniejsze innych państw obowiązywać Turcyę przestały; słowem, że *hattihumajon* stanie za wszystkie rękojmie. Takby się w istocie wydawać mogło z litery traktatu. Ale ogłoszenie *hattu* wystarczyć nie może, a do wykonania tegoż jeszcze daleko. Reformy dopiero zapowiedziane, obiecane — jeszcze nie spełnione. Mogą one podać przedmiot do niejednego sporu: niewykonanie ich może stanowić nadwerężenie traktatu z 30 marca, może więc i traktat z 15 kwietnia znaleść swe zastósowanie, a to tem więcéj, że Francya obstaje przy dawnych kapitularzach, a Austrya również w traktatach Passarowickim, Belgradzkim i Systowskim, zastrzegła także prawa Łaciników. Pierwszy raz wzmiankować tu wypada, że dawne prawa przysługujące tym dwóm mocarstwom w obronie Chrześcian na Wschodzie połączone zostały w jednym traktacie.

Łatwiejsza nierównie sprawa była z owym tajemniczym punktem piątym, którego nader elastyczne granice rozciągać się miały aż do interesów europejskich.

Warunki nim objęte przygotowane także były po części przez wojnę. Zburzony był Bomarsund — żądano aby na wyspach Alandzkich nie odnawiała Rosya fortyfikacyj. Ukończenie wojny samo wskazywało ewakuacyę terrytoryów tureckich, skoro wojska sprzymierzone półwysep Krymski opuszczają. Trudniejszym był przegląd granic Azyatyckich Rosyi, i wytknięcie stanowcze takowych od strony państwa Ottomańskiego. To znów wymagało dłuższego czasu: pośpiech wskazywał oddanie rzeczy całéj staraniom nowéj komissyi, jako jedyny ratunek, aby „Europa na zawarcie pokoju nie czekała“

Oto i cały punkt piąty. Na nim kończy się ściśle biorąc strona Wschodnia traktatu z 30 marca to jest odnosząca się do sporu rosyjsko tureckiego. Są wszakże pytania tekstem traktatu nierozwiązane, a na które odpowiedź jest prawie konieczną, chcąc go nieco gruntowniéj ocenić i pojąć w dalszych następstwach i dążnościach. Czy rzeczywiście pośpiech ten życzeniem Europy był wywołany, lub też czyli go potrzebowały mocarstwa i które? Czemu żądania tyczące się piątego punktu były z jednéj strony tak skromne, a czemu z drugiéj strony to jest od Rosyi tak mało opozycyi? Czy istotnie interesa Europy nie wymagały żadnych więcéj warunków, czy równowaga europejska była już istotnie przywrócona i niepodległość Turcyi zabezpieczona i zapewniona?....

Na te i inne rozliczne pytania które się nastręczają, rzuca pewne światło stanowisko każdego z państw reprezentowanego na konferencyach paryzkich, to jest określone tak, jak się przedstawia z traktatów 30 marca i 15 kwietnia, ogłoszonych dokumentów i rozpraw w Izbach angielskich i turyńskich.

Od samego zawiązku sprawy Wschodniej stanowisko Austryi było przeważne. Miała ona w ręku swojém ciągle jak to mówią klucz sytuacyi. Każde jéj wystąpie-

nie zmieniało postać kwestyi, jeżeli nie plan wojny. Przymierze jéj z Zachodem odosobniło Rosyę: *ultimatum* wreszcie podała Austrya na mocy tego przymierza. Lecz jakkolwiek przeważne było i być musiało stanowisko tego państwa na kongresie paryzkim, towarzyszyła mu jednak pewna odrębność. Od Rosyi poparcia w żadnéj kwestyi spodziewać się Austrya nie mogła. Jako rzeczywista reprezentantka interesów niemieckich spotykała antagonizm Prus. W kwestyach dwóch, dla siebie najważniejszych, to jest Księstw Naddunajskich i wolności żeglugi na Dunaju, polityka nie pozwalała jéj być jednego zdania z jéj przymierzeńcami Francyą i Anglią. Turcya, lubo w kwestyi Księstw Naddunajskich zgadzała się z Austryą i nie chciała połączenia ich w jedną wielką udzielną prowincyę, to z innéj strony nie bardzo przyjaznem spoglądała okiem na korzyści, jakie dla Austryi płynęły z kolei nadanéj całéj sprawie i z wpływu jaki wywierała i nadal wywierać musi. Polityka Austryi wiązała ją do utrzymywania traktatu Wiedeńskiego w jak największéj ścisłości, przy którego zachowaniu nie miały powodu obstawać ani Francya ani Anglia, a przeciw któremu chętnie byłaby wystąpiła Sardynia. W kwestyach jakie ta ostatnia podnosić miała zamiar, Austrya nie tylko musiala jéj być przeciwną, ale nadto tradycyjna jéj polityka i interesa monarchii nie dozwalały zapatrywać się z tego samego stanowiska co Francya i Anglia. Tylko idea państwa w imieniu któréj kongres obradował, mogła zespolić tak różne polityki, widoki, interesa, i doprowadzić zgodę do skończenia wojny i ułożenia równowagi. Pośpiech przypadał na rękę Austryi, bo przybliżał cel kongresu, a oddalał kwestye których nie chciała aby poruszano. Zawieszenie niektórych spraw, odsyłanie takowych do późniejszych komissyj, mogło być dla niej niekorzystnem, gdyby jéj nie było z téj strony zasłaniało przymierze

2go grudnia. Przymierze to, trwające pomimo zebranych konferencyj, zabezpieczało ją również od zbytniego zbliżenia się Rosyi do Francyi, które w widokach na przyszłość mogło się stać niebezpieczeństwem; osłabiało wszelkie usiłowania Piemontu i nakoniec zapewniało korzyści już otrzymane lub w dalszym rozwoju traktatu przedstawić się mogące. Przymierze 2go grudnia przetrwało koleje kongresu, skoro traktat z 15go kwietnia zawartym został po podpisaniu traktatu z 30go marca, a przed nadejściem wszystkich tegoż ratyfikacyj. Nareszcie Austrya życzyła sobie pokoju i dążyć musiała pośpiesznie do zgody, bo dalsza wojna przedstawiała takie ewentualności, na które narażać się wzbraniała jéj rozsądna i przezorna polityka, a pora roku groziła konieczną wojną jeżeliby pokój w krótkim czasie zawartym nie został.

Francya zdobyła w sprawie Wschodniéj takie stanowisko, że pokój zawarty w jakichkolwiek warunkach na zebranym kongresie, musiał być dla niéj korzystny. Korzyści materyalnych nie potrzebowała Francya ani też ich żądała; polityczne korzyści już była otrzymała. Przymierzem z Anglią wyszła z owego fatalnego odosobnienia, z jakiego napróżno wydobyć się starała Restauracya i monarchia Ludwika Filipa. Przewagą wojsk i flot swoich nie tylko utrzymała powagę mocarstwa pierwszego rzędu, ale ją powiększyła, a nadto zniewoliła Anglię do tego przekonania, że wojny bez Francyi prowadzić daléj nie może, przekonanie zaś to dawało jéj głos stanowczy w sprawie pokoju. Zawrzeć go życzyła sobie Francya, bo nie było zdaje się innego sposobu wycofania armij swojch z Krymu. Daléj, zgoda jednomyślna mocarstw, aby w Paryżu odbywały się konferencye, i przymierze 2go grudnia z Austryą, postawiły ją w tem pomyślnem położeniu, iż nie potrzebowała występować przeciw traktatowi Wiedeńskiemu; wszystko bowiem co-

kolwiek w nim drażliwego lub upokarzającego być mogło dla jéj godności, zniweczonem zostało przez uznanie tak zaszczytne jéj obecnéj potęgi ze strony całéj Europy. Utrzymać więc i wzmocnić świetne swoje stanowisko było jéj zadaniem. Utrwalenie przymierza 2go grudnia odpowiadało wybornie temu celowi, zasłaniając ją na wszelki wypadek przed powrotem świętego przymierza. Rola bezinteresowności jaką otwarcie przyjęła, ujmowała Rosyę, któréj zbytecznie osłabiać nie widziała potrzeby, w razie gdyby przymierze z Anglią ustać kiedy miało. Uwzględnienie aż do pewnego stopnia życzeń Sardynii wzmacniało jéj wpływ we Włoszech, a z drugiéj strony przyciągało Austryę. Dodać tu można, że śmiałość inicyatywy dowodziła siły, pewności stanowiska i schlebiała Francyi i Anglii zarazem, gdzie kwestye włoskie są popularne; podobnie jak inicyatywa w zawezwaniu Prus do konferencyi, musiała znaleść echo w Niemczech. Nakoniec, traktat zawarty 15go kwietnia, czynił Francyę jednym z najwyższych rozjemców w sprawach Turcyi, zapewniał przewagę na Wschodzie, a oraz odpowiadał polityce katolickiéj państwa będącego najstarszym synem Kościoła.

Inaczéj rzecz się miała z Anglią, któréj pełnomocnicy oglądać się musieli na wewnątrz i zewnątrz. Wymaganiom narodowym nie dopisywał pokój, zwłaszcza na podstawach kongresu paryzkiego, ale bez udziału Francyi prowadzić wojny daléj nie było sposobu. Interesa Anglii nie były zaspokojone; rokowane zniszczenie floty rosyjskiéj na Baltyku nie przyszło do skutku. Korzyści z zawartego traktatu nie odpowiadały wyłożonym ofiarom. Wojna dwuletnia dowiodła Anglii, że jakkolwiek jest mocarstwem pierwszego rzędu na morzu, przewagę swoją na lądzie utrzymać tylko zdoła za pomocą przymierza. Przymierze też z Francyą oznaczało jéj stanowisko na konferencyach. Zbliżanie się Rosyi do Fran-

cyi musiało ją niepokoić, bo połączenie sił tych dwóch mocarstw, nawet na morzu mogłoby się stać dla niéj groźnem. Przymierze 2 grudnia zasłaniało ją przed podobną ewentualnością, utrwaliła je więc podpisaniem traktatu 15 kwietnia. Dzieliła się wprawdzie tym sposobem wpływem na Wschodzie, o którego monopol zawsze dawniéj walczyła, ale za to starała się rozszerzyć go we Włoszech, podejmując bardzo energicznie projekta Sardynii. Przystąpiła również bardzo chętnie do zmian proponowanych przez Francyę w prawie publicznem morskiem, odstąpiła od prawa wizytowania okrętów w zamian za zniesienie prawa uzbrajania korsarzy. Cios wymierzony był przeciw Ameryce. Wszakże powiedzieć można w ogóle, że siła stanowiska Anglii na kongresie paryzkim polegała głównie na przymierzu jakie ją z Francyą łączyło. W tem przymierzu była przeto granica, któréj Anglia ani w żądaniach ani w uporze przekroczyć nie mogła.

Prusy w całym biegu sporu Wschodniego starały się zachować neutralnie, traktat wszakże tak ważny jak traktat z 30 marca zawartym być nie mógł z ich wyłączeniem bez ubliżenia godności mocarstwu pierwszego rzędu. Prusy jako takie mocarstwo podpisały tak zwaną konwencyę ciaśnin z 13 lipca 1841, zostały przeto zawezwane do konferencyj paryzkich gdy szło o potwierdzenie rzeczonéj ugody. Samo już to zawezwanie odpowiadało stanowisku jakie Prusy zająć mogły na kongresie, całą bowiem dążnością ich polityki w bieżącéj sprawie, było usiłowanie, aby nie sama Austrya reprezentowała interesa Niemiec. Zaspokoił je zapewne całkiem widok, że Bawarya i Wirtemberg mają udział w komissyi o wolności żeglugi na Dunaju. Nie odrzuciły bynajmniéj dyskusyi nad wniesioną przez Francyę kwestyą włoską, jednak zdawało im się słusznie, że proponowane środki sprowadzić muszą skutki

całkiem przeciwne i powiększą złe, miasto je zmniejszyć. Owszem, korzystały z téj dyskusyi bardzo zręcznie, aby postawić i przypomnieć zarazem Europie kwestyę nefszatelską. Potrafiły się utrzymać na zajętem neutralnem stanowisku względem Rosyi i zachowały swą powagę w obec Zachodu. Nie starały się o żadne przymierze, pozostały odosobnione, jakby chcąc Niemcom pokazać, że na sile Związku niemieckiego polegają zupełnie.

Rosya podpisując *ultimatum* kazała się domyślać, że chciała ukończyć wojnę. Czy ją do tego zmuszało jak mówiono wycieńczenie sił państwa, czy nakłaniała polityka, czy też i jedno i drugie — rozbierać nie ma powodu, bo fakt zostaje niezmienny. Lecz obok niego staje drugi, zdaje się równie pewny, a bez którego nietylko stanowisko i postępowanie Rosyi na kongresie paryzkim, ale nawet samo podpisanie przez nią *ultimatum* wytłómaczyć byłoby trudno, to jest, że Rosya przyjmując propozycye austryackie w d. 16 stycznia, postanowiła już była zmienić politykę swoją, jeżeli nie co do ostatecznych jéj celów, to w każdym razie co do środków ku ich osiągnięciu. Być może, i znalazłyby się niejakie dowody na poparcie tego zdania, że zmiana o któréj mowa, była już w myśli jeżeli nie w zamiarze polityki gabinetu rosyjskiego, nawet w roku przeszłym; lecz względy przeważne „rosyjskie“ niepozwalały jéj przyjść do skutku, jakkolwiek podczas konferencyj wiedeńskich byłaby bezsprzecznie większą korzyść dla Rosyi przyniosła. Bez przypuszczenia atoli takowéj zmiany w kierunku a nawet po części i w dążnościach polityki rosyjskiéj na przyszłość, postawione w *ultimatum* warunki nabierają niesłychanéj wagi i są jeżeli tak wyrazić się wolno, za twarde. Podpisać je, było to jednym pociągiem pióra zrzec się polityki Piotra W., wymazać z historyi rosyjskiéj wiekowe usiłowania jego następ-

ców i utracić otrzymane już w tym kierunku ogromne korzyści. Jakiekolwiek Rosya ponieść mogła w téj wojnie ofiary i straty, przewyższała je co do ważności utrata morza Czarnego, ujść Dunaju i protektoratu w Księstwach, nie mówiąc już o innych pomniejszych ustąpieniach. Lecz zdaje się, że następstwa z wywołanego sporu przekonały Rosyę o niepodobieństwie postępowania daléj tą drogą jaką szła od wieku. Różne są sposoby wiodące do tego samego celu. Środki tak zwane cywilizacyjne, jakich używała przeciw Rosyi koalicya, dowiodły swéj wyższości nad temi, których się trzymało zbyt upornie państwo Piotra W. Okoliczności w Europie były mu w téj chwili nieprzyjazne, a państwo zwłaszcza takie jak Rosya, czekać może. Do sukcessyi w polityce można być powołanym choćby nie koniecznie z bronią w ręku, ale prawem jeograficznego położenia i naturalnym wpływem wyższym nad kombinacye polityczne. Człowiek którego Rosya za „chorego“ uważa, nie wyzdrowiał zapewne jéj zdaniem, przez powiększenie liczby lekarzy zajętych przedłużeniem mu życia. Chwila zgonu może zastać Rosyę silniejszą niż kiedy, bozaopatrzoną w zasoby, jakich jéj dostarczyć mogą środki cywilizacyjne, koleje żelazne kapitały, handel, przemysł, słowem reformy, które w swych manifestach ogłasza. Tym sposobem tłumaczy się przyjęcie *ultimatum* i podpisanie traktatu z 30 marca, który, zwłaszcza poparty traktatem z 15 kwietnia wydaje się wprost przeciwny widokom dawnéj polityki rosyjskiéj. To też domysły o zamierzonéj zmianie przebijają się ciągle w konferencyach paryzkich, a stanowisko zajmowane w nich przez Rosyę usprawiedliwia je po większéj części. Stanowisko to zasadzało się na tem, że ogłoszenie *hattihumajonu* czyniło zadość celowi jaki miała w wojnie, ukończyć ją przeto teraz mogła. *Hattihumajon* przewyższał nawet nadzieje Rosyi — dodawali złośliwie

pełnomocnicy rossyjscy, i dla tego zapewne sami jedni nieuznawali zapisania ważności tego aktu w traktacie za dostateczną dla Chrześcian rękojmię. Chcąc ukończyć wojnę, musieli chcieć także zawarcia pokoju i to z pośpiechem, jaki nakazywała pora. Z wielką też uprzejmością i łatwością przykładali rękę do zgody. Rosya podpisawszy raz *ultimatum*, przyjmowała wszystkie płynące z niego jako i z faktów wojennych następstwa. Nie szło jéj ani o arsenały morskie, ani o ilość statków na morzu Czarnem, skoro na niem floty mieć nie mogła; nie chodziło jéj tak wiele o granicę besarabską, skoro już podpisała utratę ujścia Dunaju. Więcéj przykładała wagi do organizacyi Księstw naddunajskich i zapewne w widokach przyszłości popierała połączenie ich w jedną prowincyę, przeciw zdaniu Austryi i Turcyi. Przystała z łatwością na ewakuacyę Karsu, a pilnie strzegła swych posiadłości w Azyi, raz dla wpływu na Wschodzie, drugi raz, aby niedogodzić widokom Anglii. Nieupierała się przy prawie fortyfikowania wysp Alandzkich, czując dobrze, że Francya i Anglia od tego warunku odstąpić nie mogą, a niechcąc z tego powodu zachwiać postanowienia zawarcia pokoju. Flota angielska zebrana w Spithead była ważnym w sprawie baltyckiéj argumentem. Przyjęła więc Rosya ten warunek jako następstwo faktu wojennego zburzenia Bomarsundu, i zapisała to, żądając w protokóle, aby warunek ten przez nią jedynie i mocarstwa wojujące na Baltyku, Francyę i Anglię zawarty, przyłączony był do traktatu. Wszystkie te ustąpienia czyniła Rosya nie w tem znaczeniu, jakoby do nich była zmuszoną, ani też tego po niéj inne mocarstwa żądały. Nie czyniła ich również uznając konieczność, ale skłaniała się do nich, chcąc przywrócić pokój europejski i przychylając się do opinii mocarstw jakoby tego od niéj wymagała równowaga europejska; a wreszcie i z tego powodu, że one odpowiadały części-

wo nowéj polityce jaką u siebie przeprowadzić zamierzała. Popierała też tak zwane cywilizacyjne dążności, ile razy zdarzała się do tego sposobność, i uznając Francyę za reprezentantkę takowych, zbliżała się do niéj, a niepokoiła tem samem Anglię i Austryę. Krom tego, że pierwszéj zdawała się przypisywać zaciętość w wojnie jeżeli jaka była, i projekta większego siebie osłabienia, a do drugiéj miała niechęć z powodu zawiedzionych nadziei jakie pokładała w dawniejszem z nią przymierzu i w pamięci oddanych przysług, które przesadzała — z obu temi państwami interessa jéj były sprzeczne, z Francyą tylko w żadną nie zachodziły kolizyę. Rada też była raczéj aniżeli przeciwna widokom Sardynii, ale ich nie popierała; bo lubo traktat wiedeński z téj strony obchodzić jéj nie mógł, wszelkie atoli nadwerężenie a nawet odwoływanie się do niego groziło jéj niebezpieczeństwem. Miała bowiem Rosya jedną stronę wielce dotkliwą, to jest, tę właśnie przez którą wpływ na Europę środkową i zachodnią wywiera. Tu, *noli me tangere*. Utrzymać wpływ zachodni z poświęceniem nawet w teraźniejszości nieco z wpływu wschodniego, było podobno usiłowaniem Rosyi na konferencyach. Zabezpieczało ją pod tym względem aż do pewnego stopnia podczas wojny przymierze z 2go grudnia: wzgląd ten był zapewne przeważny w przyjęciu *ultimatum*, towarzyszył w kwestyi szwedzkiéj podczas kongresu, a nawet może i traktat 15 kwietnia znajdzie w nim w oczach Rosyi niejakie usprawiedliwienie.

Sardynia była jedynem państwem drugiego rzędu zasiadającem na kongresie paryzkim. Prawo do tego uzyskała śmiałem przystąpieniem do przymierza zachodniego i posłaniem armii do Krymu. Ważną w ocenieniu jéj stanowiska odgrywa rolę chwila tego przystąpienia w styczniu r. 1855. Poparła ona tym sposobem stronę mocarstw sprzymierzonych na zawiązanych właśnie

konferencyach wiedeńskich; dowiodła trafności politycznéj, przewidując że obrady rzeczone nie zostaną pomyślnym uwieńczone skutkiem. Omyliła się jednak w rachubie tak co do wojny, jako też co do przymierza z 2go grudnia. Wojna nie sprowadziła ewentualności jakich sobie po niéj obiecywała; przymierze 2go grudnia zachwiane nieco niepomyślnym wypadkiem konferencyj wiedeńskich, odżyło na nowo i w takiéj sile, że w końcu zdobyło na Rosyi *ultimatum*. Jakkolwiek zaś zawarcie pokoju niekorzystnem było dla Piemontu, to jest dla jego widoków, przeszkodzić temu nie był w stanie. Przyznanie chwilowo prawa dyskutowania spraw europejskich na równi z mocarstwami pierwszego rzędu, nie daje jeszcze siły, a siła tylko liczy w systemacie dzisiejszym równowagi. Pomimo przeto dwóch reprezentantów na konferencyach, Sardynia pozostała co do głosu na nich mocarstwem drugiego rzędu. Nieuzyskała też żadnéj innéj rzeczywistéj korzyści prócz zaszczytu podpisania traktatu z 30 marca. Wpływ jéj jednak był większy aniżeli innego mocarstwa tego samego rzędu, raz z powodu przymierza Francyi i Anglii, powtóre że występowała jako reprezentantka całego półwyspu Włoskiego, nakoniec że przyjęła na siebie rolę opozycyjną przeciw Austryi. Tym trzem okolicznościom zawdzięczała Sardynia, że stanowisko jéj nie było całkiem obojętne, o tyle przynajmniéj, iż Francya wniosła tak zwaną kwestyę włoską na posiedzenie, a Anglia silnie ją poparła. W obec atoli trwającego przymierza 2go grudnia, które głównie stało i stać musiało na zawadzie projektom sardyńskim, inicyatywa Francyi sprowadzić rezultatu nie mogła, a traktat z 15 kwietnia, lubo wyłącznie tyczący się spraw w traktacie z 30 marca zapisanych, zawsze jednak nadzieje Piemontu mocno zapewne osłabił. To też hr. Cavour najlepiéj sam ocenił stanowisko Sardynii mówiąc w Izbach, że przywozi

z Paryża szlachetne życzenia Francyi i Anglii, odnowioną przyjaźń książąt Sabaudzkich z domem Romanowów, i stosunki polityczne z gabinetem wiedeńskim te same, jeżeli nie więcéj jeszcze oddalone.

Stanowisko Turcyi na kongresie paryzkim można w kilku nacechować wyrazach: kandydatura na państwo europejskie z 19go wieku. Przygotował ją był wprawdzie Mahmud II zniesieniem janczarów i Abdul Medżyd usiłowaniami na drodze reform, ale najwięcéj pomogła jéj Rosya wywołując missyą księcia Menszykowa kwestyę o prawa zwierzchnicze Sułtana. Kandydaturę tę nakoniec postawiły mocarstwa sprzymierzone na konferencyach wiedeńskich a zatwierdziły ją na kongresie paryzkim. W traktacie z 30 marca Turcya jako państwo ottomańskie weszła w skład mocarstw europejskich, i w tym już charakterze podpisała ten akt prawa publicznego. Idea państwa taka jaką jest dzisiaj, zcentralizacyą będącą jéj następstwem, dziwnie przypadła jak się zdaje nowemu państwu—dawnéj bowiem Turcyi już nie ma. O islamizmie pełnomocnicy tureccy ani wspomnieli, nadspodziewanie prędko przejęli się nową rolą, i z szczególną zręcznością używając cywilizacyi za narzędzie starali się utrzymać przy prawach przysługujących państwom europejskim. Przebijało to bardzo wyraźnie w dyskusyi nad organizacyą księstw naddunajskich, których połączenia w jedną prowincyę niechcieli; w dyskusyi nad prawami rajasów, gdzie stanowczo oparli się zamieszczeniu *hattihumajonu* w tekst traktatu. Otrzymali to drugie, a wstrzymali pierwsze, bo kongres, aby postępować loicznie, musiał uwzględniać i prawa zwierzchnicze i godność państwa i niezawisłość zarządu wewnętrznego, słowem postępować z Turcyą jako z państwem. Pełnomocnicy tureccy zniewoleni jednak byli przyjąć ów protektorat sześciu mocarstw zaręczający niepodległość i nietykalność państwa ottomańskiego, lu-

bo wnosząc z okazanéj kilkokrotnie przez nich przenikliwości, widzieli zapewne dobrze, jakie im zagraża niebezpieczeństwo. Od protektoratu do podziału droga niedaleka i znana. Ale niebezpieczeństwo zbiorowe zasłaniało ich chwilowo od niebezpieczeństwa, jakie im od pojedynczego mocarstwa zagrażać mogło, a do tego im większa liczba opiekunów tém zgoda trudniejsza. Traktat wprawdzie z 15 kwietnia ścieśnia ten protektorat do trzech i na nich rękojmię ostateczną ogranicza, ale z drugiéj strony utrudnia zgodę ewentualnością wojny, która w położeniu w jakiém teraz jest Turcya, zawsze korzystnie dla bytu jéj wypaść musi. Z rezygnacyą téż prawdziwie wzorową przyjęli pełnomocnicy tureccy i ów protektorat i miejsce przeznaczone w tym składzie mocarstw europejskich do którego ich przypuszczono z oświadczeniem: że istnienie państwa ottomańskiego potrzebném jest dla równowagi europejskiéj. Starali się tylko zdobyć jak najwięcéj praw, jak najwięcéj bezpieczeństwa — na dzisiaj, i oddać im należy wszelką w téj mierze sprawiedliwość. O jutrze myśleć nie mogli: zakrywała je dla nich więcéj jeszcze niż dla innych przyszłości pomroka, a sam protektorat wykluczał wszelkie odrębne przymierze. Turcya zostawszy kosmopolityczném państwem, przestała należeć do siebie saméj — należy do świata.

Z tego aczkolwiek w głównych tylko rysach przedstawionego obrazu stanowisk państw reprezentowanych na kongresie paryzkim, łatwo pojąć, dla czego w traktacie z 30 marca o saméj kwestyi wschodniéj wyłącznie mowa być mogła. W téj tylko sprawie, a nawet w tych tylko może warunkach w jakich ją spór rosyjsko-turecki postawił, i w tych tylko może okolicznościach jakie towarzyszyły obradom kongresu, można przypuścić, aby tak rozmaite i sprzeczne widoki i interesa ku jednemu celowi skierować się dały. W każdéj innéj kwestyi zgo-

da byłaby niemożebną. To téż traktat z 30 marca nie dotknął żadnéj takiéj, któraby się nie wiązała bezpośrednio ze sprawą wschodnią. Za taką bowiem uważać wypada kwestyę, do któréj się odnosi warunek niefortyfikowania nadal wysp Alandzkich. Zbytecznėm byłoby powtarzać i dowodzić, że jak w ciągu bieżącéj sprawy, tak i przy jéj ukończeniu więcéj miano na oku Rosyę niż Turcyę; że więcéj może jeszcze szło o ukrócenie powagi Rosyi niż o zapewnienie niepodległości Porcie; że nakoniec chciano wojną sprowadzić Rosyę do zmienienia dążności swéj polityki, a zawarciem pokoju zabezpieczyć Europę od powrotu podobnych zawikłań jak spór rosyjsko-turecki. Teatrem potęgi Rosyi jako państwa morskiego jest morze Czarne i Baltyk: Bosfor prowadzi do morza Śródziemnego, jak Sund do Oceanu, i pod tym względem położenie Turcyi i państw Skandynawskich w obec polityki rosyjskiéj ma wielkie podobieństwo. Mocarstwom więc zachodnim, sprzymierzonym z Turcyą a wojującym na morzu Czarném i na Baltyku, wypadało koniecznie wzmocnić również państwa Skandynawskie, aby przewadze rosyjskiéj skuteczną położyć tamę. Stanął przeto traktat z 21go listopada r. z. między Szwecyą, Francyą i Anglią, w którym nietykalność pierwszéj zagwarantowaną została równie silnie, jak nietykalność państwa ottomańskiego traktatem z 15go kwietnia. Przymierze z Szwecyą jakkolwiek tylko obronne, nie mało zapewne wpłynęło na przyjęcie *ultimatum* przez Rosyę; z nadchodzącą bowiem porą nowéj na Baltyk wyprawy, łatwo na zaczepne przemienić się mogło. Zawarcie pokoju nie zniosło traktatu 21 listopada; mocarstwa przeto zachodnie musiały w traktacie z 30go marca szukać sposobu zabezpieczenia siebie i Europy przed ewentualnością wojny jakaby wypaść mogła, gdyby Rosya w przyszłości na Baltyku potęgę swoją rozszerzać miała zamiar. Zażądały przeto od Rosyi, aby

nie fortyfikowała więcéj wysp Alandzkich zagrażających Sztokolmowi zbyt bliskiém sąsiedztwem. Wymagał tego traktat z 21go listopada, który stawia *casus belli* w razie, gdyby Rosya nadwerężyła granice Szwecyi, podobnie jak traktat z 15go kwietnia ten sam wypadek zastrzega względem Turcyi.

Kilka tych uwag wystarczy aby dowieść, że artykuły w traktacie z 30 marca tyczące się wysp Alandzkich, lubo na pozór zdają się obcą stawiać kwestyę, ściśle się jednak wiążą ze sprawą wschodnią. Są one zresztą bardzo ważne, mają wielką doniosłość na przyszłość i stanowią główny rys europejskiéj strony traktatu z 30 marca.

Nie ma w nim atoli wzmianki o innych obcych kwestyach, których kilka spór wschodni wywoływać się zdawał. Niektóre z nich widzimy podane do dyskusyi kongresowi, ale z protokółów nie weszły one do traktatu, już dla tego, że zgody co do nich być nie mogło; już dla tego, że jedynym celem zebrania się kongresu miało być ułożenie traktatu pokoju kończącego obecną sprawę wschodnią. Jeżeli tak było, jak to wyraźnie oświadczyli niektórzy pełnomocnicy, to konferencye paryzkie miały sferę bardzo ograniczoną i wiele im brakowało aby stanąć na równi z ich poprzednikiem kongresem wiedeńskim. Zdaje się, że ta dyplomatyczna ich strona nie została dokładnie wyświeconą, że instrukcye gabinetów w téj mierze były różne, lub też stósownie do potrzeby przez pełnomocników używane. To jednak pewna, że kongres paryzki nie chciał sobie przyznawać prawa interwencyi w sprawach europejskich, a gdy wszystkie obce sprawy przed sąd jego wniesione na téj głównie obracały się osi, przeto orzekać o nich wzbraniał się. Wytłumaczyć trudno istotną przyczynę tego postępowania, bo przecież sprawa wschodnia nie była czém innem jak interwencyą na ogromny rozmiar w stosunki

Turcyi i Rosyi, a w skład kongresu wchodziły wszystkie mocarstwa pierwszego rzędu, których wyroki bez żadnego odwołania stanowią dzisiaj prawo publiczne. Lecz bądź jak bądź, traktat z 30 marca z dyplomatycznéj uważany strony, nie zniósł żadnego poprzedniego traktatu, oprócz traktatów między Rosyą a Turcyą, które już samym faktem wojny między temi państwami obowiązywać przestały; potwierdził konwencyą Ciaśnin z 13 lipca 1841 r. i uznał traktat wiedeński stósując zawarte w nim przepisy do organizacyi żeglugi na Dunaju.

Co jednak nie przeszkadza że w prawie publiczném europejskiém ważną zapisał zmianę, przyjmując w skład mocarstw europejskich chrześciańskich muzułmańskie państwo. Przyjęcie to, które nastąpiło równocześnie z poddaniem wszystkich Chrześcian tureckich pod opiekę zbiorową Europy, uderza wprawdzie pewną anomalią, ale najlepiéj cechuje ducha jaki kierował obradami kongresu. Idea państwa była w nim zasadą tak dalece posuniętą, że doszła do granic fikcyi. I potrzeba jéj też nieco było, aby społeczność na islamizmie opartą, a nie mającą innego w Europie prawa jak prawo zdobyczy i prawo mocniejszego wykonywane przez trzy miliony muzułmanów na jedenastu milionach chrześcian, przemienić za pomocą kilku artykułów w traktacie zapisanych, w państwo europejskie. To też jak się z protokółów pokazuje, nie mały był kłopot o wyrażenia jakiemi udzielić wypadało Turcyi tę polityczną inwestyturę. Nie mało wyłożyć trzeba było starań i usiłowań, aby wszelkie reformy nałożone Turcyi przez Europę przybrały taką formę, jakby płynęły z samodzielności lub wspaniałomyślności sułtańskiéj. Dość spojrzeć na dyskusye nad organizacyą ostateczną księstw naddunajskich i nad wykonaniem ogłoszonego *hattihumajonu*, aby się przekonać, jak trudno było pomimo najlepszéj woli, przypisać Turcyi ini-

cyatywę tam, gdzie tylko jest konieczność wykonania obcéj woli; jak trudno pogodzić „państwo“ z „protektoratem“. Lecz kongres dokonać dzieła tego musiał, bo mu za podstawę służyła idea państwa, a w następstwie solidarność interesów europejskich. Tę cechę nosi téż traktat z 30 marca, z dodaniem cechy cywilizacyjnéj, którą dawniéj zwano liberalną, a która się odbija głównie w zmianach powyżéj przytoczonych, jakie tenże w prawie publiczném morskiém zaprowadził. Tu była zgoda, jakkolwiek rzecz nie wypływała bezpośrednio ze sprawy wschodniéj, bo cywilizacya ogólna, niejako kosmopolityczna, odpowiada zupełnie zasadzie wspólności interesów i jéj wymaganiom.

Tak się przedstawia traktat z 30go marca ze strony swojéj społecznéj; pozostaje jeszcze dotknąć strony jego politycznéj czyli równowagi europejskiéj. Tę nierównie więcéj wyświeca traktat z 15 kwietnia aniżeli ogólny traktat pokoju. Pisano, że pełnomocnicy tureccy zadziwić się mieli, gdy powzięli wiadomość o tym odrębnym akcie. Trudno temu uwierzyć, bo z przenikliwością, jakiéj odczytując protokóły posiedzeń, odmówić im nie można, spostrzegli zapewne, że miejsce ich w składzie mocarstw europejskich było podstawą na któréj układała się równowaga. Systemat ten polityczny potrzebował podstawy: za takową służyć mogło tylko państwo, a że go nie było, przeto Turcyę w państwo zamienił. Cóż lepiéj tłomaczy i ów protektorat całéj Europy i zarazem owe odosobnienie w jakiem znajdowało się nowe państwo Ottomańskie? Nie sąż to właśnie warunki w jakich zostawać winno państwo służące za podstawę równowadze? Nie powinnoż ono mieć tyle siły, aby się utrzymać zdołało, a znów nie posiadać jéj dosyć, aby samo przez się cokolwiek rozpocząć było w stanie? Czemuż więc miał dziwić pełnomocników tureckich traktat z 15 kwietnia, wyrokujący stanowczo o nierucho-

mości podstawy europejskiej równowagi, skoro w ciągu układania traktatu z 30 marca tylokrotnie mieli sposobność przekonać się, że nie chodziło o Turcyę jako Turcyę, ale o państwo do równowagi europejskiéj koniecznie potrzebne?....

Z tego stanowiska zapatrując się na traktat 15 kwietnia, jest on nie tylko sankcyą traktatu z 30 marca, bo stawia *casus belli* w miejsce protektoratu, który lubo zapewne był rękojmią, ale nie podawał sposobów do jéj wykonania; jest nie tylko traktatem zaczepnym i odpornym, bo w razie niedotrzymania warunków zapisanych w traktacie pokoju wypowiada wojnę; ale nadto traktat z 15 kwietnia wraz z traktatem szwedzkim z 21 listopada wydają się i słusznie jakoby dwie warownie obie zbrojne, stojące na straży systematu europejskiego z ukończonych zawikłań wynikłego, jedna na Wschodzie druga na Północy.

Zapewnie że niezwykłym to jest wypadkiem w dziejach dyplomacyi aby po zawarciu ogólnego traktatu, niektóre mocarstwa mające w nim udział, zawierały jeszcze traktat odrębny i bez wiedzy reszty państw, nadający warunkom w ogólnym traktacie objętym najwyższą rękojmię polityczną — wojny. Ależ zapominać nie trzeba, że wszystko było niezwykłe w téj sprawie którą zakończył traktat 15 kwietnia. Nie byłże nadzwyczajnym ów stan społeczeństwa europejskiego, stan pokoju i wojny; owa wojna prowadzona równocześnie z układami o pokój; owe konferencye w Wiedniu i w Paryżu gdzie nie było „ani zwycięzców ani zwyciężonych“; ów traktat nareszcie pokoju „dla wszystkich stron równie zaszczytny“? — Cóż więc dziwnego że sankcya tego traktatu wyszła ze zwyczajnych dyplomatycznych kolei, że postawiła *casus belli* którego stawiać ogólnemu traktatowi nie przystało?.... Czyż zresztą święte przymierze nie przetrwało kongresu wiedeńskiego, jak

przymierze z 2go grudnia konferencyj paryzkich? Czy święte przymierze nie zawierało późniéj osobno traktatów i konwencyj, jak uczyniło przymierze z 2go grudnia w traktacie z 15go kwietnia?.... Jest tu więc raczéj różnica co do formy i czasu aniżeli co do istoty rzeczy. *Nil novi sub sole.*

Upatrywać także chciano w rzeczoném przymierzu Austryi, Francyi i Anglii oznakę nieufności dla innych mocarstw, które podpisały traktat pokoju, spuszczając z uwagi, że każdy systemat polityczny postępować musi, rozwijać się w swych zasadach i w następstwach wydoskonalać. Tak téż i z systematem równowagi politycznéj. Przedstawia on się daleko wybitniéj niż dawniéj. W systemacie gdzie siła jest żywiołem i prawem, o bezwzględném zaufaniu mowy być nie może. Nie ma też nieufności, jest tylko ostrożność, wskazująca te środki, jakie do trwałości ustalonéj równowagi najpewniejszą podają rękojmię. Takową podawać się zdają przymierza. Wprawdzie mają one swą niebezpieczną stronę, że łatwo w koalicyę przerodzić się mogą, ale gdy z jednéj strony, doskonałéj równowagi zaprowadzić się nie da, a wspólność interesów solidarnością mocarstw wywołana, wszelką ważniejszą sprawę przed trybunał całéj Europy powołuje, przeto środek utrzymania równowagi za pomocą przymierza zdaje się coraz więcéj w polityce nabierać mocy i praktyki. W końcu wyjdzie to na jedno: miasto państw pojedynczych, równoważyć się będą przymierza interesami skojarzone.

Niepodobna wszakże rozbierać szczegółowo wszystkich zdań i domysłów czynionych nad traktatem z 15 kwietnia, jakoto: że wymierzony jest przeciw Rosyi tak jak traktaty wiedeńskie wymierzone były przeciw Francyi, że zawarty był w celu zabezpieczenia Austryi w sprawach włoskich, i znów że Francya i Anglia podpisały go, aby tem łatwiéj sprawy te przeprowadzić a

oraz zabezpieczyć Turcyę od zbytniego Austryi wpływu, czyli mówiąc po prostu, że z Austryą przeciw Austryi zawarto traktat. Wszystkie te i tym podobne wnioski nie mają dostatecznéj podstawy w literze traktatu, a na niéj ograniczyć się należy, bo nic prócz samego tekstu nie jest dotąd znanem.

Lecz jakkolwiek litera ta odnosi się tylko do sprawy Wschodniéj, a nawet do samych warunków traktatu z 30 marca, niemniéj jednakowoż uważać należy traktat z 15 kwietnia za nader ważny akt europejski, który niemało charakteryzuje sytuacyę polityczną, pozwalając przewidywać choć w części, następstwa z niezupełnie dokonanego jeszcze dzieła kongresu paryzkiego. Nie tylko bowiem zagraża wojną, gdyby warunki podpisane w Paryżu dotrzymane nie były, ale tem samem stawia trzy mocarstwa które go podpisały, jako sędziów, czyli te warunki nadwerężone zostały lub nie? Któż bowiem inny rozstrzygać może w téj nader ważnej kwestyi, jak państwa pierwszego rzędu związane w tym przedmiocie traktatem opartym na *casus belli*? W polityce, tam gdzie jest siła i zamiar wykonania wyroku, tam i sąd być musi. Traktat więc z 15 kwietnia samą literą swego tekstu stawia najwyższy trybunał, który lubo oświadczył, że w jednéj tylko sprawie orzekać będzie ostatecznie, jednakowoż samém już przyznaniem sobie tego prawa, takiéj dowiódł przewagi, że obrót dalszej polityki i spokojność społeczności europejskiéj od jego postanowień zależeć się zdają.

MAURYCY MANN.

KRONIKA.

Kraków w maju.

Kiedy Cesarz Mikołaj przyjrzawszy się z daleka wspaniałéj panoramie Krakowa, zapowiadającéj o wiele okazalsze miasto, niżeli jest w istocie, odbył potem przegląd wojsk na błoniu, ucieszony, że tak rozległy tuż pod miastem znalazł plac ćwiczeń, zawołał: „To miasto stworzone jest na stolicę!“

Kiedy bankierowie pruscy zjechali się do Krakowa dla zakładania kolei krakowsko górnoszląskiéj i ujrzeli spławną Wisłę, kilka strumieni przerzynających przedmieścia i okolice miasta, a w pobliżu kamień, wapno, marmury, cynk, węgiel, siarkę i sól, zawołali: „To miasto stworzone jest dla przemysłu i handlu!“

Słowa Cesarza Mikołaja znalazły już usprawiedliwienie swoje w dalekiéj przeszłości; słowa bankierów pruskich zaczynają się sprawdzać.

Tak myślałem sobie widząc krzątanie się około przygotowań do jarmarku na ś. Wojciech. Wyobrażałem sobie olbrzymie piramidy skrzyń z towarami zalegające rynek, szeregi bud ustawionych w ulice, które musiano oznaczyć drogoskazami i doraźnemi nazwami, żeby w labiryncie ich nie zbłądzić, tłum różnostrojny na ulicach

począwszy od poważnego Anglika ubranego w tuzin paletotów jeden na drugim, z nosem w szalu ukrytym, do flegmatycznego Turka kurzącego spokojnie fajkę, a między jednym i drugim roje różnego ludu, komisanty i meklery z pierścionkami na palcach i dewizkami u zegarków, gadający po francuzku berlińskim dyalektem żydowskim; wszystkie domy zamienione w hotele, wszystkie sienie w kramy; dalej teatra, koncerta, ognie sztuczne, wyścigi konne, widowiska wszelkiej nazwy i wartości, zjazd artystów z całej kuli ziemskiej począwszy od śpiewaków i wirtuozów aż do baletniczek i akrobatów, clownów i kuglarzy, i tak bez końca nie zatrzymując się aż na tych, którzy zbiegłszy z klatki menażeryjnej zajęli deski teatralne mieniąc się także artystami.

Pstry ten kalejdoskop miał mi przedstawiać nowoczesną wielkość Krakowa w zamian za jego wielkość minioną.

Okropne to było wszakże rozczarowanie kiedym ujrzał wózek żydowski w wigilią otwarcia jarmarku przewożący pod zasłoną zmroku wieczornego cały sklep z Kazimierza do budki na rynek, a nazajutrz tegoż samego brodatego „kupca“ ofiarującego mi toż samo mydełko i szczoteczkę, na które wczoraj ani spojrzeć nie chciałem, w nadziei że na jarmarku kupię coś prawdziwie zagranicznego i to za pół darmo. Odszedłem wielce zgorszony i przyszła mi na pamięć owa komedya tak często pod różnemi względami w praktyce zastósowana, że stara panna dopiero jako młoda wdowa znalazła męża. Widziałem jak te same osoby co nie chciały kupować wczoraj w sklepach, gdzie grymasiły i przerzucały towar rozsiadając się na podanych sobie krzesłach, dziś stojąc przy budzie, potrącane od przechodniów, chwytały przez ramiona drugich podany sobie ten sam towar i bez targu płaciły.

Poważne Sukiennice pod których skrzydłami tuliły się przed wieki kramy kupieckie różnych narodów, spoglądały dziś smutno na budy jarmarczne, których wartość razem wzięta jednego dawniej kramu bogatego nie byłaby zapłaciła. Tędy to ciągnęły karawany towarów ze Wschodu; tutaj Hanza i miasta włoskie i hollenderskie miały swoje składy; tu Węgier, Ormianin, Grek, Włoch, Francuz, Flamandczyk i Niemiec rozkładali

w dni targowe towary swoje, a weksle ciągniono w późne jeszcze potem lata na Wenecyą i Amsterdam. To też choć nie rozprawiano tyle co dziś o przemyśle i handlu, bankierowie krakowscy zakładali udzielne w Niemczech księstwa, a burmistrze krakowscy dawali w Sukiennicach uczty Cesarzowi Rzymskiemu i kilku naraz królom.

A dziś co tu zachodu i hałasu, że kilku kupców zabrawszy z sobą trochę towaru wskoczyło do wagonu i w kilku godzinach stanęło w Krakowie.

A przecież przyjazd ich nie dał spokojnie spać paniom naszym na długo przed tem. Zapowiedziały wyraźnie, że choćby im przyszło zedrzeć się do ostatniéj sukienki, a z bielizną czekać póki się takowa w nowomodną *gipiurę* nierozleci, to jednego strzępa nie kupią w tutejszych sklepach. Skądże taka zawziętość? Posłuchajcie.

Było to niepowiem gdzie i niepowiem kiedy, dość że przed samym jarmarkiem. W kółku pewném siedziały same damy i rozmawiały ze sobą po francuzku bardzo żywo.

A zkądżeś przyszedł to tego? — zapyta mnie czytelnik, nie sądząc abym był kobietą.

Rzeczywiście nie jestem kobietą, ale mam niektóre ich przymioty i wady. O pierwszych przez skromność zamilczę, do drugich zaś policzę ciekawość, którą z obowiązku kronikarza w wysokim posiadać muszę stopniu. Drzwi były uchylone; siedziałem przy partyi. Rober się skończył, trzéj moi partnerowie zajęci byli obrachunkiem a ja wstawszy zacząłem się przechadzać po pokoju, bo nie cierpię rachować się, i temu głównie przypisuję, żem się zawsze w życiu niedorachował. Otóż mijając drzwi na pół uchylone słyszę z salonu dochodzące mię wyrazy:

Maurice . . . Saxe . . .

Oho! pomyślałem sobie, coś te panie spór historyczny wiodą. Rozmowa bowiem szła dość żarliwie, ale mi się tylko nazwisko tego wojownika o uszy obiło. Wcisnąłem się więc do pokoju środkowego i takąm podsłuchał rozmowę.

Pierwszy głos. Ale kiedy ja przysiądzbym gotowa że nie przyjedzie.

Drugi głos. Wszelako ja utrzymuję że przyjedzie.

Trzeci głos Czy pani masz prywatne wiadomości? Ja, bo posyłam codzień rano i po południu do hotelu drezdeńskiego. Zrana mi mówią że przyjedzie, po południu że nie. Ostatni barometr stoi na *nie.*

Czwarty głos. Prawda, prawda. Zamówił mieszkanie a potem odwołał, potem znów zamówił, a potem znów odwołał....

Piąty głos. Ach! jaka ja niespokojna!

Pierwszy głos. A więc odwołał, w końcu odwołał. Stanęło na mojem że odwołał. O, wiem ja dobrze co mówię.

Drugi głos. Chociaż odwołał, ale ja temu nie wierzę.

Trzeci głos. A to przedziwnie!

Czwarty głos. Telegrafowałam do niego.

Piąty głos. Ach pani! tyle poświęcenia!

Chwila milczenia. Powszechne oczekiwanie.

Zdawało mi się w mojem ukryciu, że na tych czterech twarzach musiał się malować znak zapytania w całéj swojéj skulonéj ciekawości, połączony z podziwem ale i powątpiewaniem. W głosie który tak stanowczo wyrzekł: „telegrafowałam do niego“ nie było ani uniesienia, ani chęci sprawienia efektu lub okazania tryumfu ale taka powaga spokojna, taka pewność siebie, iż uczułem w téj chwili, że głosowi temu uwierzyłbym choćby najskrytszą opowiadał plotkę.

— Tak moje panie — mówił daléj głos piąty. — Telegrafowałam do niego. Dowiodłam mężowi że taniéj wypadnie sprowadzić go do Krakowa niż do niego pojechać, a byłabym pojechała, bo w tutejszych sklepach niepodobna co kupować. Zważcie sobie moje panie co mię spotkało niedawno w kościele. Siadam w ławce obok jakiejś jejmości, pociągam suknię, a moja sąsiadka pyta mię, czego ją szarpię. Spoglądam, aż tu ja trzymam w ręku nie moją suknię, lecz mojéj sąsiadki. Spostrzegłam wtedy dopiero, że słowo w słowo taka sama suknia.

— Któż to był ta pani? czy jaka znajoma osoba?

— Żeby to jeszcze! byłybyśmy uśmiały się z mojego roztargnienia *nb.* po kościele, ale to jakaś rzemieślniczka, a co najwięcéj kupcowa. To mię tak oburzyło, żem się zaraz przesiadła do innéj ławki i postanowiłam nic

nie kupować u tutejszych, gdzie mię codzień taki sam przypadek spotkać może.

— A z suknią co się stało?

— Pewnie mię nie posądzicie, abym w niéj chodzić jeszcze miała.

— Już to panna służąca najlepiéj pewnie na tem skorzystała.

— O wcale nie. Przekonałam się że nic dziewczyny w służbie nie psuje jak suknia z pani, trzewik z pani, rękawiczka z pani. Sprzedałam suknię faktorce.

— A ona obnosi ją po mieście i opowiada każdemu od kogo ma.

W téj chwili usłyszałem jak partnerowie moi ruszyli od stolika, wyszedłem więc naprzeciw nim.

— Patrzcie go — rzekł jeden z nich — przegrał i czmychnął do salonu. Pewnie opowiadałeś damom żeś w karty nieszczęśliwy, żeby się domyśliły iż szczęśliwy jesteś w miłości. Koncept to już przestarzały i dziś zupełnie fałszywy. Zgraj się do grosza, a potem próbuj czy się konkury udadzą. O czemże tam była rozmowa z paniami?

— Hm! o wojnie trzydziestoletniéj podobno — odrzekłem nieśmiało — właśnie że nie byłem w salonie, dopiero się zabierałem..... słyszałem tylko że panie mówiły o Maurycym de Saxe, potem o telegrafach i strojach.....

— *A propos* telegrafów, czy wiecie moi panowie, że musiałem mojéj żonie zapisywać telegrafem od Moritza Sachsa z Wrocławia jakieś tam materye i koronki. Co to za wyborny wynalazek ten telegraf!

Teraz dopiero zrozumiałem podsłuchaną rozmowę w salonie. Aha! Maurice de Saxe — Moritz Sachs!.... no proszę, jak to ja się przesłyszałem.

Nazajutrz złapała mię jedna z tych pań, właśnie kiedym na rogu ulicy czytał olbrzymi afisz zaczynający się od słów: „Trzeba widzieć aby wierzyć!“ Musiałem jéj torować drogę pośród tłumu ciekawych, który się rzucił oglądać co mu pierwszy dzień jarmarku przyniósł. Zmęczony i znudzony, żeby wreszcie zasmakować w jarmarku, kupiłem pod wieżą ratuszową piernik. *L'appetit vient en mangeant* pomyślałem sobie, nie biorąc wszakże przysłowia tego tak literalnie — i kupiłem parę świecidełek z „prawdziwie“ naśladowanego złota, na które

gdy dziś patrzę, przypomina mi się napis na afiszu jarmarcznym, ale na wspak: „trzeba wierzyć aby widzieć.“

I tak skończył się jarmark. Przeminął jak tyle innych wielkich wydarzeń, o tyle od nich szczęśliwszy, że znalazł we mnie swojego historyografa, a w Anczycu swojego dramaturga. Krotochwilą jego „Jarmark w Krakowie“ pożegnało nas grono aktorów polskich puszczając się na wędrówkę jarmarczną po świecie. Oby i w obczyźnie znaleźli na towar swój odbyt!

Głucha cisza obsiadła napowrót mury Krakowa; przerywa ją tylko wieczorny śpiew pobożnych przed cudownym obrazem Matki Boskiéj na zewnętrznéj ścianie kościoła Maryackiego. Miesiąc maj wyłącznie też czci Jéj poświęcony. Nigdzie go nie obchodzą zapewne z taką jak w Krakowie pobożnością. Oba kościoły maryackie w rynku i na Piasku pełne na wieczorném nabożeństwie majowém osób wszelkiego stanu, płci i wieku, a wymowa kaznodziejska garnie ku sobie chętnych słuchaczy.

Nie tu miejsce do poważnego i wytrawnego jéj ocenienia; ilekroć wszakże zdarzy mi się słyszeć kazanie, czuję, że bogactwo wysłowienia, rozległa wiedza i ozdoby krasomowcze nie wynagradzają mi jeszcze téj jędrności języka, téj mocy wyrażeń i tego porywającego zapału, jakie cechowały u nas mistrzów słowa bożego dwa wieki temu z okładem. Wprawdzie siła tych kaznodziei nie z nich samych jedynie płynęła, ale była jakby zespoleniem ich dzielności z dzielnością słuchaczy. Nie tylko bowiem uczucia mowcy przelewają się w słuchacza, lecz i duch słuchacza podnosi mowcę. Dziś wielu idzie na kazanie ulubionego kaznodziei z tém uczuciem, z jakiemby chodziło na prelekcye professora wymowy, i nie wiele brakuje, aby mu nie przyklaśnięto, ile razy piękny zwrot słowny, potoczysty i okrągły okres, szczęśliwe wyrażenie usposobi przychylnie audytorium złożone po większéj części z czułych pań i wykształconéj młodzieży. To téż wpływ tego co otacza, wpływ ludzi i stosunków działa przeważnie na zdolnego nawet kaznodzieję, a choć go w sługę ich nie zamieni, to mu przecież zakreśla pewne koło po za które przejść mu nie wolno. Jeśli prawdą jest co powiedział Goethe, że najlepsza poezya jest okolicznościowa, to wyrazy te tém więcéj jeszcze dadzą się zastósować do wymowy, a na-

wet do wymowy kościelnéj. Najlepsze téż kazania bywają z okoliczności, a takowych nastręczają obficie i życie publiczne i życie prywatne.

W roku bieżącym skupiło się w maju tyle świąt, że gdyby pogoda służyła, byłoby mnóstwo sposobności i wolnego czasu do wiosennych wycieczek. Ale rzadko u nas spotkać kogo na przechadzce po za obrębem plantacyj. Inne miasta mniéj nawet ludne mają swoje zamiejskie niedzielne ustronia, które lubo przestają być ustroniami napełniwszy się ludem miejskim, wszelako dozwalają większéj swobody niż konwencyonalna przechadzka w około miasta, przeznaczona jakoby więcéj na pokaz niż dla ruchu. Ociężałość ta fizyczna jaką się tutejsi mieszkańcy przed innemi odznaczają, wpływa nader szkodliwie na stan zdrowia i umysłu, mianowicie u kobiet, i to w klassie czysto mieszczańskiéj, gdzie kobiety są prawdziwemi *glebae adscriptae* w tym wieku usamowolnienia i podróży koleją żelazną. *Shocking* angielskie przesadziło w Krakowie ojczyste swoje gniazdo. Chodzi ono w sukience wydmuchanéj któréj przysiąść nie wolno, w ciasnym trzewiczku, wysznurowane że się ani zgiąć nie mogą, z parasolką chroniącą nie od słońca lecz od oczu, z ustami na których nigdy wesoły śmiech młodości nie postał, a takie *shocking* czyżby mogło biegać po błoniu, albo się przedzierać przez gałęzie bielańskiego lasu lub czepiać po skałach Panieńskich, których nazwa nie ztąd pochodzi, że to miejsce rozrywki dla panien, lecz że zachowały jeszcze całą swoją dziewiczość, pomimo że o pół godziny drogi od Krakowa leżą.

Prędzéj to jeszcze spacerowym pociągiem pojechałoby się do Krzeszowic, gdyby spacerowe pociągi chodziły. W Krzeszowicach to jak na plantacyach w Krakowie. Czasem się wprawdzie jaki śmiałek zapuści na Czernę, rzadko się to jednak zdarzy, i dla tego téż na Czerny wędrownik nie zastanie nic prócz téj studni w skale, z któréj dla ćwiczenia się w gimnastyce sam sobie wody naciągnąć może. Tego lata wszakże i pociągi spacerowe nie chodzą, przynajmniéj do końca maja jeszcze się nie ruszyły. Czyżby czekano z niemi na decyzyę, komu się dostanie kolej galicyjska?

Pytanie to trzymało mieszkańców naszego miasta przez

cały ten miesiąc na „co słychać?“ Gdzieś się ruszył, o niczém tylko o kolei mowa. Nieznający miejscowych stosunków mógłby z tego wnosić, że Kraków cały jest jedną wielką giełdą, a każdy z jego mieszkańców bankierem! Każdy chciałby się zapisywać na akcye, główna tylko rzecz o kaucyę. Gdyby słowo i goły podpis obstały za kaucyę, cały kapitał zebranoby w Krakowie. Są wprawdzie i malkontenci, a należą oni szczególnie do liczby tych, którzy dla tego nie wróżą temu przedsiębiorstwu powodzenia, że nie ich zawezwano do zasiadania w komitecie który w Wiedniu traktuje w imieniu obywateli galicyjskich. Mógłbym i ja liczbę ich powiększyć, lecz wolę podzielać trudy i owoce pracy późniejszéj dyrekcyi, a wtedy zaprowadzę spacerowe pociągi na całéj linii od Oświęcima do Czerniowiec; może pośród tego gwaru rozruszanych mieszczan schwycę choć jedno słówko dowcipne do Kroniki krakowskiéj, może w tym steku różnorysowych twarzy znajdę choć jedną odmienną od tych, jakie tu oglądam codziennie. Jednostajność mię zabija, ani jednego nawet skandalu. Przyzwoitość aż do znudzenia — każdy się boi być *shocking*.

Lwów w maju.

Spisując dla was kronikę miejscową patrzę w mój kalejdoskop po jednomiesięcznym obrocie tegoż, i widzę w nim mało różniące się wzorce od dawniejszych. Obok owych wielostronnych zmian i tak rozmaitych barw życia, które przedstawiają skąd inąd nadesłane wam obrazy, mój jest szkicem ubogim; odmienny tylko w głównych rysach całości, w pojedynczych scenach zawsze zachowujący jakby stereotypową przyrodę. Przypomina mi to ów zarzut robiony nieraz literaturze naszéj, dla czego obok świetności w innych rodzajach poezyi, dział jéj dramatyczny zawsze jeszcze w znacznéj części odłogiem leży. Zdaje mi się, że ta okoliczność ściśle wiąże się z patryarchalném życiem, jakie przedstawiają dawne nasze dzieje. Jednostajność i naturalny bieg stosunków w każdéj niemal warstwie społeczeństwa, życie ziemiańskie, tchnące bardziéj błogim pokojem, niżeli namiętną

grą woli indywidualnéj, występującéj do zapasów z ustawami świata i spółeczności, nakoniec pewna odrębność warstw społecznych i równoległość interesów każdéj, bez krzyżowania się i ściérania z sobą w celach i dążeniach— te i tym podobne stosunki dziejowe nie wiele nastręczają treści dla poety dramatycznego. Co na polu dramatycznéj literatury obcéj, ze względu na ową wielostronną grę życia zdaje się prawdopodobném, u nas, w dramacie swojskim, uderzałoby może niepodobieństwem.

Dziś nawet rzekłbyś, że u nas raczéj czas lub zdarzenia pozaspołeczne, albo téż losy nasze wnoszą nowość w bieg potoczny rzeczy niżeli wola indywidualna i własna wrodzona do zmian pochopność. Jesteśmy spółecznością ściśle zachowawczéj przyrody; kto nas z téj strony nie poznaje, nie badał nigdy na dobre dziejów naszych.

Toć i dzisiaj snujemy wątek życia po staremu, nowością jest dla nas to co obchodzi lub społeczeństwo w ogóle, lub potrzeby miejscowe. I tak np. zajmuje nas towarzystwo S. Wincentego à Paulo, zawiązane w celu niesienia duchowéj i fizycznéj pomocy chorym. Pierwszy w niém udział mają damy. Witamy serdecznie to towarzystwo, jak każdy szlachetny popęd serca a oraz jako objaw wzmagającego się w czyn coraz bardziéj ducha pobożności prawdziwéj, który dzięki staraniom duchowieństwa naszego, krzewi się i obfity plon obiecuje. Zajmuje nas także nadzieja, że Galicya otrzyma pozwolenie na budowę dalszą kolei żelaznéj. Jest to dla nas nowość, mająca prócz spodziewanych korzyści dla kraju, osobny jeszcze urok — urok przejścia częściowego z czysto-ziemiańskich zatrudnień w zakres przedsiębiorstw przemysłowych, co dla prowincyi naszéj niemałym byłoby krokiem naprzód. Zabawną jest rzeczą, jak akcyonaryusze kolei północnéj zbierają skwapliwie nasze nawykłości pewne, aby opinię publiczną na korzyść swojéj kieszeni obrócić:

— A cóż, będziemy budować kolej żelazną, my Galicyanie?

— Ny, na co się to przyda, chyba ziemniaki wozić za granicę, aby nie pogniły w domu, albo obornik, tam gdzie go nie mają.

— A zboże, produkta surowe, woły, nierogacizna, przędziwo, len, konopie, skóry?

— A na co nam tego? Alboż to kupiec lub jego faktor nie przyjdzie do domu, nie zakupi co Pan Bóg dał? Alboż to nie wygodniéj sprzedać kiedy się chce, kiedy potrzeba piéniędzy, choćby jeszcze rosło lub się tuczyło, albo dopiéro w gorzelni wyrabiać się miało?

— Ależ tak wiecznie nie może być; handel i gospodarstwo nie na tém stoi, aby miało wiecznych pośredników i wiecznie obie ręce w jednéj kieszeni. Niech tylko kolej wybudujemy........

— Ny, to nie pańska rzecz budować drogi.

I dodając z pewnym wyrazem znaczącym:

— Pańska rzecz pojechać na wojaż, na kontrakty, na karnawał, polować, bawić się — — drogi budować, to dla spekulantów, to nie dla panów.

— A pan Rotszyld nie jest panem?

Zaprzeczenie było widocznie niemiłe i nie na rękę; więc na *argumentum ad hominem* inne pytanie:

— A gdzie my mamy tyle piéniędzy co Rotszyld? U nas kraj biedny, robotnika mało i niezdatny; my — ot nie byliśmy nigdzie w takich spekulacyach — inna rzecz rządzić wsią i dziesięcioma, a inna —

— A żeglugę na Wiśle i jéj administracyę czy także stworzył pan Rotszyld? A na Węgrzech, czy także pan Rotszyld budować będzie?

Ta i dalsza osnowa rzeczy mego przeciwnika, lubo jak widzieć okrywa się płaszczem dziurawym i dawno z mody wyszłym, lubo przegląda przezeń cała nagość interesu, przecież ma swoje tu i owdzie powodzenie. Są ludzie co słuchają i odchodzą z półwiarą w to co słyszeli, aby w ciemnych zakątkach swoich, znowu być echem powtarzającém to, co im włożono w ucho. Rzymianom zarzucał niegdyś rzymianin dwie wady wręcz przeciwne sobie: skąpstwo i rozrzutność, *(avaritia et luxuria)* nam możnaby także zarzucić dwie ostateczności: zbyt wielkie zaufanie w sobie i zbyt wielką w siebie nieufność. Zdaje mi się, że niejeden z nas napisałby spore komentarze do tego zdania.

Nasze zabawy wiosenne bardzo szczupłą miarą odmierzone. Jednych owionął jakiś duch sielankowy i nuż na wieś jechać i uprawiać *paterna rura bobus suis*, a ra-

czéj obliczyć się z zimowemi wydatkami w stolicy i pościągać siły na przyszłą z niemi kampanię; drudzy zaledwie uprzątnęli się z zatrudnieniem codziennem, spieszą odetchnąć na plantacyach i przechadzkach „świéżém“ jak mówią „powietrzem“. Raz tylko w naszéj wiośnie przeniewierzyliśmy się w wielkiéj liczbie i odwiedziliśmy teatr.

Było to przedstawienie na korzyść szpitalu dzieci, zarządzone staraniem księżny Jadwigi Sapieżyny, niewyczerpanéj w sposobach wspierania zakładów dobroczynnych, pod jéj opieką zostających. Widzieliśmy więc znowu naszych dawnych artystów p. Aszpergerowę, pp. Nowakowskiego i Starzewskiego. „*Niebezpieczna Ciotunia*“, „*Projekta przedślubne*“ i małe sceniczne przedstawienie „*Pójdź tu*“ odświeżyły we wdzięcznéj pamięci, którą dla naszych dawnych artystów chowamy, cały urok dawniejszéj sceny lwowskiéj, całą roskosz jaką sztuka na wysokim stopniu zachwycić zdoła. Dla spragnionych i stęsknionych za grą w wyższém pojmowaniu sztuki, wieczór ten był zaprawdę błogiem zjawiskiem. Przyczyniły się także do urozmaicenia go muzykalny udział miłośników i artystów z opery i orkiestry tutejszéj, a między pierwszemi śpiew panny Bogdanowicz, nadzwyczaj miły i dochodzący niepospolitéj biegłości, był powitany oklaskami rzęsistemi, gdzie oprócz podziękowania za udział w koncercie na ubogich, oddawano także sprawiedliwość talentowi. Był téż tego wieczora odegrany przez p. Jerzyczkę utwór muzykalny na oboju. Należy oddać wszelką słuszność artyście, który niepospolite pokonywał trudności, ale nie mogę zataić, że oboj nie jest instrumentem do koncertowego *solo*. Jest to jakby głos Satyra pośród śpiewających nimf i przypomina niby gęsią krztań, niby pewną nosową wadę — słowem muzyka dźwięczna, ale niewdzięczna w obu znaczeniach. Zresztą — *chacun à son goût*, i dlatego téż w sztuce tak nieznoszącéj ścisłych określeń jak muzyka, zdarza się, że wybór koncertowych instrumentów i skład orkiestry często podlega osobistemu smakowi. Przypomina mi to owego majora rosyjskiego na Kaukazie, który na uroczystość imienin córki kazał zawołać muzykę batalionu, składającą się z dwóch klarynetów, trąbki i jednych skrzypców. Aby podnieść znaczenie téj szczu-

płéj orkiestry kazał dodać sześć bębnów. I podobało się na Kaukazie.

Z przelotnych meteorów artystycznych zjawiła się tu Miss Lydia Thompson, o któréj *quot capita tot sensus* w publiczności krąży. W ogólności nie wiele wrażenia artystycznego zostawia. Więcéj pochwał i oklasków, nawet u znawców, zjednały sobie dwie panny Dulken, z których jedna odznacza się nadzwyczaj gładką i miłą grą na fortepianie, wstępującą na szczebel wyższy w dziedzinie sztuki; druga na istrumencie *Concertina* czyli *Melofon* zwanym w swój sposób zająć umié.

Wiécie już że „Dziennik literacki“ zaczął na nowo wychodzić. Doznał w początku trudności. Jedną tylko przytoczę okoliczność tyczącą się pism czasowych, sprawującą po wielkiéj części że się często pojawiają a krótko trwają. Jest nią, jak nam się zdaje, niedokładne zbadanie potrzeb społeczeństwa i czasu. Jakiekolwiek pole dla pracy literackiéj otwiera czas i oświata spółczesna należycie pojęta, zadaniem jest pisma czasowego uprawiać je; a praca treściwa i zastósowana do potrzeb dobrze zrozumianych społeczeństwa i czasu, nadewszystko zaś budująca, nie rozprzęgająca lub waśniąca, znajdzie zawsze i wszędzie uznanie. W tém jest według nas takt redaktorski jedyny, trafny, patrzéć na cały skład społeczny i jego potrzeby, lecz patrzéć nie ze stanowiska, choćby tylko pozornie koteryjnego. Są czasy, kiedy roztropność pisarza większe jedna sobie zasługi, niżeli dowcip i usiłowanie zająć publiczność nowością. Są rzeczy, o których czasem lepiéj nie mówić, niżeli mówić choćby najoględniéj, a wyzywać mimowolnie odgłosy dwuznaczne, z których każde ucho to chwyta, co mu do smaku przypada lub do czego nastrojone. Tego rodzaju oględności budującéj społeczeństwo, nie zaś waśniącéj, życzylibyśmy wszystkim na przyszłość pismom czasowym, jeżeli chcą uniknąć zarzutu jakowejś wyłączności, niepojmowania składu społecznego i wymagań czasowych. Wymagania te łatwo zawsze odgadnie ów instynkt zachowawczy, którego nie wolno niesłuchać ani społeczeństwu, ani pisarzowi, i sam nawet rzut oka w około siebie. Goethe powiedział: aby pojąć, że niebo wszędzie niebieskie, nie trzeba odbywać podróży naokoło ziemi.—

Wiedeń w maju.

Leniwy z natury a z musu jednak w ciągłym ruchu, kuryer wasz, zapomniał odwiedzić was w przeszłym miesiącu. Wprawdzie nie wieleście na tem stracili, gdyż wyjąwszy dwóch traktatów i kilku politycznych mniéj ważnych wypadków, o których inną drogą stósownie uwiadomieni zostaliście, nic bym wam ciekawego nie mógł donieść z tutejszego towarzyskiego życia. Dziś kiedy powabna choć dotąd bardzo kapryśna wiosna, wyprowadza na wieś politykę, dyplomacyę i powoli tak zwany cały świat wyższy, pośpieszam zapowiadając wam na przyszłość nie jedną o okolicach Wiednia sielankę, przesłać polotne zdanie sprawy z tego, czem w tych ostatnich tygodniach najwięcéj się zajmowała stolica.

Przejście od zimy do wiosny jest tu tak w atmosferze, jak w zwyczajach i powierzchownych stosunkach ludności, niezmiernie trudne do określenia. W kwietniu mieliśmy ciepło duszące i na przechadzkach ubiory letnie; a od początku maja aż do dziś dnia mamy na przemian zimno i gorąco i przypatrujemy się dziwnéj mieszaninie kolorów i wyrobów w strojach, mianowicie dam. Prater dokąd się z nałogu i z mody cały elegancki świat ciśnie, przedstawia najdziwniejsze pod tym względem panorama. O godzinie 12téj widzę toczące się przed oknami memi wzdłuż wspaniałéj ulicy *Jägerzeile*, karety i zamknięte kocze z dziećmi w płaszczykach zimowych. O 3ciéj z południa te same powozy już otwarte, odświeżone z liberyą nową, pełne dam z przyborem w stroju, na każdy nieprzewidziany kaprys powietrza, odpowiednim. Wieczorem o 6téj ta sama procesya ma widok jeszcze więcéj różnobarwny i jeszcze staranniéj na obliczeniach meteorologicznych oparty. Lecz najczęściéj próżność lub chęć oszczędzenia przezroczystych muślinów i lekkich koronek, przemagając nad zdrową radą rozumu lub lekarza, zostawiają spokojnego choć troskliwego o zdrowie i życie kobiet tutejszych widza, w smutnéj niepewności czy każdą z nich jeszcze dnia następnego, w tym samym powozie, i z tą samą świeżością i wesołością na twarzy zobaczy.

„Póki jesteśmy młodzi, wszystko jest przed nami.“ Tak zdają się myśleć tutejsze kobiety aż do lat przy-

najmniéj sześciudziesiąt! Że się mylą, dowodów niestety niebraknie. Katary, gorączki i choroby piersiowe są w Wiedniu tak częste i tak uporczywe jak nigdzie. Walka z wiatrem nieustannym i pyłem, który nieraz na ulicach przypomina pustynię Sahary, jest nie do wytrzymania. Najszkodliwiéj czuć się ona daje przy wyjściu z teatrów, których szczupłość i zła budowa, już niejednemu przedwczesnéj śmierci stała się powodem. Lekarze utrzymują, że hr. Zamojski umarł z przeziębienia po przedstawieniu Levassora w Karl-theater, gdzie go istotnie na kilka dni przedtem tak czerstwym i wesołym, jak był ciągłe, widziałem.

W przeszłym tygodniu mieliśmy wyścigi konne. Pod tym, jak pod wielu innemi względami, Austrya nie może jeszcze iść w porównanie ani z Anglią, ani nawet z Francyą. W Anglii chodowanie koni jest nie tylko ulubionem zatrudnieniem, ale rozległą wielką gałęzią przemysłu narodowego. Rasa koni przeznaczonych na wyścigi w tym kraju, należy do najsławniejszych w Europie. Same wyścigi stanowią pewien rodzaj gry, korzystnéj pod względem pieniężnym i pełnéj życia pod względem moralnym. Oprócz sum ogromnych, które wchodzą w zakłady, idzie w téj grze tak zainteresowanym osobom, jak całéj publiczności, o honor osobisty i prawie narodowy. Liczne towarzystwa złożone z najbogatszych ludzi w kraju, poświęcają téj spekulacyi i zabawie znaczne zakłady. Konie przeznaczone na wyścigi przedają się po kilka i kilkanaście tysięcy złotych reńskich. Uwieńczone nagrodą, przechodzą do historyi wyścigów w opisach z portretami i z genealogicznym wywodem ich pochodzenia. Znam w Wiedniu jednego z dyplomatów, który całe swe życie prawie przepędził w Anglii, biorąc w tych rozprawach czynny udział, a który patrząc na ryciny dzielnych koni, zdobiących ściany swego polityce teraz poświęconego gabinetu, opowiadał mi nieraz z największym zapałem nadzwyczajne czyny każdego z tych czworonogich bohatyrów. Każdy ma swoje nazwisko; każdy prowadzi z sobą do potomności nie tylko swych rodziców, ale swojego szczęśliwego właściciela. Widziałem na niektórych z tych rycin, razem portret całéj tak ciekawéj grupy; wyznaję, że w niéj lord właściciel nie pierwsze zajmuje

miejsce. Francuzi powiadają że język angielski jest wyborny do gadania z końmi. Jabym dodał, że tylko z końmi angielskiemi, gdyż istotnie cała edukacya tych zwierząt odbywa się tam, w dobrych naturalnie domach, za pomocą wyłącznie mowy. Dyplomata o którym wspomniałem, zamiast rozprawiania ze swemi pegazami w języku włoskim, francuzkim lub niemieckim, mówi do nich ciągle po angielsku, i byłem sam świadkiem że go wybornie rozumieją. Sprowadził teraz cztery nowe, młode, prześliczne i przepędza z niemi po parę godzin na dzień na gawędzie o Anglii i o wspólnych znajomościach i przyjaźniach. Właściciel który te konie wychodował, ma przeszło lat 80 i nie podróżuje nigdy inaczéj jak konno. Przedał on niedawno Cesarzowi Napoleonowi konia za 10,000 franków, który przeznaczonym już był do jednéj z stajen tutejszych. We Francyi chodowla koni dawniéj zaniedbana, zrobiła już pod rządem Ludwika Filipa znaczne postępy. Cesarz Napoleon znawca i miłośnik pięknych koni poświęca polepszeniu rass znaczne summy, jak powiadają, ze swéj prywatnéj szkatuły. Widziałem dawniéj dzielne konie do jazdy i do wyścigów u hr. de Morny, u ks. de Montebello i u p. de Vitry. Izby wotowały co rok znaczne pieniądze na nagrody. Wyścigi w Paryżu i w Chantilly uchodziły za dobre. Lecz w porównanie z angielskiemi iść nie mogły, ani pod względem koni, ani pod względem zapału z jakim publiczność angielska spieszy na te widowiska. Widzę często u wspomnionego powyżéj dyplomaty dwa wielkie obrazy przedstawiające wyścigi w Epson, słyszę co mi o nich opowiada i pojmuję że kilkuset jeźdźców rzuconych w zawód i krocie widzów zebranych na to widowisko, są przez kilka godzin jedną prawie duszą jeźli nie jednem ciałem. Mówiliśmy właśnie z nim o tych wyścigach na godzinę przed udaniem się na tutejszę, i przyznam się, że przybyłem z nim na pole, położone jak wiadomo za Praterem przy Dunaju, z pewnym rodzajem uprzedzenia przeciwko temu com miał widzieć. Znalazłem że miał słuszność mój doświadczony angloman, nazywając z góry wyścigi tutejsze *biedną karykaturą*. Było właściwie pięć koni przeznaczonych do biegu. Właściciele oficerowie i cywilni, chcieli sami walczyć o palmę pierwszeństwa. Przy pierwszéj baryerze dwóch z nich

książę L... i baron von B... sekretarz pewnego poselstwa, tak się starli ze sobą, że jeźdźcy i konie padli razem na stronę, szczęściem bez szwanku. Z pozostałych trzech ks. Turn i Taxis półkownik, dotarł sam jeden do mety i otrzymał przeznaczoną nagrodę. Drugi po za nim o kilkadziesiąt kroków dążący jeździec wzbudzał litość dla konia, którego nielitościwie okładał kijem i pruł ostrogami. Cała scena trwała pół godziny. Niesłyszałem ani krzyków, ani oklasków, ani najmniejszéj oznaki zadowolnienia lub nieukontentowania. Publiczność składała się wyłącznie z dam w powozach otwartych i z jeźdźców, których co dzień widzieć można na tych samych koniach w Praterze. Po wyścigach trzeba było przebrnąć wśród pyłu prawdziwą stepową przestrzeń aż do wielkiéj drogi na Praterze, która jedna dotąd ma przywiléj być skrapianą i czyszczoną, żeby się dostać szczęśliwie do domu. „*Eh bien!* nie miałem ja dobrego przeczucia? — rzekł mi mój dyplomata, przerywając rozmowę, którą naprzód odbył po angielsku ze czterma swemi, któremi sam kierował końmi — co za karykatura! I to nazywają wyścigami.“ A że miał dnia tegoż właśnie, głównych jeźdźców u siebie na obiedzie, przyrzekał sobie dać im drugie widowisko, prowadząc ich przed te malowane wyścigi, o których nadmieniłem. Dowiedziałem się po obiedzie, że otrzymał więcéj, gdyż zapewnił sobie i członkom towarzystwa wyścigów przyrzeczenie Ministra barona Bacha, który był tamże na obiedzie, że rząd z pewną summą do urządzenia tych popisów na rok przyszły przystąpi. Tą razą nagrodą było 700 złr. złożonych przez towarzystwo. Przy baryerze zebrane damy a między innemi, hr. Clam-Gallas, księżna Obrenowiczowa, robiły między sobą małe zakłady.

Nim się świat modny wyniesie na wieś lub do wód, stara się korzystać jak może w stolicy z przyjemności wiejskich. Oprócz przechadzek na Praterze i po ogrodach prywatnych i publicznych, których Wiedeń ma znaczną liczbę, widzieć można co wieczór nie mało powozów na drodze do Schönbrun. Wycieczki do Laxenburgu gdzie bawią NN. Państwo, do Baden do Vöslau, do Brüll, są co dzień liczniejsze. Wiele bogatszych rodzin ma przytem w okolicy tak nazwane wille, lubo są to po większéj części stare rudery zamków lub proste

jakby w mieście budowane domy. W jednéj z takich ustroń mają się rozpocząć wkrótce tańczące śniadania pod sterem ks. de Win.. i i hr. de Bat... Zaproszenia będą nieliczne, poufałe, toalety wiejskie, wesołość zapewne wyjęta z pod kodeksu praw etykiety. Słowem, wszyscy mi mówią o tych balikach, każdy chciałby być wciągniętym na listę, każdy się zwija, kręci, gubi w grzecznościach dla dam trzymających klucze téj zaczarowanéj lub czarować mającéj *villagiatury*. Są to nowe i prawdziwe wyścigi, lecz pieszo, ale téż za lepszą może nagrodę....

Wieczory, cały swiat o którym tu mowa, przepędza w teatrze. Opera włoska jest tego roku zadawalniająca pod wielu względami, lecz niemożna szukać porównania z ową którą słyszeliśmy wszyscy przez lat kilkanaście w Paryżu i która zachwycała na przemian Londyn i Petersburg. Rubini, Tamburini, Grisi w kwiecie młodości, potem Mario, ciągle dzielny i czerstwy aż dotąd Lablache, i dźwięczna Persiani, i Albertazzi zgasła w poranku prawie życia! Był to skład rzadki, cudowny, trudny do powtórzenia! W operze tutejszéj są jednak talenta, które już mają wielką i zasłużoną sławę, jak baryton Debassini, lub które jak pani Borghi-Mammo występują nagle i w zupełnem od razu świetle. Jest to jedna zdaniem tutejszych znawców z najlepszych spiewaczek wesołéj zwłaszcza muzyki Rossiniego. W *Cenerentola*, w *Il Barbiere di Seviglia* jest wyborną. W *Don Giovanni*, roli Zerliny niesłyszałem od dawna oddaną lepiéj. Pani Borghi-Mammo ma *mezzo-soprano* giętkie, wyrobione w doskonałéj szkole, metaliczne i przyjemne. W koloryturze posiada zadziwiającą czystość i śmiałość tonów. Paryż umiał ją ocenić zamawiając na dwa następne lata. Tenor Bettini (starszy) ma głos przyjemny i dość silny, ale brakuje mu dostatecznéj rozciągłości i dobrego niekiedy smaku. Śpiewa dobrze gdzie może, gdzie niemoże nagradza wysileniem, to jest krzykiem. W muzyce Verdego uchodzi to do pewnego stopnia. Lecz Rossini potrzebuje innych tłumaczów. I dla tego słaby w *Otello* p. Bettini, jest dość dobrym w *Il Bravo* Mercadantego, a jeszcze lepszym w *Ernani*. Bassista serio p. Angellini i Buffo p. Rossi są na swojem miejscu i odbierają zasłużone oklaski. Balet tego roku jest tro-

chę zaniedbanym. Mieliśmy dotychczas jeden tylko nowy, który się dosyć podobał, ale raczéj wystawą niż tańcem.

W Burgu pani Bayer-Brück miała kilkanaście dni prawdziwego tryumfu. Szkoda że się starzeje. Jest to talent dramatyczny niepospolity.

W *Carl-theater* p. Treumann kopijuje jak może Levassora i ściąga licznych co wieczór widzów. W innych teatrach pustki.

Ogrody, szczególniéj *Paradiesgarten* zaczynają się ożywiać. Skutek to wiosny i nałogu, gdyż muzyka którą tam słyszeć trzeba, jest nielitościwa i lody na pół niezmarzłe.

Berlin w maju.

Poczyna się tedy, za zgodą twoją szanowny Redaktorze, kronika moja towarzyskich stosunków Berlina—od ucha. Temu to cudownemu, a fizyologicznie najmniéj jeszcze zbadanemu organowi słuchu zawdzięcza ludzkość większą część swojéj cywilizacyi, a wśród niéj najidealniejszą ze wszystkich sztuk pięknych — muzykę, którą jako najwydatniejszą stronę towarzyskiego życia stolicy pruskiéj, zgodnie z wskazanym w poprzednim liście planem, najprzód odszkicować postanowiłem.

Cóżbyś powiedział mój Redaktorze, gdybym przystępując wprost do rzeczy, zaczął tak sobie aż od stworzenia świata? Wiész, że mam zamiar pisać gruntownie i systematycznie; wiész że dziś każda specyalna nauka, czy to z świata natury czy z świata ducha, jeżeli chce coś znaczyć, musi zstąpić do swych żywiołów, do pierwotnego swego źródła; wiész, że Kant chcąc poznać istotę wszechświata, badał wprzód istotę władzy, którą tamtę miał poznawać; wiész, że za tym przykładem każdy gruntowny pisarz w Niemczech tak głęboko śledzi prawdy, że częstokroć nie może się z nią wcale na wierzch wydobyć; wiész, że niektórzy i z naszych uczonych śledzili np. początków Słowian aż w Chinach, a pochodzenia rycerskiéj kasty Lechów aż za Wezerą; wiész albo może i nie wiész, że pewien oryentalista polski dowodzi, że Wedy pisane były nad Gopłem, po pol-

sku; wiész, że pan Buchman na obradach w zaścianku Dobrzyńskich także od pierwotnych dziejów rodu ludzkiego rozpoczął rzecz swą o pojęciu władzy; wiész nareszcie, że każda kronika poczyna się od stworzenia świata. Ponieważ przeciw tak oczywistym argumentom trudno ci będzie coś powiedzieć, musisz pozwolić, że i moja kronika, a w szczególności oddział pierwszy o muzykalności Berlina, tak samo się poczyna.

Lecz nie z samych tylko powierzchownych pobudek tak mi zacząć wypada. Mam i głębsze, istotne, z przedmiotu samego pochodzące. Pierwsza rzecz jest, wiedzieć, co jest muzyka? Uchowaj Boże, mój najmuzykalniejszy Redaktorze, żebym miał wątpić, że nie wiész tego: znam przecież gruntowne muzykalne recenzye twoje w Kronice *Czasu*. Nie wątpię również ani chwili, żeby który z szanownych czytelników nie miał wiedzieć jak najdokładniéj, co jest muzyka: zkądżeby było u nas tyle w niéj upodobania, tyle o niéj przy każdéj sposobności stanowczego sądu? Jednakże wiedza a wiedza w jednym i tym samym przedmiocie, mianowicie zaś w przedmiotach sztuki, a w szczególności muzyki, bywa bardzo różna. Włoch, Francuz, Niemiec — trzy narody, które najwięcéj muzykę wykształciły i najwięcéj liczą kompozytorów i wirtuozów — mają o muzyce w ogóle, a w szczególności o charakterze i piękności pewnych jéj rodzajów i gatunków, tak we względzie pojęcia jak we względzie formy, bardzo różne, częstokroć całkiem przeciwne wyobrażenia. Cóż mówić o Angliku — wielkim wśród Europy Mogole w sferze muzykalnéj wiedzy? Cóż dopiero o Turku z janczarską swoją kapelą? Sądzę, że i u nas, których natura obdarzyła niepospolitym słuchem — świadkiem język, wydający prawie wszystkie możebne brzmienia mowy ludzkiéj — nie jest we względzie wiedzy muzykalnéj inaczéj.

Rzecz to na pozór bardzo naturalna i prosta. Słuch, to dla każdego najwyższy sędzia w muzyce. Każdy powołuje się do niego jako do ostatniéj instancyi. Słuch uważa się za zmysł, który się nigdy nie myli. Dźwięk brżmiący przyjemnie jest przyjemny, brżmiący nieprzyjemnie jest nieprzyjemny. To każdy czuje bezpośrednio. Brżmienie, dźwięk, głos, ton, są materyałem muzyki, przystępnym i zrozumiałym dla każdego. Ucho oddaje

go wiernie, tak jak go pochwyci. Kompozytor może łączyć, wiązać, podnosić, zniżać, wzmacniać, łagodzić, przyspieszać, zwalniać, przemieniać, kombinować w najrozmaitszy sposób tony, czy to przyrodzone, czy sztucznie wydobyte; natury ucha zmienić nie może. Słuchający może w każdym razie powiedzieć: to mi brżmi przyjemnie, to mi brżmi nieprzyjemnie, tak samo jak jedzący: to mi smakuje, to mi nie smakuje, nie pytając się wcale o sposoby, któremi kucharz potrawę przyprawił. Sąd gotów. *De gustibus non est disputandum.* A ponieważ nadto materyał muzyki nie jest ani widzialnym, ani tak dotykalnym, jak materyał innych sztuk: drzewo, kamień, kruszec, farba; ani wprost myśl pewną tak wyraźnie wydającym jak mowa głosowa lub pisana, i tylko jeszcze, oprócz organu słuchu, może być przez ogólny zmysł czucia bliżéj ujętym i pojętym; przeto sąd o muzyce zdaje się być zupełnie dowolnym, od żadnych prawideł estetycznych niezawisłym, bo wszystkim w ogóle i każdemu z osobna, którzy uszy mają i nie są głusi, jakby z prawa natury przypadającym. Wyrok wydany przez uczucie odpycha wszelkie uwagi myśli. Muzyka jest sztuką wyrażającą za pomocą tonów najdelikatniejsze usposobienia serca i duszy, lecz z głową, z myślą, z refleksyą, nie ma nic do czynienia. Rzecz skończona, wszelki spór ustaje.

Wszakże z tą, abym się tak wyraził, przyrodzoną o muzyce wiedzą, nie radziłbym nikomu pójść na wielką jaką klasyczną operę lub koncert w Berlinie, i w przekonaniu o nieomylności sądu swego, jawnie i głośno okazywać swoje zadowolenie lub niezadowolenie. Przyrodzony estetyk mógłby się niespodziewanie ujrzeć strasznie skonfundowanym przeciwnym sądem publiczności; mógłby także przypadkiem być wzięty za najętego klaskacza lub gwizdacza, i z największą grzecznością być za drzwi wyprowadzonym. Przypadki podobne dość często się zdarzają. Lecz często także, gdy się opinie podzielą, zdaje się, że jedna połowa publiczności chce drugą połowę za drzwi wyrzucić. Przytrafia się to najczęściéj przy wykonywaniu nowych dzieł. Przeciwko dziełom zaś uznanym za klasyczne, i będącym raz na zawsze w poszanowaniu publiczności, chociażby i sądowi jéj nie były przystępne, a więc dla prostego lubownika

muzyki nudne, niebezpieczna jest okazywać, nie mówię już jakiegokolwiek niezadowolenia, lecz najmniejszéj nudy. Trzeba słuchać, podziwiać, bić oklaski wspólnie z drugimi, albo zatkać sobie uszy, milczeć lub wyjść z sali.

Jednego razu poszedłem z dwiema rodaczkami przybyłemi świeżo z kraju, na przedstawienie klasycznéj opery Glucka: „Ifigenia w Aulis.“ Na opery Glucka, mianowicie na rzeczoną, na Alcestę, Armidę, Ifigenią w Tauris, publiczność tutejsza chodzi jak na nabożeństwo. Rodaczki moje przyszły na teatr i na zabawę, lecz chciały także poznać, będąc bardzo muzykalne, charakter klasycznéj muzyki niemieckiéj. Nie znalazłszy czego szukały, zaczęły się nudzić, rozmawiać i uśmiechać do siebie. Siedzące obok niemki, skandalizowane taką mniemaną profanacyą najwznioślejszego według ich pojęcia arcydzieła sztuki, rzucały raz po raz wzrokiem gniewu na barbarzyńskie cudzoziemki, których jednakże powierzchowność, toaleta, rozmowa francuska, jakiś wyraz godności i wyższości kazały przeciwnie liczyć je do wyższych sfer cywilizowanego towarzystwa. Nie zważały one wcale na to co się działo w sąsiedniéj loży, a kiedym, znajomy lepiéj usposobienia publiczności muzykalnéj, przestrzegł je o gotującéj się burzy, bawiły się więcéj niecierpliwością sąsiadek niż teatrem, nie przestając raz po raz szeptać do siebie. Jedna z Niemek, zniecierpliwiona do reszty, odezwała się: *Aber mein Gott, so seien Sie doch still, und stoeren uns nicht.* Najbliższa z rodaczek odpowiedziała jéj na to podniesieniem głowy i wzrokiem, co to zamyka usta mówiącemu, chociaż tenże ma racyą. Nie wytrzymały do końca przedstawienia, wyszły przed ostatnim aktem, pożegnawszy sąsiadki grzeczno-ironiczném: *Viel Vergnuegen, Alles wundervoll!*

Niemki zatruty miały cały wieczór, i niezawodnie całą noc nie spały. Tyle srebrników i fenigów z opłaconego biletu straconych było nadaremnie! Rodaczki zaś moje nie mogły się nadziwić teatralnemu nabożeństwu Niemców, z jakiém słuchano opery, być może jak najklasyczniejszéj, ale dla ich muzykalnego słuchu niepospolicie nudnéj. Powie kto, nie znały się. Powtarzam, że obiedwie były gruntownie w muzyce ukształcone, jedna prawdziwa wirtuozka na fortepianie, druga w śpiewie; doda-

ję, że gdy innego dnia poszły na „Normę,“ nie posiadały się z rozkoszy, i byłyby, podobnie jak czcicielki Glucka, interpelowały w teatrze każdego, ktoby był śmiał okazać niezadowolenie jakie z arcydzieła Belliniego. Wreszcie, wiadomo obeznanemu z historyą muzyki, że gdy Gluck z Ifigenią swoją wystąpił w 1774 r. w Paryżu, miał z niezmiernemi trudnościami do walczenia, nim dzieło swoje wprowadził na scenę. Utworzyły się dwa stronnictwa, włoskie i niemieckie, znane pod nazwiskiem Piccinistów (od Picciniego ówczesnego reprezentanta muzyki włoskiéj w Paryżu) i Gluckistów, które o pojęciu, charakterze i powołaniu muzyki najzaciętszy spór z sobą wiodły, wciągając do niego lud i najwyższe koła towarzyskie stolicy, a nawet cały dwór i sam tron, gdy królowa Marya Antonina była za Gluckistami, król za Piccinistami. Królowa, niegdy uczennica Glucka w Wiedniu, przeważyła zwycięztwo na jego stronę, dając rozkaz do przedstawienia opery, którą w ciągu dwóch lat następnych 170 razy powtórzono. Chciałbym patrzeć na zadziwienie Francuzów, gdyby im dziś Ifigenią jedną i drugą, Alcestę, Armidę, i im podobne inne opery, ochrzczone nazwą klasycznych, z kolei na scenę wprowadzano. W Berlinie samym, opery te bywają nader rzadko przedstawiane. Partytury ich wyciągają się z szaf tylko na pewne wielkie dworskie uroczystości, jak stare ubiory, które wyszły z mody, ale niezaprzeczoną powagę w sobie zachowały. Znawcy tylko, i którzy znawców udają, oraz ludzie z professyi, chodzą na takie opery. Teatrby zbankrutował, gdyby je często powtarzał. Wielka publiczność nudzi się na nich, bo ich nie rozumie, ani czuje wysławianych przez narodową krytykę piękności. To nie przeszkadza, aby biła przed niemi czołem, jak przed najwytworniejszemi arcydziełami sztuki, i w nich tylko i w im podobnych uznawała najwyższe pojęcie i cel muzyki. Gluck hołdował spirytualnemu jéj pojęciu, wydawał w tonach więcéj myśli niż uczucia; charakter deklamacyjny cechuje większą część jego kompozycyj. Charakter ten jest dotąd właściwym muzyce niemieckiéj. Niemcowi nie dosyć na tém, że muzyka mile mu brżmi w uszach, że trafia mu do serca, że wyraża i obudza w nim te i owe uczucia. Jemu potrzeba myśleć, czy wyraża je dokładnie, prawdziwie, zupełnie,

i jakich sposobów, jakich tonów, jakich figur, jakich instrumentów do ich wyrażenia używa. A ponieważ niemasz czucia bez myślenia, przynajmniéj dla filozofującego berlińczyka czucie takie nie ma żadnéj wartości, przeto muzyka powinna posunąć się o jeden stopień wyżéj, i jeżeli można, filozofią Hegla oddać mu w tonach, a w przydatku nawet odmalować i landszaft. Refleksya, jak w innych zajęciach i zabawach jest nieodstępną towarzyszką berlińczyka, tak i w używaniu muzyki jest naczelną, że nie powiem jedyną jego doradczynią i przewodniczką.

Przed dziesięciu laty była tu stała opera włoska, raz mierna, drugi raz bardzo dobra, jak to się prywatnym przedsiębiorstwom przytrafiać zwykło. Publiczność, która na nią najwięcéj uczęszczała, i prawdę mówiąc, głównie utrzymywała, składała się z Włochów, Francuzów, Polaków, Rossyan, Mogołów-Anglików, Janczarów-Turków, Żydów, zgoła z wszystkich innych narodowości, nieodłącznych od każdego wielkiego miasta, najmniéj z miejscowéj niemieckiéj. Opera włoska obok narodowéj niemieckiéj raziła niezmiernie uszy dumnego z muzykalności swéj miasta, obrażała próżność, że wszyscy cudzoziemcy wyłącznie prawie na nią uczęszczali. W włoskiéj muzyce przemagała zawsze i przemaga dotąd pewna naturalność tak w motywach jak w formach, pewna przezroczystość i jasność w harmonii, nie wydobywanéj przesadzonemi sztucznemi środkami, przedewszystkiem zaś ciągła, powabna, każdemu słuchowi łatwo udzielająca się, lecz dla tego często powierzchowna, a stąd łatwo pospoliciejąca melodyjność. Krytyka berlińska tak długo szydziła z zmysłowo-melodyjnego charakteru oper włoskich, dopóki towarzystwo utrzymujące się przez kilka lat względami samych prawie cudzoziemców nie rozwiązało się i nie pożegnało Berlina. Dziś najlepszemu towarzystwu śpiewaków włoskich niepodobnaby było długo się tu utrzymać, chociaż teraźniejsza opera niemiecka bynajmniéj ani nowemi dziełami ani śpiewakami publiczności nie imponuje. Celniejsze dzieła opery włoskiéj nie zeszły jednak ze sceny. Rossini, Donizetti, Bellini, nie mogli zniknąć z repertoaru, uznani i poważani przez cały świat muzykalny. Verdi dotąd na niemieckiéj scenie nie znany. Taki jednak jest prąd opinii dzisiejszéj

w północnych Niemczech, a zwłaszcza w Berlinie, w rzeczach muzyki, że tylko klasyczność, klasyczność w któréj przedewszystkiém żywioł harmonii góruje, u znawców i wykształceńszéj muzykalnéj publiczności popłacą; reszta utworów muzycznych, jakiegokolwiek rodzaju, w których żywioł melodyi góruje, mało tutaj jest ceniona, i uważa się tylko za przedmiot chwilowéj rozrywki. Nawet na Normę krytyka tutejsza pogląda z góry. Między operami jedyny Cyrulik sewilski zasłużył sobie u niéj na wszelkie względy i poważanie.

Więcéj niż włoska pobłażania znajduje muzyka francuska. Niemcy uważają ją w połowie za swoje dzieło, podobnie jak swoich mistrzów wpływowi przypisują głębokość starowłoskiéj, mianowicie kościelnéj muzyki z XVI wieku, z epoki Palestriny, ponieważ panującym żywiołem jéj jest harmonia. Ta też muzyka włoska, i późniejsza francusko-włoska Cherubiniego i poczęści Spontiniego, przypisywana wpływowi Glucka, stoi u krytyków tutejszych w wielkiém poważaniu, i najcelniejsze tego rodzaju dzieła, nawet msze, przychodzą tu podczas pory zimowéj do wykonania. Istnieją tu nawet towarzystwa muzykalne, które tylko tego rodzaju muzyką program stałych koncertów swych zapełniają. W operach francuskich znajdują Niemcy niezaprzeczony wpływ Glucka. Deklamacyjna ich forma, mocne cieniowanie uczuć, sytuacyj i charakterów, to mają być cechy wpływu muzyki niemieckiéj. Śpiewność i melodyjność mają być skutkiem wpływu włoskiego. Lekkość, wykwintność, efektowość, niekiedy dziwaczność w harmoniowaniu, mają być oryginalną własnością francuską. Niezawodnie opery francuskie dają Niemcom więcéj do myślenia niż włoskie, i dlatego więcéj im się podobają. Zaprzeczyć jednak niepodobna, że widać w nich daleko więcéj wpływu włoskiego, niż niemieckiego. Boyeldieu, Halevy, Adam, Auber, znajomsi i ulubieńsi są na tutejszéj scenie, niż wielu niemieckich kompozytorów. Niemcy i Meyerbeera liczą do kompozytorów szkoły francuskiéj. Doświadczywszy on bezskutecznie sił swoich w charakterze muzyki włoskiéj i niemieckiéj, znalazł rzeczywiście odpowiadające sobie pole w duchu muzyki francuskiéj. Niewiem, jak wysoko stawia Meyerbeera krytyka francuska, tutejsza stawia go w drugim rzędzie. W pier-

wszym stoją Mozart i Beethoven, obok nich Haydn. W trójcy téj Niemcy widzą osiągnięty cel najwyższéj doskonałości muzyki. Wyżéj sięgnąć nie można. Beethoven jest najwyższym.

O pojęciu i charakterze słowiańskiéj muzyki milczą dotąd dzieje, podobnie jak milczą o innych słowiańskich sztukach pięknych, z wyjątkiem poezyi, polskiéj i rossyjskiéj. Dziwna jednak, że cała Europa przywłaszczyła sobie, razem z tańcem, polski polonez, mazurek, krakowiak, czeską polkę. Brżmi zapewne coś takiego w téj drobnéj muzyce, co przemawia do zmysłów, do serca, do duszy całego świata. Pierwszy Chopin wysnuł z niéj większe utwory. Świat się zadumiał, że może być w muzyce jeszcze coś nieznanego i odrębnego; pokochał przesłannika muzyki polskiéj, znanéj dotąd tylko z imion kilku znakomitszych kompozytorów i wirtuozów, ale nie z ducha. W Berlinie Chopina bardzo wysoko cenią. Hołd, który mu oddają, jest jednak dotąd więcéj prywatny i salonowy, niż publiczny. Niemcy nie dosyć się jeszcze w niego wgłębili, aby śmieli publicznie się z wykonaniem dzieł jego popisywać. Wgłębienie się to także właśnie dla Niemców, nie będzie bardzo łatwe. Pojmą myśli kompozycyi, ale nie zrozumieją uczucia; poznają harmonią, ale nie trafią w właściwy rytm jéj, i nie pochwycą unoszącéj się nad nią melodyi. Dosyć, że Chopin zyskał i tutaj powszechne uznanie, i powinien być uważany za pierwszego, który dla muzyki polskiéj zdobył prawo obywatelstwa w historyi, podobnie jak Mickiewicz zdobył je dla poezyi.

Z tego pobieżnego rozbioru ścierających się z sobą wyobrażeń o naturze, zadaniu i charakterze muzyki, racz się przekonać, szanowny Redaktorze, że nie napróżno rzuciłem na samym wstępie pytanie: co jest muzyka? Rozstrzygnij, proszę, jeżeliś łaskaw, dla czego Niemiec nudzi się słuchając jakiéj muzyki włoskiéj, w któréj większa część publiczności innonarodowéj znajduje prawdziwe upodobanie, i przeciwnie? Przyznaj, że pytanie to nie jest wcale tak łatwe do rozstrygnienia, i żeby dokładnie na nie odpowiedzieć, trzeba, jak nadmieniłem wyżéj, zacząć koniecznie od najpierwszych żywiołów muzyki, czyli, co na jedno wypadnie, od stworzenia świata. Spodziewałeś się podobno, a może i cie-

szyłeś, żem zapomniał o takowym początku. Mniemałeś, że to była tylko fantazya moja, którą dalszy ciąg listu uczynił niepotrzebną. Przekonywasz się sam, że tak nie jest, i że kto zamierza głęboko w ziemi kopać, powinien szeroko zacząć, aby się sterczące ze wszystkich stron warstwy nad nim nie oberwały. Szeroko zacząłem, zobaczysz w następnym liście, jak się daléj do gruntu idei muzyki niemieckiéj kopać będę.

Paryż w maju.

Najważniejszym wypadkiem literackim tego miesiąca jest pojawienie się dziesięciu tysięcy nowych wierszy Wiktora Hugo. Hufiec to nie lada! Skrzydlaty jak orłów stado — kolorowy jak obraz Rubensa — potężny jak geniusz — ognisty jak błyskawica, a jak piorun zapalny! Pojmujesz jakie musiał uczynić wrażenie wpadłszy niespodzianie pomiędzy znudzonych i drzemiących Paryżanów, których od czasów Hernaniego pod pozorem prostoty pasą samém tylko wodnistem mlekiem i wymłóconą słomą.

Ruch był powszechny. Rzesza co nie rozumem ale czuciem i przeczuciem się rządzi, zgalwanizowana nazwiskiem z którém tyle gorących wiąże ją wspomnień, które stało się dla niéj synonimem piękna, zapału i podniosłości — hurmem obległa księgarnie domagając się snopka przysłanego jéj z wygnania przez ulubionego poetę. — Ci co myślą i rozumują, kupowali niemniéj skwapliwie, bo każdy miał swój powód. — Stronnik przeciwnego obozu ujrzawszy za szybą sklepu nienawistne imie co jak *mane tekel fares* zaświeciło mu w oczach, wsuwał się za drugimi i wyciągał rękę po książkę, pragnąc się dowiedzieć co rychléj, jakie tam znów myśli sprosne lub czarne spiski na porządek społeczny podszeptuje Francuzom ów bannita, ów niepoprawny gorszyciel niewiniątek. — Malarz, obcy zazwyczaj sympatyom lub antypatyom, jeżeli nie dotykają malarza tylko poetę, sięgał także po ową książkę spodziewając się znaleść cudne dla pędzla kolory. Rzeźbiarz porywał ją, pewny że tam na każdéj karcie napotka wzór dla

dłuta, posąg jakiś z kararyjskiego wykuty marmuru, jakiś symbol wzniosłéj idei. Nieszczęśliwy, cierpiący, smutny, skwapliwie chwytał dzieło jak upragniony balsam na ranę lub spółczucie niedoli. Literat, dziennikarz, krytyk od dawna czekający natchnienia, porywał książkę chcąc przed innymi zrabować myśl jaką. Obojętny, (których tacy jak Hugo nie znajdują wielu) kupował także dzieło spodziewając się w jego towarzystwie mile przepędzić wolną chwilę — dosyć, że z tych lub owych powodów kupowali wszyscy, i nikt się nie zawiódł prócz tych co spodziewali się wynaleść w *Kontemplacyach* nową broń na nieprzyjaciela.

Pierwszą edycyę wyczerpano we dwadzieścia cztery godzin. Książka rzewne i głębokie sprawiła wrażenie. Wbrew zwyczajowi, przez dni parę żaden głos się nie ozwał z pochwałą lub naganą — i było cicho jak po zaśpiewaniu pieśni któréj słuchacz nie poklaski ale łzę daje w ofierze. — Po długiéj dopiero chwili ozwał się chór uwielbienia, który jakkolwiek na wysoki ton nastrojony, mniej był wymowny od milczenia przeciwnego stronnictwa, które pewnie nie z obojętności pochodziło. Żadne z pism nie wystąpiło z naganą — najniechętniejsze nie śmiały się targnąć na to dzieło, tak kompletnie uczuły się tą razą przegłosowane.

Kontemplacye zajmują dwa grube tomy w dużém in 8vo; pierwszy nosi tytuł *Autrefois*, drugi *Aujourd'hui*; pierwszy dział obejmuje peryod od 1830 do 1843 — drugi od 1843 do 1856. Każda z tych dwóch części dzieli się na trzy księgi — trzy pierwsze pod napisem: *Aurore*, *l'Ame en fleur*, *Les luttes et les rêves* — trzy drugie: *Pauca meae*, *En marche*, i *Au bord de l'infini*. Dzieło rozpoczyna krótka przemowa, a kończy wiersz do zmarłéj pierworodnéj córki, która bardzo młodo zaślubiwszy w Paryżu Karola Vacquerie, umarła we trzy lata po ślubie, a w pół roku po niéj mąż, nie mogący przeżyć swéj straty. Wiersz ten pod napisem: *A celle qui est restée en France*, którym poeta dedykuje zmarłéj swoje *Kontemplacye*, pełen niezrównanego czucia, jakby łzami pisany — jednozgodnie uznano za koronę dzieła, chociaż mojem zdaniem, w księdze: *l'ame en fleur* znajdują się rzeczy piękniejsze, jeżeli w obec tylu arcydzieł wybór jest podobny.

Jak możesz wnosić z podziału i tytułów, *Kontemplacye* cą całkowitą klawiaturą uczuć ludzkich, dagierotypem moralnym człowieka co się spodziewał, wierzył, kochał, cierpiał, wątpił, przeklinał — i w końcu przeszedłszy całe to cierniowe koło zwane życiem, znowu pokochał i uwierzył, ale już nie w ludzi. Hugo w przedmowie zwie *Kontemplacye pamiętnikami duszy*. Posłuchaj jak swe dzieło sam definiuje:

. . . . „Dwadzieścia pięć lat zamknąłem w tych dwóch tomach. *Grande mortalis aeri spatium!* Książka ta, sama napisała się we mnie; życie sącząc się po kropli przez wypadki i cierpienia złożyło ją w mém sercu. Ci co weń spojrzą, obaczą własne postacie odbite w téj smutnéj i głębokiej wodzie, która się powoli nazbierała w głębi serca.

„*Kontemplacye* możnaby nazwać pamiętnikami duszy. Są to rzeczywiście wszystkie wrażenia, pamiątki, rzeczywistości i mary, weselne lub żałobne, wywoływane jedne po drugich i zmięszane w jednym ciemnym obłoku. Jestto istnienie ludzkie wychodzące z zagadki narodzin, a sięgające zagadki grobu; jestto duch co bieży od światła do światła, zostawiając za sobą młodość, miłość, złudzenia, walki, rozpacz, i w końcu staje znękany na progu nieskończoności. Jestto pielgrzymka co zaczyna się uśmiechem, trwa we łzach, a kończy odgłosem niebieskiego appelu.

„Przeznaczenie jest tu spisane dzień po dniu.

„Jestże to życie człowieka? Tak — życie jednego i wszystkich, bo nikt z nas nie stanowi wyjątku. Moje życie jest twojem — twoje jest mojem; ty przeżyjesz co ja przeżyłem — przeznaczenie jest jedno. Weźcież więc to zwierciadło i przeglądajcie się w niem. Ludzie skarżą się czasem na autorów zarzucając im że mówią o sobie. Mów o nas — wołają wszyscy. Niestety! kiedy mówię o sobie, mówię o was. Jakże wy tego nie czujecie? Szalony co mniemasz że nie jestem tobą!“

Po téj definicyi mało co dodać można, to tylko chyba że *Kontemplacye* są największém dziełem liryczném wielkiego liryka, który od szesnastu lat żadnych tego rodzaju nie ogłosił poezyj. Biorąc materyalnie, książka składa się z dziesięciu tysięcy wierszy — moralnie, obejmuje cały łańcuch ziemskiéj niedoli, począwszy od

skargi skoszonego kwiatka, a skończywszy na rozpaczy ojca kładącego w trumnę własne dziecię. Piękna to girlanda uwita z róż i cyprysów — kwiatów wesela i kwiatów śmierci — z uśmiechów i westchnień, stoi na równi z młodzieńczemi utworami Wiktora Hugo. Cóż więcéj na pochwałę nowego dzieła powiedzieć można? Na niéj kończę, nie znając nic nudniejszego nad wszelkie rozumowane rozbiory poezyi i muzyki. Nie jestże to toż samo co chcieć rozbierać łzę, uśmiech, westchnienie, zapach kwiatu, kolory tęczy drżącéj na niebie? Poezya uczuciowa, natchniona, taka jak Wiktora Hugo, sercem się tylko pojmuje, ten co ją na zimno po doktorsku zechce krajać skalpelem, opisywać, tłómaczyć, choćby się z tego jak najmądrzéj wywiązał, zdaniem mojem zawsze rozprawiać będzie jak ślepy o kolorach i tracić czas na próżno, jak pedagog dający lekcye poezyi.

Jeszcze w tym roku wyjdą w Paryżu dwa nowe poemata Wiktora Hugo: *Dieu*, i *La fin de Satan*. Słychać że od czasu wyjazdu z Francyi, Hugo napisał mnóstwo nowych rzeczy, które zapewne nie rychło wyjdą na widok publiczny. — Krążył tu niedawno list z wyspy *Guernesey* gdzie obecnie przebywa autor Hernaniego, pisany do jednego z tutejszych literatów, zawierający ciekawe szczegóły o rodzinie i nieznanych dziełach poety, które zapewne nie będą ci obojętne. Przytaczam kilka ustępów z tego listu, żałując iż ich dosłownie powtórzyć nie potrafię — prócz bowiem że jest bogaty w fakta, list o którym mówię, zaleca się bogactwem języka.

Skreśliwszy historyą wyspy *Guernesey*, jéj polityczne przemiany i kataklizmy, jakich doznała od natury, opowiedziawszy sposób życia małéj francuzkiéj kolonii, która ją zamieszkuje, autor listu mniéj więcéj tak daléj mówi:

. . . Dom Wiktora Hugo jest przybytkiem sztuk pięknych. Kto się nie przekonał naocznie, nie uwierzy nigdy ile tam dzieł sztuki rozkwita naraz pod tchnieniem téj artystycznéj rodziny. — Młodszy syn Karol, umie robić wszystko co zechce: maluje, pisze wierszem i prozą, gra, śpiewa, a zawsze z tym gustem i niewysłowionym wdziękiem; którego żadna nauka nie da, jeżeli go nie dała natura. Obecnie zajęty jest fotografią

którą do wysokiéj doprowadził doskonałości. Ale jako prawdziwy artysta, Karol za małą to sobie uważa zasługę, i żeby nie dać się prześcignąć słońcu, komponuje do odbitych portretów lub pejzaży godne ich ramy, ułożone z misternych gałązek, kwiatów, ptakow, motyli malowanych lub żłobionych na kości słoniowéj, kamieniu lub drzewie. — Karol jest niewyczepany w pomysłach; a przy tem, co rzadko chodzi w parze, ma niesłychaną cierpliwość do wykonania najsubtelniejszych i najdziwaczniejszych częstokroć marzeń swoich.

Chociaż to praca nie lada wlewać życie w kamienne kwiaty, gnieść marmur jak koronki, drewnianym motylom nadawać przeźroczystość gazy — malować obrazy, które są jakby otwarte okna po za któremi uśmiecha się natura — przecież młody artysta, pędzel, dłuto i wszelką ręczną robotę uważa jako odpoczynek myśli — a skoro tylko odpoczął, powraca do pióra. Wtedy powieści i sonety sypią się jak z rękawa.... I cóż dziwnego? czyż nie wychował się razem z literaturą — czyż najpiękniejsze rymy nie kołysały do snu złotéj jego główki? —

Starszy syn Wiktor nie podobny wcale do brata, zawsze smutny i zadumany, tłómaczy Szekspira. Przekład powinien być dobry; Szekspir tłómaczony z synowską miłością przez syna Wiktora Hugo. W każdym razie będzie to przynajmniéj przekład Szekspira, nie Letourneura, którego tłómaczenie tłómaczą zwykle Francuzi.— Wiktor, trzymając się ściśle oryginalnej edycyi, odrzuca wszystkie dodatki nowoczesnych wydań — prostuje często skrzywionego rozmaitemi poprawkami pierwotnego ducha — oraz kasuje wprowadzony późniéj podział dramatów na akty, o którym się Szekspirowi nie śniło.—

Pani Hugo pisze żywot męża. Nikt zapewne nie potrafiłby go tak napisać jak ona. Jeżeli kto, to ona może powiedzieć z ręką na sercu, że nie odstąpiła męża. Od dwudziestego roku życia poety, patrząc nań dzień po dniu, godzina po godzinie — towarzysząc mu wiernie w dobrych i złych losach, dzieląc z nim każdy uśmiech i łzę każdą, pani Hugo zna nie tylko czyny, słowa i dzieła męża, ale myśli które je natchnęły. — Książka jéj szczera i dokładna, będzie dopełnieniem pism Wiktora Hugo, gdyż prawdziwym komentarzem dzieła

jest życie autora. Jakim człowiekiem był poeta? Jakie było pasmo dni jego? Z kim przestawał? Jaką miał rodzinę? Przez jakie przeszedł cierpienia? Jaka gwiazda opromieniała mu życie? Gdzie, kiedy i pod jakim wpływem pisał ten lub ów dramat? Co miał wtedy w sercu? Co miał przed oknem? Wszystkiego tego dowiemy się od żony wieszcza, która sama jedna na te pytania odpowiedzieć może, bo czego nie zrozumiała w téj niepojętéj mięszaninie najszczytniejszych natchnień i najpospolitszych przywar z których zwykle złożony charakter poety, to pewnie jasnowidzącém odgadła sercem. —

Córka Wiktora Hugo posiada rzadki dar improwizacyi muzycznéj, dar zupełnie samoistny, oryginalny, rozkwitły zdala od Opery i Konserwatoryum, nie naśladujący żadnego ze sławnych muzyków. Pieśni Mozarta i Beethovena nie dolatują tutaj — w *Guernesey* znane tylko symfonie ziemi i nieba. Wielki, tajemniczy mistrz harmonii, rozdaje nuty zefirom, morzu i dębom, które pośród cichéj czerwcowéj nocy przy akompaniamencie pluskających o statki bałwanów, wykonują koncerta napawające rozkoszą, lub przejmujące grozą, jeżeli zamiast podmuchu wiosny po kwiatach, zimowy huragan pocznie dąć w kominy i targać okrętowe sznury jak wątłe struny gitary. — Córka poety słucha tych koncertów, rozróżnia instrumenta i głosy, chwyta tony i szmery, mięsza je z głosem własnego serca co tęskni i kocha— i tak pomięszane wylewa w muzyce, w któréj źródła płaczą wraz z wspomnieniem — skowronek rozmawia z nadzieją — słowik śpiewa miłość i piękność. —

Kołysany pieśnią córki ojciec, spisuje natchnione myśli. Od czasu wyjazdu z Francyi Wiktor Hugo napisał wiele dzieł nowych; trzy poemata: *Dieu*, *La Fin de Satan* i *Les petites Epopées;* trzy dramata: *Homo*, *Le Théâtre en liberté*, *Les drames de l'Invisible;* w rodzaju lirycznym: *Kontemplacye*, i *Les Chansons des rues et des bois*. Obecnie pracuje nad wykończeniem wielkiego poematu filozoficznego pod napisem: *Essai d'Explication*, który jest owocem dwudziesto-pięcio-letnich dumań poety.

Kontemplacye wydane teraz w Paryżu są najkompletniejszem dziełem lirycznem Wiktora Hugo. Wszystkie

jego dawniejsze wiersze tego rodzaju opiewały zawsze jedną tylko część natury, lub jedną stronę uczucia. *Ody* śpiewają miłość kochanki; *Orientale* sztukę; *Jesienne liście*, rodzinę; *Chants du Crepuscule*, *Les Voix intérieures*, *Les Rayons et les Ombres*, społeczeństwo. Poeta maluje tam naturę ale jéj nie bada. W *Kontemplacyach* nie tylko sławi piękność formy, ale szuka i spowiada jéj ducha — nie tylko podziwia blask słońca, ale pyta kto je zapalił. Badana przyroda odpowiada: wiatr staje się głosem, a krople rosy łzami.

. . . .

Po dwóch komedyach „*Franciszka*“ i „*Jak wam się podoba*“, których pani Sand dostarczyła paryzkiéj scenie, a raczéj po burzy jaką wywołała tutaj jéj przedmowa do tłómaczenia Szekspira, w któréj powiada bez ogródki że Francuzi go nie znają — w teatrach tutejszych cisza nastała wielka. Przez dwa tygodnie (rzecz niesłychana) nie pojawiło się na scenie nic nowego, i nawet sprawozdawcy dramatyczni umilkli, ostrząc zęby na zapowiedzianą *Bursę* Ponsarda.

W braku sztuk nowych i w braku przekładów obrażających próżność Paryżanów którzy wolą zawsze oryginalne głupstwo niż tłómaczone arcydzieło — wznowiono odwieczną komedyę Regnard'a *Gracz*, która jest antypodą *Życia Szulera*, owego poczciwego starego dramatu pełnego strasznych obrazów i scen rzewnych, mogących poruszyć najzatwardzialszego grzesznika. Wesoły *Gracz* Regnarda, przeciwnie, rzekłbyś iż się obawia żeby kogo przypadkiem nie poprawił, tak starannie unika wszelkiego morału, tak stara się rehabilitować spotwarzonych kolegów trudniących się tą niewinną zabawą. Ugrzeczniony, miły, jest tylko kochankiem *Damy Kierowéj* i dla niéj, jak mówią Francuzi, *il fait des folies.* Z resztą nic mu zarzucić nie można: dobrze wychowany, nie unosi się ani nie gniewa, zawsze pozostając w harmonii z sobą i z drugimi, jak przystało na faraonowego *wirtuoza* w koronkowych mankietkach, nie podobnego w niczem do pospolitego *gracza*.

Inne wprowadzone do sztuki osoby, jak oto łotr służący, kalkowany na Molierowskiego *Scapena*, subretka zdradzająca swą panią, Ojciec także z rodzaju Molierowskich ojców, którym na to tylko dana głowa, żeby

mieli na czém powiesić perukę, Matka spekulująca na wdziękach córki, i tym podobne rzeczy, dowodzą że autor miał słabość do wszelkiego rodzaju nieprawości, i zawsze je z najprzyjemniejszéj strony przedstawia.

Wiedząc kto jest autorem sztuki, dziwićby się można wtedy dopiero, gdyby była inną a nie taką jaką jest. Nikt nie daje więcéj nad to co dać może; ale że taki utwór przedstawia najpierwszy teatr paryzki: *Théâtre Français*, a jeszcze bardziéj że nim zachwyca tutejszą publiczność, temu zaprawdę dziwićby się można, gdybyśmy nie byli przyzwyczajeni w Paryżu, nie tylko na scenie napotykać takie typy i takie ideały.

Literat mający sto tysięcy dochodu jak Regnard, dzisiaj jeszcze jest niesłychaną rzadkością, a cóż dopiero w siedmnastym wieku, kiedy nawet gieniusze nie stały samoistnie — kiedy Racine przykuty do monarszego podnóżka, jak heliotrop za słońcem obracał się za wejrzeniem Ludwika XIV, kiedy Molière był rodzajem nadwornego błazna, który nawet bez pozwolenia króla nie mógł się kazać pochować — kiedy sam wielki Corneille dla kawałka chleba pisać musiał pokorne dedykacye wyglądające przy wzniosłych jego tragedyach jak żebraczki w przedsionkach świątyń rzymskich. Za owych to czasów jeszcze smutniejszych dla literatów niż dzisiejsze, Regnard syn paryzkiego mieszczanina był milionerem — nie zależał od nikogo — odznaczał się lekkomyślnością, którą wtedy trudno się było odznaczyć, żył jak bimbasza, i pisał komedye, bo mu się śmiać chciało. Jakżeż nie mają być wesołe?

Rzecz prosta, że od takiego człowieka nie można żądać lekcyi moralności, ani filozoficznych uwag nad nikczemnością rodu ludzkiego, tém bardziéj, że mając zawsze piéniądze, miał zawsze stałych przyjaciół. Jak prawie wszystkie komedye z owego czasu, sztuka Regnarda niczego dowieść nie chce, prócz tego chyba, że ze wszystkich egzystencyj na tym świecie najmilsza jest *la beata vita del porco*. O gustach się nie dysputuje — Paryżanie zaś widać że do dziś dnia podzielają to zdanie, gdyż dawno nie byli tak zadowoleni jak na przedstawieniach *Gracza*.

Za to Ponsard nielitościwy, w swéj pięcio-aktowéj rymowanéj *Bursie*, którą wczoraj po raz pierwszy przed-

stawiono w Odeonie, nagromadził morałów tyle, że go o mało nie wygwizdano. — Zanim stosy tutejszych feletonów doniosą ci jak zwykle, wprost przeciwne zdania o téj komedyi — zanim jedne będą ci ją wynosić pod niebiosa, drugie ganić na zabój — nadmienię *en passant* że jest dosyć mierna, zdaniem mojém daleko niższa od *l'Honneur et l'Argent*, i mniéj moralna chociaż moralniejszą być usiłuje. Wiersz piękny, obrobienie staranne — ale brak życia, brak serca; znać że tego dzieła nie natchnęło już to młodzieńcze oburzenie przeciw złemu, które tak silnie przebija w poprzednim utworze Ponsarda. — Najtrafniéj zdefiniował tę sztukę jakiś dowcipniś, czy podrażniony *giełdzista* wychodząc z pierwszego przedstawienia: „*Cette Bourse-la*, rzekł do drugiego, *cela manque d'actions! Il n'y a pas d'intérêts! C'est bon à liquider!* —

Musiałem na chwilę przerwać rozmowę i ugrzać się trochę przy kominku, bo drżałem od zimna i czułem że mi ręka do papieru przymarzła, czego zapewne byłbyś się domyślił po stylu. — Jak Francya Francyą nie pamiętają tak zimnego maja. Słońca niewidzieliśmy tu od trzech tygodni. Deszcz lodowaty pada po całych dniach i nocach; każdy kurczy się i krztusi, ale nie narzeka i udaje że kontent, bo taka teraz moda — moda do któréj każdy ściśléj się stosuje niż do lilowych, i paliowych sukien, lub kapelusików na których marzną bzy i żonkille — moda daleko ważniéjsza niż wszystkie mody które Paryż zwykł narzucać światu, bo dowodząca loiki o którą nikt dotąd nieposądzał Francuzów.

Tak więc choć ci ta wiadomość do toalety nie posłuży, zważywszy na ważniejsze jéj aplikacye, mam sobie za obowiązek donieść tobie i wszystkim komu o tém wiedzieć należy, że najpierwszą modą w Paryżu jest teraz *zadowolenie* nie częściowe ale całkowite: tak dobrze z siebie, jak z żony, męża, handlu, majowéj pogody, zawartego pokoju, formy rządu i wszystkich jego czynności. Mianowicie téż w tym ostatnim punkcie usposobienie Francyi jest zupełnie odwrotne od tego jakie było za Ludwika Filipa. Wtedy (nie więcéj temu jak lat ośm) jeżeli rząd postanowił wprowadzić najmniejszą jaką reformę, jeżeli np. chciał przyszyć choćby jeden guzik więcéj do żołnierskiego kamasza, wnet dzienniki wrzeszczały na całe gardło, że to niepotrzebny wydatek,

że wymysł śmieszny, zbyteczny, dziwny i t. d. każdy zaś mieszczanin po przeczytaniu gazety napuszał się i kładł ręce w kieszenie mówiąc: *il faut que je donne une leçon au gouvernement.* Teraz gdyby rząd kazał każdemu obywatelowi jadać flaki na śniadanie, jadłby je niezawodnie, a co większa, iżby powiedział: jem flaki bo mi się tak podoba!

Londyn w maju.

Od początku maja mieliśmy wciąż zimna—teraz jest dżdżysto. Niedziela Zielonych Świątek była tu najśliczniejszym dniem wiosennym, przedzielającym niejako zimno od słoty, acz już znacznie ocieplonéj. Dzień ten jako różniący się śliczną pogodą od poprzednich i następnych, odróżniał się zarówno odmiennym ruchem i postacią całéj stolicy—był prawdziwie dniem świątecznym, nie powszednim tego roju dwu miljona ludności. Tyle ludzkich istot w świątecznych ubiorach,—z wypogodzoną, wesołą twarzą,—jest samo przez się ciekawém widowiskiem, nie zdarzającém się, jak tylko w wielkich stolicach świata, a i on różny w Paryżu, w Wiedniu, w Warszawie i Moskwie, podług odmiennego temperamentu, zwyczajów i ducha narodu. Londyn jako stolica ludu wyspiarskiego, przedzielonego morzem od reszty Europy, albo jak już Rzymianie go opisywali *toto orbe remoti Britani*, przedstawia pod tym względem szczególniejsze widowisko. Widać to było w dzień niedzielny Zielonych Świątek. Jedni, a ci zamożniejsi wychodzili z pysznych swych gmachów do świątyń Pańskich, aby szukać w tym dniu natchnienia jakby najskuteczniéj słowo Boże rozszerzać wielorakiemi językami na okręgu ziemskim; drudzy, a ci ubożsi, wyrobnicy całotygodniową pracą znużeni, lub ślęczący po kantorach i kupieckich sklepach, dla których zarobek na życie jest wszystkiem a miejsca w kościołach (choćby i radzi w nich bywać) zbyt kosztownym zbytkiem—napełniali ulice, dążąc ze ścieśnionych, szczupłych mieszkań do parkow—tych płuc *(lungs)* jak je nazywają stolicy—aby tam wolném i czystém powietrzem oddychać. Omnibusy jedne za

drugiemi, pełne ludu wewnątrz, pełne na wierzchu—fiakry i pojazdy różnego kształtu, jedne o dwóch, drugie o czterech kołach,—snuły się w różne strony po ulicach, wywożąc pienięźniejszych daléj za miasto, rodziców i dzieci w odwiedziny do krewnych lub przyjaciół; lecz powszechniéj dla zdrowia ze zmiany powietrza, dla nasycenia się widokiem przyrodzenia, dla przypatrzenia się ogrodom, sadom w kwiecie, i zieloności pól. Dla wielu rodzin żyjących przez cały rok wśród rozległéj stolicy, nie widzących jak domy a domy, bruki a bruki, tegoroczne Zielone Świątki zostaną pamiętne na całe życie; dzień ten słoneczny, łagodny, z powietrzem balsamiczném, był dla ludu, a zwłaszcza dla młodzieży, pełen zachwytu i radości. Nad wieczorem orkiestry muzyki wojskowéj grały w parkach, — grywały tak przez kilka niedziel téj wiosny. Tę rozrywkę dla ludu sprawił Sir Benjamin Hall, minister leśnictwa, mąż światły i ludzki. Wojskowi to chętnie i bezpłatnie czynili. Lud poczytywał to za wielkie dobrodziejstwo od rządu; zgromadzało się go od 80,000 do 100,000 na słuchanie téj muzyki w parkach. Przechodząc w ten sam dzień przez *Kensington Garden*, widziałem tam dla lepszéj wygody słuchających porobione ławki pod drzewami, i rzędy stołków bliżéj orkiestry. Uważano to ze wszech stron za rzecz stosowną, niewinną, pochwalano całe urządzenie i cieszono się z niego. Nie tak jednak wydawało się to duchowieństwu i partyi nabożnisiów. Obrzucali oni wciąż prośbami rząd przeciw tym orkiestrom dla ludu, wystawiając, że to z świętością dni niedzielnych nie zgadza się, aż w końcu wymogli na Lordzie Palmerstonie cofnienie w tym tygodniu własnego jego rozporządzenia. Odtąd muzyki niema być w parkach. Niezmiernie tym zakazem rozjątrzył lord Palmerston lud na siebie i na duchowieństwo, tak dalece, że lękają się aby to nie sprowadziło jakich zaburzeń. Cokolwiekbądź, krok ten nie podoba się tutaj, wykrywa słabość rządu i nie rokuje mu długiego trwania. Da się to poznać po głosach w parlamencie i podczas nowych wyborów jeśliby przyszło do rozwiązania izb, o czém ciągła jest mowa. Ministeryum z polityką tak chwiejącą się, albo raczéj z żadną, jak to było dotąd — długo utrzymać się nie zdoła.

Lord John Russell, korzystając z wakacyi parlamentowéj, dał dla Towarzystwa wzajemnego kształcenia się (*Mutual Improvement)* istniejącego w Stroud—publiczną prelekcyą: „O uczeniu się historyi.“ Prelekcya trwała spełna dwie godziny, w których szlachetny mówca po objaśnieniu właściwości dziejopisarstwa i dziejopisów starożytnych, przystąpił do skreślenia główniejszych epok historyi nowoczesnéj, mianowicie: hiszpańskiéj, francuskiéj, angielskiéj i amerykańskiéj — w ten jednak sposób, że zaszłe wypadki odnosił i ciągle rozwijał z pewnych przyczyn. Ostrzegał aby w razie poróżnień między narodami nie rwano się od razu do oręża, lecz starano się raczéj uprzątać przyczyny prowadzące do zwad i kłótni, i tém zapobieganiem niszczyć zarody do wojen. Przemawiał za powszechną tolerancyą tak wyznań religijnych jak opinij politycznych, przedstawiając Anglią z ostatnich lat za przykład. Przy końcu doradzał on słuchaczom zgłębianie raczéj pojedynczych jakowych okresów historycznych, śledzenie w nich przyczyn i skutków, aniżeli przeciążanie pamięci chronologicznemi datami, nie mającemi często najmniejszego związku z ważnością wypadków. Zgoła, aby historya stała się pożyteczną, należy naukę jéj oprzeć na zasadach filozoficznych. Mamy o tém gruntowne pismo p. Cieszkowskiego, znane wam pewnie. Ile mogę przypomnieć sobie, czytałem je w niemieckim języku, ale tytułu nie pamiętam. Wartoby je upowszechnić w polskim języku. Zawiera ono obszerniéj to, co lord John Russell zdaleka słuchaczom swym napomyka.

Umarł w Edinburgu dnia 6 maja Sir William Hamilton, baronet, profesor logiki i metafizyki tamtejszego uniwersytetu. Jest to po sławnym John Wilson, profesorze filozofii moralnéj i znakomitym poecie, druga wielka strata jaką w ostatnich latach ta wszechnica ponosi. Sir William Hamilton należy do pierwszego rzędu filozofów nowoczesnych, i pisma jego psychologiczne miały wielką wziętość tak na stałym lądzie, jak w Ameryce — większą nawet niż we własnéj ojczyznie. Jego *Discussions in philosophy* były tłumaczone na język francuski, i niedawno p. Karol Rémusat zdał obszerną sprawę o pracach i zasługach jego dla filozofii w *Revue des Deux Mondes*, naznaczając zmarłemu miejsce pomiędzy

najgłębszymi badaczami działań umysłowych. Pisywał Sir W. Hamilton często do *Edinburgh Review* o różnych przedmiotach filozofii, gdzie znajduje się także artykuł jego o konieczności reformy uniwersytetu Oxfordskiego, który sprawił wielkie wrażenie na umysłach przywiązanych do scholastycznego trybu udzielania nauki. Przezeń wplątał się on w spory z ludźmi będącymi odmiennego zdania—i te spory toczyły się niejaki czas nawet w pismach dziennych. Przeciwnikami jego byli: arcydziekan Hare, professor Morgan i Dr. Cunningham. Wychowany początkowo na prawnika, łączył on do subtelności dyalektyki jasność mowy, co mu wielce do zwalczenia mniéj ukształconych przeciwników służyło. Zawód uniwersytecki rozpoczął był Sir W. Hamilton od professorstwa historyi; dopiero roku 1836 objął katedrę logiki ofiarowaną mu przez Radę miejską Edinburską. Był on ozdobą i wielkim filarem szkoły szkockiéj filozofii — spodziewać się należy nie ostatnim, bo wiele znajdzie się ubiegających o zajęcie miejsca po nim. Od niejakiego czasu trudnił się on przygotowywaniem dzieł szkockich filozofów do nowych wydań, z objaśnieniami swemi. Wydał tak przed parą laty wzorowe dzieło Reida: O władzach umysłowych *(Inlellectual Powers)*; a przed samą śmiercią zajęty był doglądaniem druku wszystkich dzieł Dugalda Stewarta, zebranych przez niego. Miały one wyjść razem z biografią tego sławnego patryarchy filozofii szkoły szkockiéj. Ta edycya zatém zostaje nieukończona. Po nim samym pozostały *Prelekcye o Loice*, które dawał w uniwersytecie, tudzież inne drobniejsze dzieła w rękopismach. Tych wydanie poruczone zostało p. Baines, znanemu zaszczytnie publiczności z własnych pism tegoż rodzaju.

Aby upamiętnić zawarcie pokoju czynem przebaczenia, Królowa Wiktorya raczyła ułaskawić wszystkie osoby pod karą zdrady kraju zostające, czyli tak zwanych politycznych więźniów. W skutek tego ułaskawienia wolno będzie panom Smith O'Brien i Martin, którzy przed niewielu laty byli naczelnikami buntu w Irlandyi, wrócić do ojczyzny. P. Frost dowódzca Chartistow i wszyscy jego wspólnicy, którzy roku 1839 z bronią w ręku byli ujęci a sądem skazani na transportacyą do karnych osad, są także tém ułaskawieniem objęci, i mogą z Au-

stralii wrócić do kraju. Wyłączeni są wszakże od téj łaski ci z pomiędzy Irlandczyków, którzy zostawieni na słowo uciekli do Ameryki; lecz ci już nie za zdradę kraju, lecz jedynie za naganne wiarołomstwo. Rzecz więc godna zastanowienia, iż w téj chwili nie ma ani jednego Anglika, któryby był więziony lub zostawał na wygnaniu za przestępstwo polityczne. Trudno znaleźć podobnego przykładu w dziejach świata. Anglicy pysznią się z tego.

Znane wam pewnie od kilku lat istniejące Towarzystwo uczonych angielskich dla postępu umiejętności (*British Association*). Tegoroczne posiedzenia jego w Cheltenham rozpoczną się dnia 6 sierpnia. Czas pokoju zwabi pewnie wielu uczonych z kontynentu, i między nimi już stoi na liście książe Lucyan Bonaparte, znany ze swoich obszernych wiadomości o ptastwie. Prezesem tegorocznym towarzystwa jest książe Argyll, minister państwa; następcą jego na przyszły rok ma być Dr. Daubeney, sławny matematyk. Warto byłoby, żeby kto z naszych stron na ten zjazd uczonych przybył, dla obeznania się z najwyższemi postępami wiedzy ludzkiéj. Rozwijanie jéj w różnych gałęziach umiejętności jest celem tego stowarzyszenia, i po każdém posiedzeniu wydaje ono Rocznik prac swoich.

Rzym w maju.

Jakżeż podzielam kłopoty waszego dowcipnego współpracownika, który w swojej *Kronice* „Kraków w marcu“ mówi, że każde jego słowo biorą na tortury i wynajdują osobistości we wszystkiem co napisze! A któżby dopiero pomyślał, że żyjąc o paręset mil od miejsca gdzie się drukuje *Dodatek*, spotka waszego korespondenta takiż sam los. Skoro egzemplarz *Dodatku do Czasu* dojdzie do Rzymu, zaraz powstaje burza! A kto pisze? A kto śmiał powiedzieć że polskie salony nudne? I ten Judasz żyje między nami!

Galeotto fù il libro e chi lo scrisse.

I dalej szukać onegoż korespondenta! Dla uspokojenia więc czytelników *Czasu* w Rzymie i poniekąd na-

wet dla usprawiedliwienia się, powiem, że tam niemasz żadnych osobistości, gdzie kto używa ogólników. Nie pisałem, że ten lub ów salon polski nudny, tylko twierdziłem, że były niemi tej zimy wszystkie. Poprawię się na przyszłość, ale odwołać nie mogę, wychodząc z tėj zasady, iż każdy korespondent powinien się trzymać jak najściślej prawdy. I cóż ja na przykład winien, że zaraz na wstępie dzisiejszej korespondencyi, wpadnę w nową niełaskę u naszych rodaczek bawiących tutaj? Ale mając tą razą za sobą Ojca świętego, bez żadnej obawy i skrupułu opowiem jak było.

Jednėj z naszych polskich dam, którėj chodziło o spieszny a niecierpiący żadnėj zwłoki rozwód, przyszła na myśl rzecz nader prosta, choć mało dotąd w użyciu będąca — udać się do samego Piotra Śgo w osobie jego następcy i zapukać do Watykanu, aby jej ztamtąd wyniesiono tęsknione unieważnienie dławiących ją nieznośnie więzów i ślubów małżeńskich. Cóż, kiedy to na takie więzy niemasz innej rady jak nożyce Parki i kosa Saturna. I sam djabeł Twardowskiego czuł, że się nie wywiąże ze ślubnej matni! Otóż nasza pani skracając drogę za pomocą kolei żelaznych, poczt i parostatków, dopada bram Rzymu i uzyskawszy niezwłoczne posłuchanie, z namiętnym pośpiechem wlatuje na *scala regia* na schody królewskie, prowadzące do sali posłuchań. Niestety! cóż powiem dalej? jakiemi dokończę wyrazy!.. Rozczarowania wszędzie bolesne, ale boleśniejszemi zapewne pod temi freskami Rafaela, w obec tysiącznych watykańskich posągów, które swe marmurowe oczy zasłupiły w twą niedolę, pod tem niebem jednostajnem jak życie małżeńskie i na którem napróżnobyś szukał chmury jak rozwodu w Rzymie... Ojciec święty zgromiwszy naszą Polkę, kazał jej wrócić niezwłocznie do znienawidzonego małżeńskiego pożycia. Niewiem czy wróciła, ale znikła z widnokręgu, znikła jak wirgiljuszowa Eurydyka porwana wirem małżeńskiej otchłani i na próżno do swego Orfeusza wyciągając dłonie:

Invalidasque tibi tendens, heu, non tua! palmas.

Niechaj to służy jako *avis aux lectrices* naszym rodaczkom wybierającym się w tym celu do wiecznego miasta.

Przed kilku miesiącami wykończono wewnętrzne restaurowanie świątyni Minerwy, co pociągnęło za sobą tak wielkie wydatki, że zabrakło funduszów na projekto-

waną zewnętrzną facyatę, na którą potrzeba jeszcze sto tysięcy skudów. Podano więc następną myśl kardynałowi Antonelli i o ile o tej rzeczy można wiedzieć z pewnością, miał ją wysłuchać przychylnie pan minister stanu. Papież miałby niby utworzyć stu kawalerów nowego orderu „Niepokalanego Poczęcia“ a każdy chcący go nabyć musiałby złożyć dowód szlachectwa i dodać tysiąc skudów.

Po zabawach zimowych i Świętach Wielkonocnych zaczyna się powoli Rzym wypróżniać. Cudzoziemcy uciekają przed nadchodzącemi upałami udając się na północ. Anglicy spieszą na *saison* do Londynu lub do nadreńskich wód. Panowie rzymscy zawsze powolni do opuszczenia stolicy, także już myślą w jakiej willi przepędzić tropikowe godziny. Jeszcze miesiąc, a będzie tutaj tak cicho jakby w jakiem małem miasteczku na prowincyi. Można powiedzieć, że się cudzoziemcy porachowali po raz ostatni na obchodzie artystów *la Cervara* lub też *il carnavaletto degli artisti:* jest to rodzaj komerszu uniwersyteckiego w Wrocławiu lub Halli. Artyści opuszczają zwykle na lato Rzym w celu pracowania. W ten to dzień więc, dzień niby pożegnania, wyjeżdżają do Cervara przebierając się w bogate i różnobarwne stroje. Prezes zagaiwszy posiedzenie mową, wychyla kielich na powodzenie sztuk pięknych. Potem są dwa *Steeple Chase.* Pierwszy na koniach, drugi na osłach. W pierwszym wygrał młody Rossyanin, ubrany bardzo bogato w strój tatarski. Tuż za nim, jak to mówią panowie *sportu,* o głowę końską, jechała młoda artystka Amerykanka, zwyciężając przeszkody jak najzuchwalszy jockey. *Steeple Chase* na osłach wygrał jakiś brodaty artysta, przebrany za Araba. Po wyścigach wielki obiad pod gołem niebem, przy śpiewach i mowach w różnych językach, przypominających wieżą Babel. Zaś mniej poetycznym jest sam koniec dnia, gdzie Bachus gra tak wielką rolę, iż się wszystko zwykle kończy chorobą morską. *C'est le revers de la medaille.*

We wielkim i eleganckim świecie panuje powszechna cisza. Ostatni raut był u posła pruskiego pana Thile, gdzieśmy widzieli dużo cudzoziemców, ale prawie nikogo z towarzystwa czysto-rzymskiego. Śmierć księcia Piotra Odescalchi, margrabiny Capranica i kardynała Fran-

soni, znowu zmusiła kilka familij do przywdziania żałoby. Powiadają, że na miejsce kardynała Fransoniego, ma być mianowanym Monsignor Medici.

W teatrze zawsze pełno, chociaż Rzymianie przyjęli jak najzimniéj operę *Marino Faliero*. Mojem zdaniem, chociaż Verdi jest znakomitym kompozytorem, to jednak słuchać ciągle muzykę jego, tak gust popsuje z czasem, jak czytanie złych romansów francuskich. Miałem tego dowód nietylko na tutejszéj publiczności, ale nawet na sobie samym. *Marino Faliero* nie jest najlepszą operą Donizettego, ale ją można zawsze porównać do kompozycyi Verdego. Mimo tego nasłuchawszy się przez całą zimę téj łatwéj do spamiętania i przyjemnéj uszom muzyki autora *Due Foscari* i *Ernani*, znudziła nas niemało *Marino Faliero*. Dopiero i jedynie w trzecim akcie, jak De Giuli wydobywszy ostatnich sił zaśpiewała aryę:

Tra due tombe, tra due spettri,
I miei giorni passeranno;

to taka *furia* opanowała Włochów, że śpiewaczkę trzynaście razy z kolei wywołali. Można jak najdłużéj bawić we Włoszech, a zawsze zadziwi mieszkańca północy ten młodociany zapał któremu się oddają Włosi a szczególniéj Rzymianie. Ztąd poszło zapewne, że w Paryżu płatnych klakerów nazywają *les Romains*. Ale jedna arya nie stanowi powodzenia całéj opery i jeżeli cenzura nie wypuści ze swoich szpon nowéj opery młodego Rzymianina p. Fenzi, to będziem się musieli wrócić znowu do Verdego, zapewne do nieszczęśliwéj i już tak często przedstawianéj muzyki *la Traviata*. W małym teatrze, *il Teatro nuovo*, grano trzy tygodnie temu nikczemny dramat, a że afisz ciekawy, więc przepisawszy, posyłam wam go *in crudo*.

Dal comico Giuseppe Parisini verrà posta in Scena
un dramma storico faceto in 2 Atti
intitolato
Lodovico Re di Polonia
con Gilotto
finto cieco e muto per la fame. (*).

(*) Przez komika p. J. P. będzie odegranym dramat historyczno-komiczny w 2 aktach, pod tytułem: Czyn sprawiedliwości Ludwika króla Polskiego i Gilotto udający z głodu ślepego i niemego.

Zanadto szanuję waszą cierpliwość, żeby wam przesłać choćby najmniejszą o tém recenzyą, ale chcę dać tylko do poznania, w jakim to rodzaju napisane. W chwili kiedy nasz król wchodzi na scenę ubrany w biały ale brudny mundur i kiedy cała szlachta i dygnitarze padają na kolana, on się obraca do nich i z najzimniejszą krwią mówi: „*Non faciamo conplimenti.*“ Reszta sztuki utrzymuje się zawsze na téj saméj wysokości.

Z naszéj polskiéj kolonii nic wam nie donoszę, kiedy się ta już prawie zupełnie rozbiła. Nadmienię tylko, że dwie z naszych panien zostaną tu pono na długo, chociaż każda z nich obrała przeciwną drogę. Jedna panna P. C. wstąpiła do zakonu *Sacré Coeur*, druga jak *fama* niesie, idzie za mąż za tutejszego prefekta policyi francuskiéj p. Maugin.

Na wystawie kwiatów w pałacu księcia Doria, dostał medal złoty za najładniejsze i najrzadsze egzotyczne rośliny, ogrodnik księcia Torlonia, Orzechowski Polak, rodem z W. Księstwa Poznańskiego. A kiedy mowa o Torlonia, powiem, że na seryo myśli zamknąć swój dom bankowy. Uzbierawszy blisko półtora miliona franków dochodu, powiada biedak że umie na małém przestawać i że na zawsze opuszcza wszelkie spekulacye.

Już was doszedł i czytaliście bardzo dobry artykuł o teraźniejszéj literaturze polskiéj, umieszczony w *Civiltà Cattolica*, pod tytułem: *Un saggio della presente letteratura Polacca*. Trudno w tak krótkich słowach powiedzieć więcéj. Zajął on niezmiernie publiczność włoską, tak mało obeznaną z naszą literaturą. *Civiltà Cattolica* ma 15,000 prenumeratorów, a prawie wszystkich we własnym kraju, wychodzi co miesiąc w każdą pierwszą i trzecią sobotę, i chociaż jest redagowana przez jezuitów, podlega surowéj cenzurze. Przechodzi ona, jak wszystko to co się tu drukuje, przez dwie cenzury, to jest, przez polityczną i przez religijną, a oprócz tego trzy dni przed drukiem przesyłaną bywa Ojcu Świętemu, któren jeszcze daje swoje uwagi, jeżeli tego rzecz wymaga.

Z końcem przyszłego miesiąca lub początkiem lipca, mają otworzyć koléj żelazną do Frascati. Smutno pomyśléć, że kiedy w Europie wszystkie kraje poniekąd już przerznięte kolejami, kiedy je budują w Egipcie i w Indyach, tu dopiero zrobiono dwie mile. Jest to

więc pierwsza kolèj w państwie Kościelném, a Pius IX będzie pierwszym papieżem który się koleją przejedzie. Wiadoma rzecz, że Grzegorz XVI nie dał sobie nigdy wspomnieć, jak mówił „o tym piekielnym wynalazku“ i dzisiaj są jeszcze starzy prałaci, którzy na przywiezione z Anglii lokomotywy patrzą ze zgrozą, uważając je jako istne dzieło szatana.

P. S. Odebrawszy wasz dziennik z 27go kwietnia, otwieram mój list i dodaję parę słów.

Jesteśmy bardzo tu zajęci czytaniem recenzyi „o Wystawie sztuk pięknych w Krakowie“ i dziękujem autorowi za przyjęcie wyrazu *rodzaj potoczny* zamiast słowa francuzkiego *genre*. Jednomyślnie został on przyjęty przez naszych tu artystów. Dodam także, żeśmy naszym oczom wierzyć nie chcieli, wyczytawszy, iż obraz p. Simmlera usuniętym został z wystawy. Śmieszny to i nie do pojęcia wandalizm. Jakże przedstawić kąpiącą się Zuzannę? Czy ubraną? Niech ten *collet monté* sztuk pięknych nie przyjeżdża nigdy do Włoch, bo cóżby powiedział na Danaę Corregia, na polowanie Dianny Dominikina, na Adama i Ewę tegoż samego, na Wenus Tycyana i na tysiące innych arcydzieł? Mogę go z góry zapewnić, że mu tu nic nie pozwolą wyrugować, ani nawet najmniejszéj *wszeteczności* z galeryi watykańskiéj. Jeżeli ostro powstaję, to jedynie w obronie malarzy. P. Simmler może kilka miesięcy pracował — poświęcił swój czas tak drogi każdemu artyście i potém taka go nagroda czeka. Kończę dodając, że wystawa obrazów nie jest miejscem dla dzieci i dla panien.

Antoni Kłobukowski Redaktor odpowiedz. Antoni Czapliński Rząd. Druk.